Rogala y Humie...

2.5
A

MUMJE I MANDATY



MANEKIN Z GŁOWĄ TUT-ANKH-AMENA

JAN ROGALA

MUMJE I MANDATY

OPOWIADANIA WSCHODNIE

Miejska Biblioteka Publiczna w Cieszynie

NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

Nr inw. 30941/Cz
Nr inwent. 7746

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie

010-030941

TEGOŻ AUTORA:

Trylogja: PRÓBA OGNIA

I. Zarzewie — wyd. III
II. Płomień — wyd. II
III. Odkupienie — wyd. II

Nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

915(-011)(047)

Akc PP Nr 22/93/Cz

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1929

Panu Leonowi Tallen-Wilczewskiemu.

ROZDZIAŁ I

DECYZJE I PRZYGOTOWANIA DO PODRÓŻY

Wiemy dobrze, jak wielki wpływ wywierają nieprzewidziane okoliczności na normalny bieg naszego życia. Im dalej posuwać się po tej drodze, tem częściej docenia się prawdy, w przysłowiach zawarte, różnokształtne, a tak do siebie zbliżone. Kule, które Polak wystrzelił, a niesione przez Boga w wiadomym Mu kierunku, i «dyspozycja» Boska w stosunku do zamierzeń naszych, jak Francuzi zależność ludzką określili, to tylko dwa oświetlenia tego samego obrazu, dwa wyrazy tej samej myśli. Kroki nasze niezawsze przez nas są kierowane.

Błąkałem się kiedyś po placu Zgody w Paryżu, podziwiając z różnych stron to arcydzieło perspektywy i budownictwa. Przy dniu świątecznym miałem czas wolny i niezłomny zamiar odszukania idealnego punktu, skąd «Concorde'a» największe robi wrażenie i niezatartemi rysami rzeźbi się w pamięci. Ciągle byłem na tropie, i ciągle przy zmianie sta-

nowiska nowe wątpliwości powstawały w umyśle. Każdy punkt był najlepszy, i mój problemat był nie do rozwiązania. Z uporem, z jakim zwykle człowiek oddaje się zagadnieniom, przez siebie niepotrzebnie postawionym, trwałem w moich beznadziejnych zamiarach i z narażeniem jeśli nie własnego życia, to w każdym razie cierpliwości szoferów, przechodziłem z jednej strony placu na drugą, zmierzając ostatecznie ku «rue Royale» i przyległym bulwarom. Na skrzyżowaniu szlaków automobilowych usłyszałem jeszcze uszczypliwą uwagę z przejeżdżającej «Citroën'ki».

— Każ się zabić gdzie indziej, bez kontrawencji — radził szofer.

— Nie tak głupio powiedziane — dorzucił za mną jakiś głos znajomy. — Już cię od paru chwil obserwuję i nie wiem, czyś co zgubił, czy może sam się zgubiłeś?

Podszedł do mnie Paweł Motwid, mój dawny kolega szkolny i uniwersytecki, którego od lat kilku nie spotykałem. Paweł ożenił się z moją daleką krewną, — prawie jej nie znałem — i pędził z panią Wandą żywot odosobniony w jakiejś wiosce piaszczystej aż na Podlasiu.

— W każdym razie dnia nie straciłem, skoro ciebie spotkałem — uspokoiłem Pawła — najłatwiej odszukać się na rozstajnych drogach.

Poczęliśmy sobie robić zwierzenia informacyjne. Ja wybierałem się do Barcelony i Sewilli, gdzie jednocześnie dwie wystawy miały świadczyć o postępie



OPARCIE TRONU: TUT-ANKH-AMEN Z MAŁŻONKĄ

ekonomicznym i kulturalnym Hiszpanów. Motwidowie mieli zamiar dotrzeć do Ziemi Świętej, chociaż pani Wanda zdradzała słaby pociąg do podróży morskiej. Tylko cel zbożny mógł wpłynąć na pozytywną decyzję, i zamierzeń tych nie wolno było krytykować. Zato moje plany uległy wszechstronnym badaniom, i zanim skończyło się śniadanie, któreśmy wspólnie z Motwidami zjedli, pani Wanda miała już o nich sąd wyrobiony, i to niezbyt przychylny.

— Daruje pan, czy też kuzyn, czy poprostu «Wanderer», Polak wieczny tułacz, dusza niespokojna, ale trudno wymyślić coś bardziej dziwnego — nie chcę używać więcej dosadnych wyrażeń — niż ta ekskursja na wystawy hiszpańskie. I to na dwie. Można zachorować, o ile ktoś nie jest zawodowym korespondentem...

— Ale Sewilla... — starałem się przerwać wezbraną falę wymowy.

— Nie, panie — nie dała mi dojść do słowa pani Wanda — ani Sewilla, ani Grenada, ani najpiękniejsze miasta iberyjskie podczas wystawy. Ten ekshibicjonizm urzędowy należy do najnudniejszych i najbardziej męczących rzeczy w świecie, a cóż dopiero tam, gdzie niebardzo jest gdzie mieszkać, a o jedzeniu lepiej nie mówić...

— No, w Madrycie... — starałem się bronić przyjaciół Hiszpanów.

— W Madrycie jest Goya i Velasquez, i nic więcej — kategoryczne opinje wygłaszała nieprzyja-

ciółka wystaw. — Ale Madryt pan zna, a na podróż do Barcelony ja się nie mogę zgodzić. Chyba są także prawa pokrewieństwa! Nie wiem, jak to było z naszemi babkami, ale prababka, zdaje się, była wspólna. To daje mi pewne prawa, chociażby do powstrzymania pana od kroków lekkomyślnych, sprzecznych z opinją, jakiej pan zażywa.

— Więc ażeby nic nie popsuć, mam siedzieć w Paryżu? — spytałem, korzystając z chwilowej przerwy w wykładzie.

— Jeżeli panu o moje zdanie chodzi — kontynuowała pani Motwidowa — to przedewszystkiem proszę dosłuchać do końca, nie robiąc własnych hipotez i nie wmawiając we mnie ich autorstwa...

— Chciałem odgadnąć myśli pani — tłumaczyłem się z pewną hipokryzją.

— Ja myślę — nieco uroczyście wyjaśniała pani Wanda — że skoro spotkaliśmy się tutaj, na rozstajach, na co się wcale nie zanosiło, to nie po to, aby znowu i bezpośrednio stracić się z oczu. Niech pan jedzie z nami do Jerozolimy!

Propozycja była zbyt nieoczekiwana, by mogła być dobrze przyjęta. Paweł przyłączył się naturalnie do projektu żony i rozpoczął propagandę w innem oświetleniu: jeśli zwiedzać Palestynę, to i o Syrję się zaczepi. Porównanie dwóch «mandatów», dwóch systemów, angielskiego i francuskiego, nie mówiąc już o wielkiem wrażeniu, jakie Ziemia Święta na zwiedzających zwykle wywiera... I możnaby zajechać do Kairu.

Zdaje się, że, korzystając ze sposobności, Paweł poprowadził samodzielną politykę egiptologa w zarodku, bo zamierzony kierunek podróży wywołał protesty pani Wandy.

— W Kairze wiecznie to samo: wiatr, kurz, gorąco, ale tylko na termometrze.

Nie wiem, czy duch przekory, czy też solidarność męska kazała mi bronić marszruty Pawła.

— Tak, ale są piramidy i spadek Tut-ankh-Amena.

Piramidy nie nęciły pani Wandy, ale godziła się ostatecznie, że jeżeli ktoś ma narowy amerykańskie, to może się i niemi zachwycać, zwłaszcza przy świetle księżyca. Kamienie bez księżyca nie podobają się Jankesom. Ale pamiątki trzynastej czy też siedemnastej dynastji — z dynastjami coś było w nieporządku — rzeczywiście zasługiwały na uwagę: «coffin'y» z cyzelowanego złota, emalje, kamienie drogocenne... Jako ustępstwo dla nas, pani Wanda godziła się nawet na Kair, wobec czego już nie mogła wątpić, że i ja zrezygnuję z moich dotychczasowych planów.

Broniłem się jeszcze czas jakiś, ale w podświadomości tliło poczucie przegranej sprawy: życzenie pani Wandy miało zatriumfować nad moją wolą. Zresztą kuto żelazo, póki gorące, i już tegoż dnia po południu moja odnaleziona kuzynka inaugurowała konferencję z jednym z wice-dyrektorów «Messageries Maritimes». Do tego właśnie towarzystwa pani Wanda miała zaufanie: bo to i rząd francuski

w niem bierze udział, i podobno jakieś interesy polskie — «bodaj czy nie emigracyjne» — mówiła wszechwiedząca osóbka — są z niem związane. Dlatego towarzystwo zasługuje na względy. Wychodziło trochę na to, że pani Wanda czynnie popiera aljans francusko-polski i politykę własnego rządu, a więc nie zapomina o patrjotyzmie, który zdobi Polki, jak wiadomo, obok innych licznych zalet... Dyskretne uwagi Pawła o przedsiębiorstwach okrętowych, rzekomo równie solidnych i rozporządzających większemi, a co ważniejsza «młodszemi» statkami, nie zyskały uznania. Pani Wanda poleciła jeszcze raz nakręcić film «propagandowy» — Paweł coś wspomniał o reklamie — który oglądała już dnia poprzedniego, i przed naszemi oczami, przyzwyczajonemi do słoty paryskiej, przesunęły się różne Aleksandrje i Aleksandretty, Jaffy i Haify, Bejruty i Smirny — wszystko w słońcu i weselu, oblane szafirowem morzem o fali zaledwie ruchomej, wzbudzającej nietylko zaufanie, ale i tęsknoty. Na pokładzie statku — a zwał się «Angkhor» dla uczczenia ruin znamienitych — turyści, spowici w białe flanele i nankiny, dawali folgę uczuciom radosnego zdziwienia. Wszystko wyglądało razem na bajkę, na feerję, na urzeczywistnienie marzeń o krainach wiecznej szczęśliwości. Pani Wanda obserwowała, jakie wrażenie wywiera na mnie kalejdoskop wschodni.

— Na tym samym «Angkhorze» wyruszymy za kilka dni z Marsylji — zdecydowała w chwili najwyższego napięcia. — Pan dyrektor — zwróciła się

pani Motwidowa do reżyserującego Francuza — i panu zapewni odpowiednią kabinę. Nie będzie to łatwe ze względu na spóźnioną decyzję, a o miejsca teraz jest bardzo trudno, bo «Mesażerje» zapewniają gościom «maximum» komfortu i najlepszą kuchnię w porównaniu z innemi statkami.

Pochwały techniczne w oryginalnym stylu «Baedekera» byłyby może trwały jeszcze dłużej, gdyby apologetka nie miała przed sobą spraw ważniejszych: chodziło o kaski i woale do obrony od południowego słońca, oraz o inne przybory, niezbędne do egzotycznych podróży. Bilety miano mi przesłać do hotelu, i pani Wanda, biegła w ocenianiu komplikacyj psychologicznych, pozwoliła mi wycofać się do zacisza domowego, abym w samotności przeżył upokorzenie narzuconych decyzyj i gotował się do wrażeń, «jedynych w życiu». Proroctwa te miały się spełnić, choć w innej nieco realizacji.

Sprawy potoczyły się torami, wytkniętemi przez moją energiczną kuzynkę. W kilka dni po seansie w «Mesażerjach» dojeżdżaliśmy do Marsylji. Nad miastem świeciły łuny tak silne, jakby od rozpętanego pożaru. Pani Wanda śmiała się z tych obaw, lecz już na dworcu okazały się one prawdziwe. Płonął «Paul Lecat», jeden z czołowych statków «Mesażeryj», dobrze znany z ekskursji ratowniczej do Tokjo podczas ostatniego trzęsienia ziemi. Miał on wtedy mandat reprezentowania Francji w tej akcji samarytańskiej i wywiązał się ze swoich zadań ku

chwale ojczyzny... Teraz cała Marsylja wyległa na wybrzeża i przyglądała się wysiłkom zbiorowym, kierowanym z lądu i morza bez żadnego skutku. Płonący statek przeholowano z basenów wewnętrznych ku bardziej opuszczonym, potem jeszcze przesunięto go ku brzegom odludnym, i groźne wrażenie robiła ta płynąca masa ognia, który ze zmienną siłą przerzucał się z jednego boku statku na drugi. Nazajutrz rano tylko żelazny szkielet, silnie nadwerężony, cienką smugą dymu znaczył jeszcze niedawną katastrofę.

Pani Wanda przeżyła coś w rodzaju rozczarowania, czy też obawy. Dlaczego «Paul Lecat» spłonął? Statek był unieruchomiony, prowadzono na nim jakieś czynności reparacyjne, a więc o krótkiem spięciu nie mogło być mowy, gdyż motory elektryczne są wtedy wyłączone, jak o tem wiedzą specjaliści. Podejrzenie padło na «boy'ów» chińskich, przywiezionych do Marsylji przed kilkunastu dniami z Dalekiego Wschodu i zwolnionych od zajęć z powodu krnąbrności i lenistwa. To już mogło trafić każdemu do przekonania, chociaż prasa informowała niezmiennie, że przyczyny pożaru nie są ustalone.

— Najprawdopodobniej robotnicy, pracujący przy naprawie, «zaprószyli» ogień — zdecydowała ostatecznie moja kuzynka. — Nam to nie grozi, ponieważ «Angkhor» nie jest w naprawie...

— I na pełnem morzu — dorzuciłem z przekąsem — łatwiej o ratunek...

— W każdym razie łatwiej, niż o spokój ducha, jeśli ktoś ma pańską naturę — replikowała przyjaciółka «Mesażeryj». — Zresztą może pan wsiąść na inny statek, jeśli do tego nie ma pan zaufania.

Pani Wanda w złą godzinę widać wspomniała o innym statku. Po powrocie do hotelu każdy z nas odebrał pięknie wystylizowany list z «kompanji», w którym go zawiadamiano, że nastąpiły zmiany w marszrutach okrętowych, i że z tego powodu zostaliśmy przeniesieni na pokład «Teofila Gautier», który nazajutrz odpłynie do Aleksandrji. W porcie zaś mówiono, że «Angkhor» został skierowany na Madagaskar, gdzie dogorywał «Lamartine», statek, mający jednocześnie manifestować zamiłowanie wielkiego poety do podróży wschodnich, i właścicieli towarzystwa okrętowego do wielkiego poety... Dyrekcja zawiadamiała nas, że dokonana zmiana wyjdzie nam na dobre, ponieważ «Teofil» jest zbudowany przed dwoma laty, łączy bezpieczeństwo, szybkość i komfort; że otrzymamy kabiny jeszcze większe, kuchnię jeszcze lepszą, jeśli to możliwe, niż na «Angkhorze» i wszystkie udogodnienia, stosowane tylko zrzadka na wielkich transatlantykach... Wobec powyższego, autorowie listu nie wątpili, że nie zwrócimy biletów już nabytych i obdarzymy «Teofila» tem samem, czy też jeszcze większem zaufaniem, niż to, jakie położyliśmy w «Angkhorze»...

Pani Wandzie buzia wydłużyła się niepomiernie. Żal mi się jej zrobiło, i jąłem ją pocieszać.

— Ostatecznie, droga pani, z «Angkhorem» je-

szcze się bardzo nie zżyliśmy. A informacje pani nie były zbyt dokładne. Gruchocik to jeden z najstarszych, jak i sławne ruiny, od których zapożyczył nazwę... Czy na «Teofilu» będzie dobrze, to dopiero czas pokaże przy jakiejś poważniejszej próbie, a może jej unikniemy. Niech pani zbytnio się nie frasuje, gdyż pogoda ducha jest najlepszym środkiem przeciwko chorobie morskiej, do której Polacy mają pewną skłonność — z obawy przed morzem.

Ten bieg myśli trafił pani Wandzie do przekonania. Zawiozła nas do apteki angielskiej — gdzie tych «english chemists» teraz niema — i wzmocniła zasoby cudownych środków przeciwko złościom morskim. Potem odbyliśmy jeszcze pielgrzymkę do «Notre Dame de la Garde», gdzie wyjeżdżający turyści świeczkę Madonnie na intencję pomyślnego powrotu stawiać zwykli, i wykonawszy w ten sposób wszystko, co należało przed podróżą, oddaliśmy się radości życia na lądzie. W Marsylji w tych wypadkach jada się «bouillabaiss'ę», co dodaje wigoru i zaprawia do kuchni okrętowej, i popija winem w celu zwiększenia odporności ogólnej. «Réserve'a» marsylska z widokiem na rozbłyszczone morze była świadkiem tej ostatniej uciechy kulinarnej na stałym terenie, a odbywający się jednocześnie bal kolonji angielskiej dorzucał nuty radosne, o swoistym charakterze, do rozmyślań, które snuły się po głowach. Tak upłynął ostatni wieczór przed wyjazdem.



MENA-PALACE POD PIRAMIDAMI: WYJAZD

«Teofil» wykańczał swoją toaletę i uzupełniał ładunek. Ogromne windy, obdarzone sprytem ludzkim, a siłą nadludzką, wciągały na tylny pokład całe masy skrzyń, worków i wagonów kolejowych. Były to prowizje i aeroplany, wysyłane do Bejrutu, i sądzić można było o zaufaniu, jakiem «Teofil» cieszył się w sferach miarodajnych, skoro mu powierzano bez obawy sprzęt wojenny, przeznaczony do wzmocnienia «mandatu» nad tą niezawsze posłuszną Syrją. Szorowano pokłady, czyszczono okucia mosiężne z zawziętością, godną trwalszej sprawy, a rampa okrętowa towarzystwa wydawała się jakby przygnieciona przez wznoszący się wysoko ponad nią kadłub okrętu.

Pani Wanda nuciła monotonne piosenki angielskie, zasłyszane poprzedniego wieczora, i ulegała przypływowi otuchy i energji. Do odjazdu pozostawało jeszcze kilka godzin, i pierwsze zetknięcie z «Teofilem», narazie tylko od zewnątrz, wypadło jak najlepiej. Ustąpiły ostatnie wahania, kufry sprowadzono z hotelu, i po skrzypiących schodkach żelaznych odbyła się instalacja w ukrytych czeluściach statku. Najbliższy postój miał się odbyć w Aleksandrji szóstego dnia podróży, więc było dość czasu na dokładne zaznajomienie się z «Teofilem». Tymczasem każdy graty swoje układał i gotował się do życia miłego, tak, jak to oglądać można w teatrach paryskich: «Sur mon beau navire» należy chyba do kategorji sztuk, napisanych na obstalunek towarzystw okrętowych.

ROZDZIAŁ II

BURZA NA MORZU

Odbyłem w życiu kilka podróży morskich, nie licząc przejazdów przez burzliwy «Chanel», które jakoś nigdy mi nie zakłóciły spokoju i nie wyprowadziły z równowagi. Stąd nabrałem przekonania, że posiadam t. zw. «le pied marin» — stopę morską, gwarantującą bezkarność wędrówek okrętowych. Dlatego też niedoceniałem zbytnio uwag, które zaraz na wstępie zrobił komendant statku, bardzo spasiony i okazały marsylczyk, nazwiskiem Chaloumigue.

— Podróż będzie naturalnie doskonała — suggerowałem po pierwszych uprzejmościach.

— I ja myślę, że tak być powinno — zapewniał bez przekonania kapitan. — Ja mam dużo szczęścia. Nawet podczas wojny nie widziałem ani razu łódki podwodnej.

Okazało się, że kapitan krążył pomiędzy Marsylją, wybrzeżem hiszpańskiem i Anglją w czasach

najzawziętszych ofensyw ze strony niemieckich «U-bootów» i niezmiennie wykręcał się z niebezpieczeństw. To mu dodało pewności siebie, a więc jednej z głównych zalet kierowniczych.

— Ale barometr jakoś bez przerwy spada — dodał Chaloumigue, rozglądając się po morzu. — Już od Marsylji mamy kilka milimetrów różnicy. Jakaś dziwna historja!

— To na deszcz. A siąpi bez przerwy — uspokajałem zdaje się więcej siebie, niż kapitana.

Chaloumigue spojrzał się na mnie, jak na człowieka zdezorjentowanego. Oczywista słuszność moich uwag lądowych widać zatracała siłę na morzu.

— Na morzu deszcz pada nieraz przy wyżu barometrycznym — zauważył po chwili. — Dostaniemy się w jakąś burzę, trzeba będzie zmienić kierunek.

Jak się okazało, Chaloumigue zamiar ten wykonał, lecz dowiedziałem się o tem dopiero o parę dni później. Zamiast przesunąć się pomiędzy Korsyką i Sardynją przez burzliwy zazwyczaj przesmyk św. Bonifacego, skierował się ku wybrzeżom włoskim, okrążył zdaleka wyspy i wypłynął na morze Tyreńskie. Lecz sprawy nie poszły tak gładko, jak się obecnie przedstawiają z oddalenia czasu.

Zmrok już na dobre zapadał, kiedy ze statkiem poczęły się dziać dziwne rzeczy. Siedząc na fotelu, dobrze przymocowanym, miałem wrażenie, znane z czasów dziecinnych, jakgdyby zbytnio rozbujanej huśtawki, z tą tylko różnicą, że oprócz kierunku

głównego były i nieoczekiwane wstrząsy boczne, najbardziej może niepokojące. Dopóki wznosiliśmy się i opadali po linji biegu okrętu, rzecz była do wytrzymania. Ale kiedy «Teofil» począł się pokładać kolejno na prawy i na lewy bok, sytuacja pogorszyła się z przerażającą szybkością. Na górnym pokładzie, który służył za sufit mojej kabiny, słychać było przyśpieszone kroki służby okrętowej, zaopatrzonej w grube trzewiki. Hałas stąd był nieznośny, gdzieś przebił się zgrzyt tłuczonego szkła, trzaskały jakieś drzwi w prawidłowych odstępach czasu, słychać było płacz kobiecy, dochodzący z dolnych pięter. Lecz gwizd wiatru i uderzenia fali o ściany statku wkrótce to wszystko pokryły, i zaczął się taniec św. Wita.

Kto nie był na morzu podczas burzy długotrwałej i intensywnej, nie może mieć pojęcia o całkowitej bezsilności człowieka wobec żywiołu. Statek o pojemności kilkunastu tysięcy tonn, olbrzym, jeśli mu się z brzegu przyglądać, opancerzony do wysokości kilkunastu metrów od wody, staje się igraszką, jakgdyby zabawką w ręku jakiegoś złego ducha, poniewierającego tę łupinę, którą człowiek olbrzymim nakładem czujnej myśli, pracy upartej i śmiałego kapitału zbudował sobie dla opanowania morza. Coś w rodzaju poświstu djabelskiej ironji przebija przez skargi uciśnionego statku, przez zgrzyty ścian, jakgdyby rozlatujących się na połączeniach nitów, przez trzask i łomot maszyn, pracujących nadmiarem wysiłku. Ma się odczucie, że siła oporu każdej

chwili może być przełamana, że burza zgniecie statek i zmiecie ludzi razem z tak eufonicznie zwanemi środkami ratunku. Jakżeżby można je zastosować, kiedy nawet służba okrętowa, załoga i sztab oficerski z trudem mogą się utrzymać na nogach, a o spuszczeniu łodzi na wodę przy naprawdę burzliwem morzu można mówić chyba w teorji — i na lądzie?

Ludzie są bezsilni. Po chorobie morskiej, fazie początkowej, przychodzi bezwład i apatja. Najbardziej przeraźliwy «klaxon», wzywający do zorganizowanego ratunku w razie niebezpieczeństwa, nie mógłby zelektryzować tych półnieboszczyków. Przeżywałem z pokorą te wszystkie refleksje, rozciągnięty na łożu boleści, gdzie zniknęła moja doskonała opinja o własnej odporności i zaletach «stopy morskiej», kiedy niezwykły trzask, powtórzony niebawem, wyprowadził mnie ze stanu odrętwienia. W powietrzu zadrżał dźwięk jęczącej jakby struny. Po chwili wpadł do mnie Paweł w stanie niezwykłego podniecenia.

— Gdzie jest Wanda?

Więcej mimiką, niż słowami, starałem się zaznaczyć, że miejsce chwilowego pobytu Wandy jest mi nieznane. Ale po zniknięciu upiornej postaci Pawła resztką sił udało mi się wstać i opuścić kabinę. Skierowałem się w stronę schodów, prowadzących na pokład, obijając się o drzwi sąsiednie, o poręcze ochronne, o fotele w hall'u okrętowym. Ktoś tam siedział i głośno zawodził. Przysiadłem i ja na schodach, żeby nabrać otuchy, i przy zastosowaniu samo-

rzutnej ekwilibrystyki zacząłem po chwili piąć się ku górze. Ktoś mnie potrącił i o mało za sobą nie pociągnął, zjeżdżając w przeciwnym kierunku. Z trudem poznałem w postaci niewieściej z rozwichrzonym włosem i w przemoczonym płaszczu panią Motwidową, odbywającą w przyśpieszonem tempie odwrót z pokładu. U wylotu schodów zarysowała się potężna sylwetka komendanta.

— Pan robi jakieś eksperymenty — z całym spokojem zagadnął mnie Chaloumigue. — A to rzeczywiście noc z piekła rodem! Chciałem trochę przyśpieszyć biegu, i widzi pan, co się stało: fortepiany w salonach wyskoczyły ze swoich opraw i porozbijały wszystko, co było na drodze.

Chaloumigue z flegmą marynarza pokazywał przez szczątki potłuczonych szklanych drzwi spustoszenia, spowodowane w salach bawialnych. Duma «Teofila», powód megalomanji miejscowych patrjotów — wszystko to znajdowało się w stanie pożałowania godnym. Marynarze starali się ponownie unieruchomić pudła instrumentów, które czasem zadźwięczały jakby cichą skargą. Ton metaliczny strun fortepianowych przebijał się nawet przez wycie burzy i jakimś smutkiem niezwykłym drgał przez krótką chwilę. Potem zgiełk wichury i trzeszczenia statku zapanowały w hałasie niepodzielnym.

— Jabym panu radził wrócić do kabiny — przekonywał mnie komendant. — Ale jeżeli pan koniecznie chce iść na pokład, to poślę za panem «stewarda».

Z chwilą, kiedy otworzyłem drzwi zewnętrzne, coś mnie z nieodporną siłą cisnęło o poręcz żelazną, a potem o ścianę z drugiej strony pokładu. Lampy elektryczne były porozbijane, panowały ciemności, do których wzrok dopiero musiał się przyzwyczaić. Przez pokład przechodziły fale, świat naokoło zmętniał, i niewiadomo było, czy wiatr, czy też woda większe harce wyprawia? W pewnej chwili jakaś masa czarna z jazgotem zaczęła sunąć ku mnie po pokładzie. Marynarz, który wyłonił się z ciemności, popchnął mnie za występ ściany.

— «Deckman» powiązał łańcuchem fotele pokładowe, żeby mu nie uciekły — wyjaśniał ze śmiechem istotę zjawiska — i teraz nie można wcale chodzić po pokładzie, te graty spacerują naokoło statku. Łatwo się przewrócić i wylecieć niewiadomo kiedy! Możeby pan wrócił do kabiny.

Już niedługo trzeba było mnie namawiać: fala odszukała mnie w mojem ukryciu i przybiła do ściany. Przemoknięty i pozbawiony wszelkiej jasności sądu, znalazłem się niebawem wewnątrz statku, pilotowany przez mojego przygodnego opiekuna. Droga na dół była łatwiejsza od poprzedniej, tylko kabinę było trudno odszukać. Kiedy wszedłem do mojego «tusculum», pomimo oszołomienia stanąłem, jak wryty.

Kabina wyglądała, jakgdyby jakiś złośliwy psotnik nadokazywał bez miary podczas mojej nieobecności. Część mebli była w ruchu, a z niemi razem wędrował jakiś duży kufer — i para bucików.

Ta, dowolnie skomponowana, grupa poruszała się miarowo pomiędzy ścianami moich izdebek i nawet potrafiła przesunąć się przez niezbyt szerokie drzwi pomiędzy sypialnią i salonikiem, szerząc naturalnie po drodze wszelkie możliwe spustoszenia. Poniewierały się potłuczone lampy, butelki, flakony, porozrzucane papiery, całe wnętrze teki podróżnej, łącznie z korespondencją i pieniędzmi — jak po jakim przerwanym napadzie bandyckim. Chciałem to doprowadzić do ładu, ale zabiegi były bezskuteczne. Wyciągnąłem się więc na łóżku i, zobojętniały na wszelkie hałasy i katastrofy, zasnąłem snem kamiennym. Kiedy się obudziłem, tylko cichy stuk motorów świadczył o tem, że statek jest ciągle w ruchu, lecz ruchu tego nie byłem zupełnie w stanie odczuć. Słońce wdzierało się przez przysłonięte okna, z wielkim wysiłkiem podniosłem się, aby wyjrzeć na morze: przede mną fala szafirowa i rozzłocona z cichym pomrukiem obijała się o ściany statku. Przetarłem oczy, niedowierzając zbytnio nieoczekiwanemu zjawisku, lecz rzeczywiście było już po wszystkiem: Zniknęła burza, uspokoiło się morze, i okręt, niepomny nocnych przeżyć, zmierzał ku swoim dalekim przeznaczeniom, jakby nic nigdy nie zaszło.

Życie na statku powoli bardzo wracało do normalnego biegu. Sale jadalne były jeszcze puste, wymęczony lud morski odpoczywał po przeżyciach tej strasznej nocy. Jeszcze czasem zawył któryś z psów, znajdujących się na okręcie w oddziale łodzi ratun-



GŁOWA KRÓLOWEJ NEFERTITI

kowych: biedne zwierzęta fatalnie odczuły wstrząsy morskie i nie mogły się uspokoić. Odwiedzaliśmy je kolejno, ku ich żywej radości, zwłaszcza śliczna wyżlica, podróżująca samodzielnie i bezpańsko z Marsylji do Aleksandrji, widocznie rozpieszczona i nieprzyzwyczajona do samotności, dawała folgę swym uczuciom towarzyskim. Najgorzej było, że przy każdem rozstaniu rozpoczynały się wycia, i ktoś znowu wdrapywał się na «psią górkę», aby uspokoić tęsknoty wyżlicy.

Komendant pokazał się dopiero późnym wieczorem. Wyglądał niewywczasowany i wynędzniały. Przy szklance wina nabrał jednak humoru i opowiadał swoje przeżycia.

— Dopiero drugi raz byłem w takiej opresji. Pięć lat temu na oceanie Spokojnym wpadłem w cyklon i przez trzydzieści kilka godzin nie można było z niego się wydostać. No, i wczoraj przez siedemnaście godzin nie odchodziłem prawie od steru. Na szczęście, tutaj takie nawałnice zdarzają się rzadko i nie trwają długo. No, ale statek dobrze się spisał. Prawdziwy chrzest z wody.

Koło mnie siedział pół-archeolog, pół-turysta, monsieur Gérard, który jechał organizować «croisiére'y» w Egipcie, zdaje się z ramienia «Mesażeryj». Gérardowi wyjaśnienia kapitana nie trafiały do przekonania i jął mi naszeptywać krytyczne uwagi.

— Co on tam opowiada ten wieloryb! Statek się nie spisał, a i on również. Gdzieś błądziliśmy po

nocy, i niewiele brakowało, ażeby zalało kotły! Będziemy mieli dzień lub półtora opóźnienia do Aleksandrji, przypuszczając, że już «Teofil» nie będzie wystawiony na nowe próby. Tyle lat podróżuję, a nie widziałem okrętu, któryby się tak tarzał po morzu.

— Eh, to pan nie zna «Angkhora» — wtrącił sąsiad, podsłuchujący Gérarda. — Na tym przy najsłabszym «roulis», nawet nie podczas burzy, niewiadomo gdzie się ma głowę, a gdzie nogi!

W tej chwili weszła pani Wanda. Wygląd miała normalny, tylko nieco przybladła i odmłodniała. Paweł niósł za nią całe stosy pledów i przyodziewków, widać wybierali się na pokład. Zapewne wzmianka o «Angkhorze» ją uderzyła, bo przystanęła obok opowiadającego i przysłuchiwała się jego słowom.

— Całe szczęście, że zmieniono w ostatniej chwili to Angkhorowe pudło na «Teofila Gautier». Jeżeli pan Gérard i z tego jest niezadowolony, to coby pan o tamtym powiedział? Tamten koziołkuje, jak klown w cyrku, nawet kiedy niema koniecznej potrzeby.

Pani Wanda jeszcze zbladła i poszła z mężem na pokład, a ja za nimi. Zaczęły się żale i opowiadania. Któż mógł przypuszczać, że będą działy się takie straszne rzeczy, kiedy wyruszaliśmy z Marsylji? A i przedtem przecież tyle się nasłuchano zapewnień o tej cudownej podróży, i tak to miało ładnie wyglądać...

— Na tym filmie propagandowym — przerwałem ze śmiechem skargi pani Wandy. — To wła-

śnie «Angkhor» był uwieczniony w słońcu, a podobno taki nicpoń podczas burzy!

Reminiscencje paryskie i przypomnienia motywów, które wpłynęły na decyzję pani Wandy, rozweseliły nas wszystkich. Rozmowa weszła na spokojniejsze tory, każdy miał własne wrażenia do wypowiedzenia. Nie szło to bardzo składnie i wywołało pewną emulację, dopóki każdy nie naopowiadał się dosyta.

— W każdym razie — zakonkludowała pani Wanda — proszę nie zapominać, że odbywamy pielgrzymkę. Więc i pewne umartwienia będą nam na dobro policzone. Lamartine podróżował w gorszych warunkach... 230 A

Ostatni argument pozyskał ogólne uznanie, tem bardziej, że pogoda ustaliła się przepiękna, i że życie na statku popłynęło zwykłym, barwnym trybem. Fotele, zwolnione z żelaznych więzi, stały rozrzucone po pokładzie, ukazały się jasne toalety i ciemne okulary, znak niezawodny, że słońce przyświeca na dobre. Barwne mundury oficerów francuskich, podniesione w efekcie przez malownicze, białe lub czerwone, burnusy wojsk kolonjalnych, migały często, zwłaszcza w godzinach wieczornych, i to stale w towarzystwie płci pięknej, która na statku przeważała. Było wśród podróżnych trochę Anglików, sporo Amerykan, ale pierwszeństwo pod względem ilościowym należało bezspornie do Argentyńczyków, Hiszpanów i ludów pokrewnych. Poznać je można było po znakach niezawodnych, bo «chevelure'y» były

Biblioteka Publiczna w Olsztynie

czarne, oczy iskrzyste, temperament południowy, a wymowa — szybka, głośna i nieustająca. Co spokojniejsi ludzie starali się izolować od tych rozgadanych, nieco haśliwych grup, wśród których rej wodziła «équipe'a» młodych panien, zdążających przez Jaffę do Jerozolimy. Zapewne teorje pani Wandy o skuteczności umartwień nie były im znane, bo panienki dokazywały i bawiły się od rana do późnej podobno nocy. Stąd wynikały pewne niebezpieczeństwa i dla czci niewieściej, i dla zdrowia, bo panny w leciutkich sukienkach wystawiały się na fantazje temperatury i podmuchów morskich, niebezpiecznych dla krótkich i przewiewnych spódniczek i obfitych dekoltaży. Paweł przepowiedział, że się to skończy zapaleniem płuc i zaokrągleniem figur, lecz były to horoskopy na dalszą metę. Narazie panny brykały niezmiennie, a w chwilach umęczenia, o ile nie było innej muzyki, puszczały w ruch parę kłótliwych fonografów, stanowiących część składową bagażów argentyńskich. «Ramona» — dokąd od niej uciec można? — rozczulała audytorjum, potem przychodził bełkot angielskich umiłowanych utworów, a od czasu do czasu nieznany tenor bohaterski odzywał się z płyty jakąś nieprawdopodobnie wysoką nutą... «Psia górka» reagowała we właściwy sobie sposób na te wszystkie popisy, a niebawem zjawiła się konkurencja: jakiś pasażer, który dotąd chorował w czeluściach kabiny, zaczął odbywać rekonwalescencję na pokładzie. Kiedy zorjentował się, że można bezkarnie hałasować pod znakiem fono-

grafu, przyniósł także swoją skrzynkę, głośniejszą i plugawszą od panieńskich. Zwykle udawało mu się je przekrzyczeć, czy prześpiewać, jak kto woli, lecz to ostatecznie zatruło atmosferę spokoju. Nie pozostawało nic innego, jak wywędrować z fotelami na tył okrętu, gdzie było mniej więcej cicho. Tylko czasem mewa zakwiliła, jakgdyby skargą lub prośbą niezrozumiałą, i szeroka brózda wodna pieniła się z szumem, znacząc drogę, którą statek żłobił na fali morskiej.

Tak więc w względnej ciszy i dobrobycie, po siedmiu dniach podróży dobiliśmy do Aleksandrji. Przybyliśmy właściwie nieco wcześniej, lecz władze egipskie odmówiły wpuszczenia okrętu do portu w godzinach wieczornych, kiedy krajowcy wypoczywają, i musieliśmy przeto bezcelowo przez noc całą odbywać «raid'y» pomiędzy Aleksandrją a Rosettą, czekając, aby urzędnicy sił nabrali do sprawowania swych uciążliwych czynności. Ale poświęcili się im od rana z podziwu godnym zapałem, i nawet celnicy polscy mogliby się tu sporo nauczyć. Nie zauważyłem ani jednego pasażera, któryby gładko przebył lustracje paszportów i manatków, kwestjonowano nawet wizy i uprawnienia własnych przedstawicielstw w Europie. Zdaje się jednak, że panowie w fezach mają pewien system w tym nieporządku, tylko Europejczycy nie są dość lotni, aby odrazu odgadnąć, na czem system ten polega. Gdy światło na nich zstąpi, i oni dają sobie radę z wyznawcami proroka i obyczajów wschodnich: tutaj

prawie każdy, od dzieci poczynając, mówi i myśli o «bakczyszu», i do tej psychologji trzeba się dostosować, ponieważ na walkę z nią nie wystarczyłoby sił i czasu. Najwygodniej więc przypomnieć sobie zasady Tołstoja i godzić się ze złem.

W każdym razie sumienności wypoczynkowej władz egipskich mieliśmy do zawdzięczenia nocną perspektywę wybrzeża i cudny poranek w porcie aleksandryjskim. Już w nocy podziwialiśmy zdaleka efekty świetlne olbrzymiej latarni morskiej i migocących tysiącem świateł wybrzeży i debarkaderów. W tę względną symetrję pewną nutę ruchu i niepokoju wprowadzały kręcące się po porcie żuki świętojańskie, zapewne latarnie łodzi policyjnych i «ferryboatów», sunących w rozlicznych kierunkach. Lecz dopiero poranek odsłonił pełnię zjawiska. «Teofil» zwolnił biegu, przyjął na pokład pilota, który ze zręcznością małpy wdrapał się po sznurowej drabince na kilkunastometrową wysokość, i zaczęliśmy lawirować wśród skupień statków, parowców i łodzi żaglowych dziwnego autoramentu i struktury. Jak okiem sięgnąć, olbrzymi basen portowy zdawał się pokryty zwartą masą różnorakiego sprzętu nawigacyjnego. Chłodny powiew wiatru rozrzedzał zgęszczone nad miastem opary, i w chwili, kiedy pierwsze promienie słońca ozłociły kopułę bezczynnego już «lighthouse'u» — Egipcjanie zaadoptowali nazwę angielską latarni — atmosfera była przesycona mgłą przezroczystą i tak błękitną, że pastelem swoim zabarwiła niebo i mo-

rze, ludzi i statki, a przedewszystkiem widniejące woddali gmachy i rudery, całą panoramę rozrzuconego przed nami wschodniego miasta. Jakiś wielki pałac, podobno letnia rezydencja króla Fuada, długą linją swoich białych ścian, obciążonych kopułą, wrzynał się w morze, za nim ku lądowi ciągnęły się gmachy reprezentacyjne, a potem panował już nieład skłębionego miasta o charakterystycznych konturach domów, pozbawionych dachów, o strzelistych minaretach, rysujących się wykwintem linij ponad masą nieco monotonną płasko zakończonych budowli i dysharmonijnych kominów. Zgiełk budzącego się portu dochodził z wiatrem coraz silniej i stopniowo pochłonął naszą uwagę. Ruchliwe życie Wschodu, głośne, rozkrzyczane, skłócone, a jednocześnie spowite w jaskrawość ubrań i hieratyczność gestu, wygląda zdaleka o wiele ciekawiej, niż zbliska. Pierwsze wrażenia są jednak bardzo silne, i rzadko kto oprzeć im się zdoła, nawet jeśli są to już rzeczy znane, widziane nie po raz pierwszy.

Łodzie reklamowe gęstym zastępem otoczyły statek. Miejscowe hotele i większość «palace'ów» kairskich w ten sposób zachęcają turystów, zgodnie z utartym obyczajem, do wyboru chwilowej siedziby. Nie wiem, czy skutek odpowiada wielkości wysiłku, w każdym razie przy zbliżaniu się do lądu zabiegi, czynione przez barwne załogi hotelowe, przechodzą we wrzask, ogłuszający ofiarę. Potem pierwsze zetknięcie z władzami lądowemi, także niezbyt zachę-

cające, i niema już żadnej oficjalnej przeszkody, aby torować sobie drogę wśród zwartego tłumu faktorów, żebraków, natrętnych niewiast i hultajstwa wszelkiego gatunku, oczekującego niezmiennie na wybrzeżu na przybycie każdego większego okrętu. Kto potrafi bez zbytniego szwanku przedostać się przez ten żywy mur, może następnie uważać się za «wylądowanego», odszukać znajomych, dragomanów, czy też wszędobylskiego «Cooka» i wsiąść do roztrzęsionej taksówki, przypominającej środki komunikacyjne więcej zaniedbanych miast europejskich. O ile licznik jest zaopatrzony w cyfry i napisy arabskie, oczekuje podróżnego jeszcze jedna awantura przy rozrachunku z szoferem, poczem można już bez przeszkód rozpocząć pierwsze kroki eksploracyjne.

WBP Olsztyn



POD PIRAMIDAMI: ŚRODKI LOKOMOCJI

ROZDZIAŁ III

Z ALEKSANDRJI DO KAIRU PRZEZ DELTĘ

Aleksandrja należy do miast, unikanych przez turystów. Każdemu się śpieszy, ażeby dotrzeć jak najrychlej do Kairu, gdzie ma się odszukać raj na ziemi, a zwykle znajduje się rozczarowania. Dzięki systematyczności podróżniczej pani Motwidowej, która nie chce opuścić pierwszego bazaru wschodniego, mam parę godzin czasu na zwiedzenie miasta. Ułatwia mi to zadanie wszechwiedzący «Bourette», uwieczniony niedawno przez Dorgelès'a [1]). Bourette zapomniał o własnem nazwisku i żyje kryptonimem. Przyjeżdża na Wschód tylko w wyjątkowych chwilach, kiedy trzeba coś nowego dla «kompanji» organizować. Od czasu, kiedy przeszedł do literatury, awansował widocznie i w hierarchji urzędowej. Bourette nie opiekuje się już przygodnymi turystami, błądzącymi po Egipcie i Syrji, ale rzuca nowe myśli i nowe projekty. To też i wykład jego o Aleksandrji jest nacechowany właściwą obecnemu sta-

[1]) Roland Dorgelès: La caravane sans chameaux.

nowisku powagą. Nie doradza i nie kornakuje, ale uczy. Ma zalety erudyty i bystrego psychologa.

— Jeśli pan dłużej zabawi w Egipcie, to pan wróci do Aleksandrji — stawia diagnozę Bourette — kiedy w Kairze będzie zbyt gorąco. Was, Polaków, obchodzi zawsze rolnictwo. Niech pan zwiedzi Deltę, szosy doskonałe, i urodzaje również. Tylko poza szosą jest teraz płynna czekolada. «Il ne faut pas déraper». To w tym kraju rzecz dość powszednia. Poślizgnęło się tutaj dużo polityków, a zatonęło także sporo niepowszednich myśli. Przecież Aleksander Wielki chciał tutaj ustalić stolicę swego państwa, a Napoleon widział w tym planie przebłysk genjuszu większy, niż w wygranych bitwach. Sytuacja jedyna — pomiędzy Azją i Afryką, na drodze do Indyj i blisko Europy. W porcie Aleksandryjskim zmieściłyby się eskadry całego świata... Dinokrates, twórca nowej świątyni Diany w Efezie, budował ten port. Umieścił go naprzeciwko wyspy Pharos i tamą z lądem połączył: Heptastadion. Na północ morze, na południe jezioro. Kanał dotarł do jeziora, zwanego Mareotis, i do Nilu... Wielka myśl... Potem Ptolomeusz Soter instalował bibljotekę... Powstały najpiękniejsze budowle... Sławna synagoga «Diapleuston»... Tu dzień ujrzała grecka wersja Biblji, biblja «Septantów»... i Księga Mądrości... A później upadek przy ostatnich Ptolomeuszach. «Ils ont fini par déraper». Kleopatra, okres rzymski, no, i chrześcijaństwo.

Bourette uważał, że już dość cennego czasu na

ten rys historyczny poświęcił i pomknął uświadamiać kogoś innego, czy też wykończać plan organizacyjny, któryby pozwolił w przeciągu trzech tygodni zwiedzić Nil Biały, Niebieski, katarakty, tamy, Egipt Górny i Dolny, oraz parę sąsiednich krajów dodatkowo. To wszystko naturalnie pod egidą Mesażeryj. Narazie byłem pozostawiony własnym rozmyślaniom i własnej inicjatywie.

Ponieważ nie było czasu, aby odszukiwać ślady Serapeum aleksandryjskiego, świątyni oddawna zanikłej, i oglądać kolumnę Pompejusza, mającą tyle z nim wspólnego, co obeliski igielne Kleopatry (obecnie nad Tamizą i w New-Yorku) z historyczną kochanką Antonjusza, więc skierowałem kroki w stronę morza. Teorje Bourette'a, skazujące na niepowodzenie wszystko i wszystkich, którzy działali na tym terenie odległym, kuszącym i niebezpiecznym, nie mogły mi trafić do przekonania. Przecież nie wszyscy poślizgnęli się na mule egipskim. Anglikom powodziło się i powodzi w tych stronach nienajgorzej pomimo licznych kłopotów, a i Francuzi chyba nielekkomyślnie zabiegają o odzyskanie tutaj swych dawnych wpływów. Niedarmo po wielkich egiptologach — Champollionach i Mariette'ach — przyszli francuscy ekonomiści i bankierzy. Niedarmo p. Philippar, kierownik Mesażeryj, przesiaduje często w Aleksandrji. Niedarmo margrabia de Vogüé, znany w Polsce przewodniczący Międzynarodowej Komisji Rolnej, jest obarczony prezesurą rady kanału Sueskiego, a ostatnio bawił w Kairze,

aby wręczyć Fuadowi szpadę Instytutu Francuskiego. Niedarmo organizuje się wystawa francuska w Kairze, jako rewanż za wizytę króla w Paryżu, a przy tej sposobności gotują się uroczyste obchody przy współudziale członków rządu Trzeciej Republiki, które mają podnieść jej prestiż i, naturalnie, powiększyć wpływy francuskie, przedewszystkiem w zakresie spraw ekonomicznych. A jak te wpływy są obecnie już silne, świadczy chociażby fakt, że np. cały kredyt ziemski długoterminowy jest obsłużony przez kapitał francuski w ogólnie znanym «Crédit foncier d'Egypte». Nie, Bourette stanowczo przesadzał: «derapaże» są związane nietyle z terenem, ile z osobami. Właściwie z nieznajomością terenu i z brakiem przewidywania.

Zresztą na wszystkie sprawy ludzkie można zapatrywać się pod różnemi kątami widzenia. Wystarczy chociażby wysłuchać wersetu angielskiego, a potem francuskiego o ostatnich kilkudziesięciu latach historji Egiptu. Naturalnie chodzi przedewszystkiem o rok 1882, datę usadowienia się Albjonu nad Nilem.

Mniej więcej każdy Anglik zacznie z dość daleka, zwykle od Abukiru. Pochwali się Nelsonem, skrytykuje admirała francuskiego, Brueysa, i stwierdzi, że rozbicie Turków przez Napoleona, Klébera i Murata osiągnęło jeden rezultat historyczny: wyprowadzenie na arenę dziejów Mohamet-Alego. Ten oficer baszybuzuków, wyłowiony z morza, dokąd go z jego armją zapędzili Francuzi, znalazł się na łodzi ratunkowej Sir Sydney Smitha.

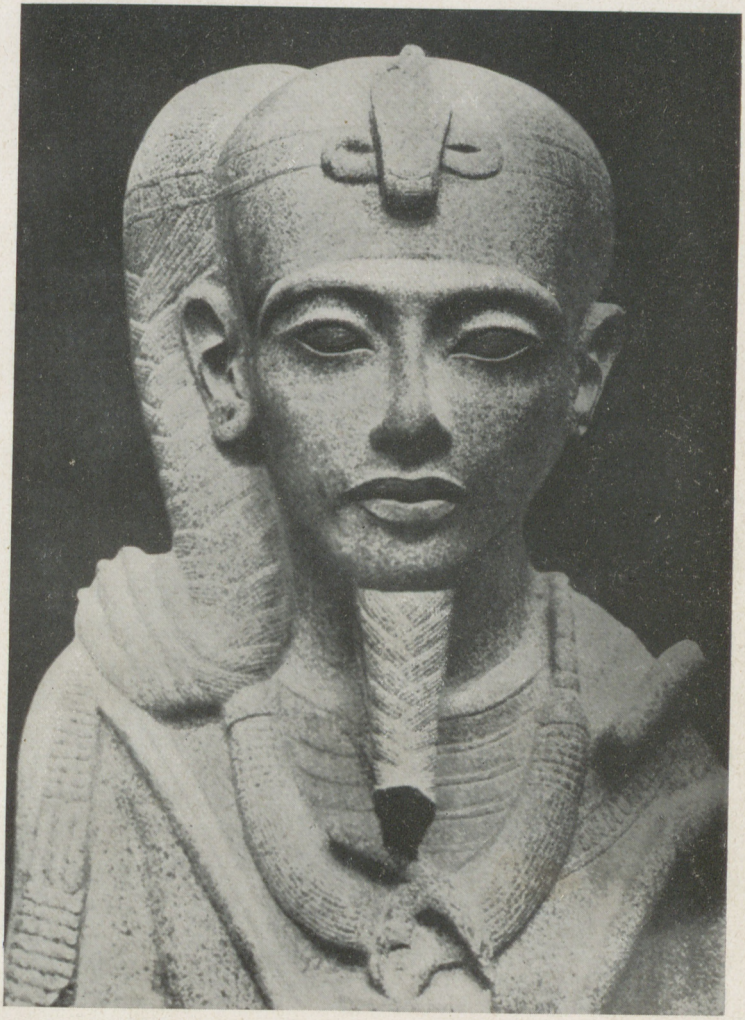

GŁOWA BOŻKA KHONSU (EPOKA XIX DYN.)

Mohamet-Ali po tej niebezpiecznej kąpieli szybko wrócił do zdrowia i rozpoczął świetną karjerę, zakończoną na tronie Mameluków. Władzę dzierżył prawie przez lat czterdzieści i ufundował swoją dynastję, której potomkiem jest król Fuad. Mohamet-Ali przywrócił sprawność portu w podsuszonej Aleksandrji, zdeklasował kwitnącą w wiekach średnich Rosettę i pomimo bardzo ciężkich dla ludności rządów doprowadził wraz ze swoimi następcami Egipt do stanu rozkwitu. Karta odwróciła się za czasów Kedywa Izmaela. O rozrzutności tego wschodniego satrapy Anglicy lubią opowiadać całe legendy, faktem jest jednak, że kedyw ten zadłużył się porządnie we Francji i w Anglji, podratował się na czas krótki zwyżką cen na bawełnę (wojna amerykańska), urządził bankiet, jakiego świat nie widział, z okazji otwarcia kanału Sueskiego — i zbankrutował. Przedtem zdążył jednak sprzedać lordowi Beaconsfield swój portfel akcyj sueskich, które, wbrew oczekiwaniom, okazały się niezłą lokatą kapitału... Następnie intronizowano Tewfika, syna Izmaela, urządzono podwójną kontrolę finansów pod zarządem dwóch komisarzy, Francuza i Anglika, i nic to nie pomogło. Tewfik, uległy wpływom tureckim, wywołał niezadowolenie w wojsku: wybuchnął rokosz, na czele którego stanął pułkownik Ahmed Arabi, wkrótce potem, minister wojny. Położenie polityczne było rozpaczliwe, a skarb pusty. Francja, której wpływy w Egipcie były najbardziej rozległe w XIX wieku, nie zdradzała ochoty

do decydujących kroków, pozostawiając sprawy ich własnemu biegowi. Właściwie wycofała się z imprezy podług planu Clémanceau'a, a tymczasem honor Anglji był zagrożony, a potrosze i Sudan, gdzie zanosiło się na burze, i naturalnie kanał Sueski dla Anglji właściwie niepotrzebny, lecz wymagający opieki, skoro już egzystował... Lord Seymour, dowódca floty angielskiej, skoncentrowanej przed Aleksandrją, nie wiedział długo, co robić, gdy nieoczekiwanie wybuchnęły zaburzenia uliczne w Aleksandrji (czerwiec 1882). Były ofiary w ludziach, nawet Europejczyków nie oszczędzono. Ahmed Arabi przywrócił był wprawdzie porządek, ale potem okrążył miasto fortyfikacjami, co mogło zagrażać flocie angielskiej... Lord Seymour uprzedzał, prosił — a wobec niepowodzenia tej taktyki, zbombardował dzieło Arabiego. W Aleksandrji ponownie powstały zamieszki, miasto uległo zniszczeniu, a Arabi-basza wycofał się w głąb kraju, gdzie po Wolseley wykończył pod Tell-el-Kebir. W ten sposób położono koniec «powstaniu» 1882-go roku, i temu zawdzięczać należy, że obecnie lord Lloyd rezyduje w Kairze w charakterze Wysokiego Komisarza... Egipt miewa się doskonale [1]).

Taki «point of view» bywa wykładany naturalnie pod nieobecność Francuzów, którzy mają wła-

---

[1]) W chwili, kiedy robię korektę tej książki, lord Lloyd już się podał do dymisji z powodu stanowiska rządu Mac Donalda wobec żądań egipskich i kompetencyj Wysokiego Komisarza.

sne tezy historyczne, nieco uproszczone w stosunku do angielskich. Zapomnieli o Abukirze, Nelsonie i o wyprawach Napoleona, a nawet o protoplastach króla Fuada... Głównie ich obchodzi rok 1882-gi. Zapewne, rozruchy w Aleksandrji zasługują na pożałowanie, jak i bójki między Arabami i Europejczykami. Kto to wszystko inscenizował, czy Arabi-basza, czy też kto inny — to jest trudne do ustalenia... Ale lord Seymour bombardował nietylko fortyfikacje już pod nieobecność szybkiego w odwrocie wodza «powstańców», ale i miasto... Nastąpiła penetracja, niezupełnie pokojowa, do państwa faraonów. Anglicy zawładnęli Egiptem. «Ils y sont encore» — stwierdzi zwykle bez komentarzy Francuz ten fakt oczywisty — ale powodów do tarć nie brak. W 1922-im roku szereg ruchów wolnościowych wywołał konieczność wprowadzenia pewnej autonomji w Egipcie, a i podział spadku po Tut-ankh-Amenie nie przeszedł bardzo gładko... Niewiadomo, jaki byłby rezultat, gdyby chodziło o rzeczy ważniejsze, bo ludność Egiptu znacznie wzrosła i zmądrzała, a «dominion'y» angielskie nie służą dobrym przykładem. «Qui vivra verra»...

Muza historji, Klio, pewno nieraz jeszcze pogrąży się w zadumie nad losami swego najstarszego pupila, czy też klienta, osiadłego na wybrzeżach Nilu i nad Kanałem Sueskim. Klio lubi zaglądać do starych osiedli ludzkich. Zwłaszcza do tych, co leżą na skrzyżowaniu dróg morskich.

Łobuz, który mi samozwańczo towarzyszył od chwili opuszczenia hotelu, odprowadził mnie triumfalnie do centrum miasta, skąd oddaliłem się dość znacznie. Pani Wanda już była powróciła z bazarów, ale pierwszy kontakt handlowy ze Wschodem nie wypadł pomyślnie. Paweł zginął po drodze, a cała horda kupczyków, należących do wszystkich ras wschodnich, zwaliła się za nią do hotelu. Byli między nimi przedstawiciele dokonanych tranzakcyj i zawiedzionych nadziei. Wszyscy kłócili się, gestykulowali namiętnie, jakgdyby miało zaraz dojść do bójki i to poważnej. Jakiś mameluk liberyjny zaprowadził w tem zebraniu ład i porządek i wyrzucił hałastrę z sieni hotelowej. Długo jeszcze stali dobrzy kupcy na chodniku i spoglądali w okna. Pani Wanda nie mogła doliczyć się zakupionych «abayi» i tkanin, a przedewszystkiem zawartości własnej portmonetki. Jeszcze przez czas jakiś dochodziły z ulicy zachęcające okrzyki:

— «Tu sais, madame, bonne affaire!»

Wkrótce zjawił się Paweł, i wyruszyliśmy przez Deltę do Kairu.

Więc tu zaczyna się tak zwana w Biblji ziemia Mizraim, syna Chama, którego potomkowie zaludnili Egipt. Dzieje tego kraju rozwijały się przez kilka tysięcy lat, a od czasów Herodota nie przestały interesować historyków, archeologów, poetów i ludzi, skłonnych do opisywania swych wrażeń w podróży. Rozmowa zeszła na tę literaturę specjalną,



RUCH NAWIGACYJNY NA NILU

którą możnaby odrestaurować spaloną bibljotekę aleksandryjską. Każdy z nas dorzucał jakieś nazwisko, jakiś szczegół lub spostrzeżenie, które z lektur pozostało w pamięci. Jak wiadomo, erudycja, a raczej chęć popisania się nią, jest rzeczą zaraźliwą i należy do słabości ludzkich dość rozpowszechnionych, więc wielkie nazwiska Volneya, Niebuhra, Chateaubrianda zaczęły krążyć coraz gęściej, i późniejsze z końca ubiegłego wieku, a nawet te z ostatnich czasów, wśród nich parę polskich, i niemało francuskich.

Pani Wanda broniła popularnej dzisiaj tezy, że wszystko, co się pisze, jest dobre, byle nie było nudne. W dokładność opisów i ich «naukowe» podstawy zbytnio nie wierzyła, i wątpiła także o wytrzymałości czytelników, niezdolnych do przebrnięcia przez kilkaset stronic, «tak wysuszonych, jak mumje egipskie».

— Wanda jest zdania, że tylko uczniów i pensjonarki można zmusić do czytania nudnych rzeczy, t. zw. klasycznych — wtrącił Paweł. — Starsi zawsze będą się od tego mozołu uchylali. Krzywdzi między innymi...

— Chateaubrianda — przerwała już z irytacją pani Wanda. — Niekażdy potrafi zachwycać się jego emfazą: «Byłbym szczęśliwy, gdyby śmierć mnie zabrała, zanim zacząłem wędrówki ziemskie, gdy nie miałem przygód do opowiadania komukolwiek»...

— Ale przecież mówi nie o sobie — bronił Pa-

weł. — Kiedy wziął Hiszpana, wielbiciela Atali i Renego, za Turka, i stąd wywnioskował o swej poczytności wśród wyznawców proroka, sam pierwszy śmieje się z własnej megalomanji...

— Ale na pewno ubolewał nad upośledzeniem Turków — zaopinjowała pani Wanda. — Zresztą to jest inna materja, a ja mówię o emfazie, której nie znoszę. Pokażę panu co ciekawsze miejsca. Zakreśliłam je dla Pawła i odczytuję mu w wolnych chwilach: «Egipt, kolebka wiedzy i prarodzic religij i praw...»

— Ideał Pawła zapomniał o rolnictwie — przerwałem ze śmiechem — ale jadąc przez Deltę, mimowoli się o niem myśli. Proszę spojrzeć, jak to pięknie wygląda.

Doskonale makadamizowana szosa snuła się wśród pól, pokrytych gęstą zielenią. Gdzie niegdzie kanał przecinał te żyzne pola, a droga naginała się do jego kierunku. Na kanałach widać było łodzie żaglowe, a obok nich — nieraz jeszcze podtopione dolinki, wypełnione jakby masą płynnej czekolady. W innych miejscach już rozpoczęto roboty polne i wół, taki egipski wół, z zakrzywionemi wdół albo wtył rogami, nieraz do współki z osłem, ciągnął po ziemi jakiś drapaczyk. Ta uprawa była tak prymitywna, że nawet socha, niegdyś z podziwem oglądana w Rosji, wydawała się przy niej arcydziełem techniki i wynalazczości ludzkiej. Gdzie niegdzie wielbłąd chodził w kieracie i poruszał wielkie koło irygacyjne, niedbale z drzewa wyciosane, podług

modelu z przed paru tysięcy lat. Tak to wszystko zastygło w pewnej fazie rozwoju i przetrwało do naszych czasów. Przybyły tylko szosy i automobile.

Szofer, który dotąd jakąś monotonną kantyczkę zawodził, nawiązał z nami rozmowę. Naprzód informował nas o Delcie w sposób niezbyt dokładny, potem o sobie w sposób bardziej wyczerpujący. Nazywał się Hassan i był Syryjczykiem z pochodzenia. Mówił żargonem anglo-francuskim, przeplatanym jakiemiś wojowniczemi okrzykami, zapewne genezy syryjskiej. Miał także wysoki fez, jak na Syryjczyka przystało.

— Ja lubię motory amerykańskie — spowiadał się Hassan — najlepsze, bo lekkie i można pędzić pod górę. Z Francuzami daleko nie ujedzie: dyszą już na Antylibanie. I jak się Amerykanin rozbije, to śladu nie pozostanie, a Francuza naprawią i każą się dalej telepać — «Arabia!»

Ostatnie słowo było wypowiedziane z akcentem przekleństwa, a całość monologu nie zrobiła na audytorjum dodatniego wrażenia. Spojrzeliśmy się po sobie z pewnem zaniepokojeniem.

Hassan przez kilka chwil mruczał swój przyśpiew monotonny i jął znowu opowiadać.

— Po Egipcie właściwie jeździć nie warto, to dla początkujących szoferów — stwierdzał z poczuciem wyższości. — Tu najwyżej zjedzie się z szosy w błoto, więcej kłopotu, niż przyjemności. U nas, na Libanie, jak źle skręcić, to można się przekozioł-

kować na drugą stronę, aż do angielskiego mandatu, i to bez pozwolenia!

— Zobaczycie, że on nas wywróci — wyrażała swoje obawy pani Wanda — taki już dzień feralny! Nietylko gada, ale ciągle obserwuje, jakie to na nas robi wrażenie!

— Pani jest niespokojna — wywnioskował z intonacji sprytny Hassan. — Ale niema powodu. Ja zawsze uprzedzam o niebezpieczeństwie. Dwa tygodnie temu, wyjeżdżając z Damaszku, przejechałem żandarma, takiego w baraniej czapie. Stał na środku szosy i, jak to oni zwykle, chciał przejrzeć licencję. Miałem dobry automobil, trąciłem draba skrzydłem i uciekłem, mógł za nami strzelać! Odrazu uprzedziłem Anglików, których wiozłem, że może być źle. Ale się udało, tylko musiałem stanąć i przeciąć drut telefoniczny, żeby nie zawiadomili następnego posterunku...

Hassan wzbudzał coraz mniej zaufania.

— Ja mam szczęście — chwalił się w dalszym ciągu. — Z tymi samymi «englishami» prześlizgnąłem się pod Aleppo, kiedy Beduini zatrzymali na szosie całą wycieczkę. Osiem automobilów! Wszystko im zabrali, nawet panie «détroussowali», a było zimno. «Englishe» prosili, żeby stanąć, chcieli fotografować, ale Hassan, «clever boy», nie dosłyszał. Tylko akcelerator przycisnąłem do samej podłogi — «igri, igri» — jechałem sto dwadzieścia, może więcej. Wyminąłem, tylko zlekka o bankietę zaczepiłem, resor się nadłamał, ale głowy całe. Jed-



PORTAL ŚWIĄTYNI RAMZESA W ABU-SIMBEL

na Angielka nabiła sobie guza, i w kufrze przestrzelili dziurę... «Bakczysz» był, jak się patrzy, przez dwa dni potem piłem w mieście.

— A Koran? — zapytałem zaciekawiony. Na Wschodzie zawsze są poszukiwani szoferzy-mahometanie, i Hassan należał jakoby do tej kategorji, co ma zabezpieczać od ekscesów alkoholicznych. A tu takie rozczarowanie!

— Koran? — powtórzył Hassan. — Ta cała nasza biblja jest do niczego. Powiada: nie pij konjaku, nie pij whisky... Więc ja jestem muzułmaninem-katolikiem. Bo biblja katolicka pozwala pić konjak i whisky, tylko nie za dużo!

Po tem oryginalnem wyznaniu wiary i swoistych glosach do Pisma św., Hassan znowu sobie trochę ponucił, poczem ogłosił, że musimy zajechać na najbliższą stację kolejową, gdzie można nabyć jakieś artykuły podróżne, bardzo mu potrzebne... Nie uwzględniając naszych protestów, Hassan wkrótce osadził nas przed samotnym budynkiem kolejowym, gdzie już stacjonowało parę porzuconych automobilów. Obiecał, że wkrótce powróci...

Poszliśmy na spacer, obejrzeliśmy sąsiednie pola, zbadaliśmy płodozmian egipski, a Hassana ani śladu. Udałem się na poszukiwania, tknięty złem przeczuciem, i w jakimś zakątku stacyjnym znalazłem zgubę. Hassan, w towarzystwie spotkanych kolegów, spił się dokładnie, nie pamiętając o nakazach biblijnych nawet w jego własnej interpretacji. O dalszej jeździe nie mogło być mowy. Na szczęście, za-

powiedziano pociąg w stronę Kairu, więc przeprowadziliśmy, chociaż nie bez trudności, obrachunki z «clever boyem», i staremi środkami lokomocji skierowaliśmy się w swoją drogę.

Podróż po Delcie należy do najciekawszych momentów podczas zwiedzania Egiptu. Tu ustaliła się reputacja odwieczna żyzności tej ziemi, reputacja nieco zagrożona w tych czasach, kiedy zaniedbano i popsuto urządzenia irygacyjne. Teraz stanowią one przedmiot bezustannej troski Anglików i, podług ich zdania, rozkwit obecny kraju najlepiej świadczy, jakie rezultaty osiągnąć może przewidująca administracja i zaopatrzenie kraju w wodę, nie bacząc na różnicę poziomów w terenach samej Delty i na inne trudności techniczne. Irygacja Delty jest oparta na przeprowadzeniu t. zw. «the Barrage» (nazwa francuska została przejęta przez Anglików), t. j. grobli, przecinającej ramiona Nilu wpobliżu Kairu. Tama ta była zbudowana przez Francuzów za rządów Mahomet-Alego, lecz nigdy nie została wyzyskana i stopniowo uległa zniszczeniu. Anglicy natychmiast po okupacji Egiptu zajęli się jej naprawą, nie bacząc na trudności pieniężne. Lord Milner w książce «England in Egypt» barwnie opisał ten pierwszy okres restauracji prawidłowej gospodarki wodnej w Egipcie i komplikacje, wynikające z wyczerpania skarbu, demoralizacji urzędników i lenistwa ludności. Wszystkie przeszkody zostały jednak przezwyciężone w zrozumieniu, że od

tego «barrage'u» zależy cała przyszłość Egiptu, a także i trwałość okupacji. Tama Willcoxa na południowym krańcu Egiptu stanowi drugi czynnik rozwoju — i władzy. Znajduje się naturalnie w tych samych ręku.

Anglicy wyliczają, że obecnie akr [1]) bawełny przynosi 20—25 funtów rocznie, a plantacje oddzielnych właścicieli obejmują nieraz po kilkaset akrów. Dlatego wyrosły tutaj szybko znaczne fortuny, zarówno wśród Egipcjan i epigonów baszatu tureckiego, jak i wśród fellahów, wzbogaconych dorobkiem na roli. Lecz i ci, którzy dzisiaj jeszcze pracują w charakterze robotników, żyją we względnym dostatku i dobrobycie, a raczej zarabiają dużo pieniędzy. Jest to zasługą inicjatywy angielskiej i wpłynęło na podwyższenie autorytetu okupantów, gdyż, jak wiadomo, pusty żołądek nie usposabia przychylnie do władzy i jej poczynań.

Uprawa bawełny rozpoczyna się w marcu, a zbiór następuje we wrześniu i październiku, i dlatego turyści, przelotne ptaki zimowe, niezbyt często mają sposobność oglądania kultur bawełnianych. Przez cały ten czas, od wiosny do późnej jesieni, «fellah» wraz z całą rodziną jest zajęty obróbką bawełny, gdyż usuwanie pasorzytów z rośliny i jej pielęgnowanie, a następnie zbiory wymagają znacznych zachodów. Bawełna należy do plonów wyczerpujących glebę, i dlatego nie wolno powtarzać jej upra-

[1]) Cyfry te są zaczerpnięte z książki «A wayfarer in Egypt» by A. A. Quibell. — Akr równa się 0.722 morgi nowopolskiej.

wy na tem samem polu częściej, niż co trzy lata. Zresztą rolnicy obchodzą te przepisy dość łatwo, i najbardziej rozpowszechniona rotacja płodozmianu obejmuje bawełnę, bób, «bersim», t. j. odmianę koniczyny o bardzo bujnym pokosie, proso albo kukurydzę, pszenicę i znowu «bersim», podorywany na zielono. Potem znowu powraca bawełna. Wobec parokrotnych corocznych zbiorów ten obrót plonów nie wystarcza na wypełnienie trzech lat, i najbardziej dochodowa z kultur egipskich, bawełna, częściej, niżby należało, ocienia Deltę niewyczerpaną.

Lecz jeżeli zachodzą te drobne nieposzanowania prawa i jego przepisów; jeżeli «fellah» egipski nie troszczy się o swoje siedziby i nie umiał wiosek egipskich wyprowadzić z otchłani brudu i pozornej nędzy, rzucającej się każdemu w oczy, to odpowiedzialność zato ponoszą ni mniej, ni więcej, tylko Grecy, dość gęsto rozsiedleni wśród miejscowej ludności rolniczej. Oni, jak twierdzą Anglicy, zajmują się lichwą, dręczą ludność, biorą udział w handlu legalnym i nielegalnym i wysysają korzyści z każdej gałęzi rozwoju ekonomicznego Egiptu. Trutnie i pszczoły.

Takie są poglądy Albjonu na szkody, wyrządzane przez Greków. Nie podzielał ich tylko premjer angielski czasów wojny, Lloyd George. Chodziło mu po głowie — a jak wiadomo ruch był tam duży, choć niezbyt dokładnie uregulowany — że w historji Anglji Grecja może zczasem odegrać rolę myszy z bajki,

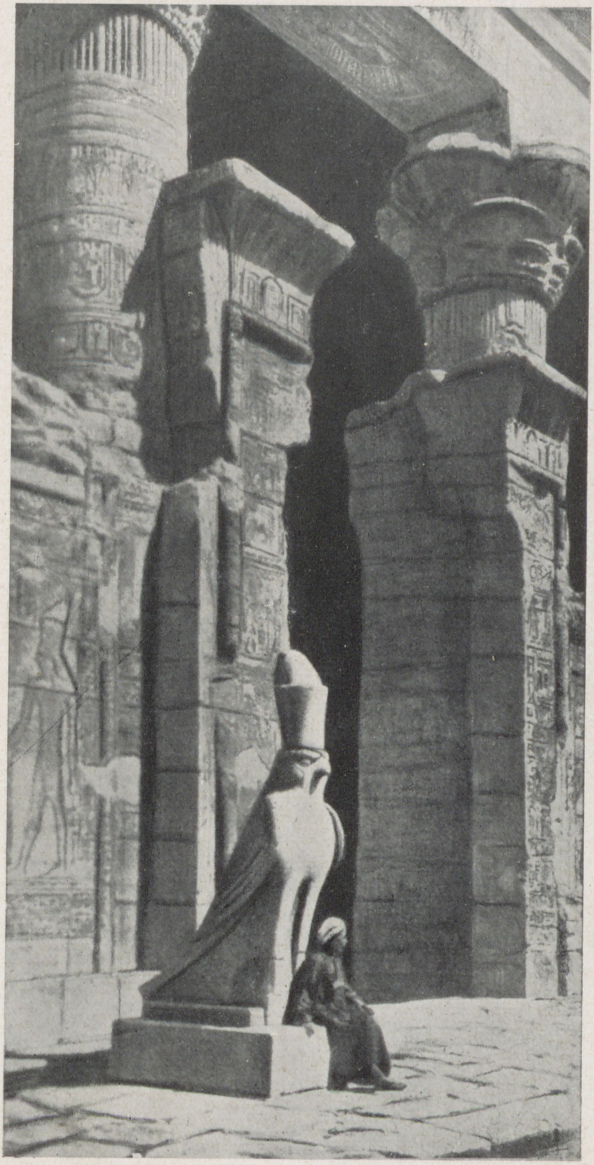

WEJŚCIE DO ŚWIĄTYNI HORUSA

ratowniczki usidlonego lwa... Winston Churchill nie bez humoru opowiadał o tem niedawno na łamach prasy francuskiej. Tylko lord Lloyd, wysoki komisarz Egiptu i antagonista Greków, musiał nieraz rozmyślać nad dewiacjami myśli celtyckiego Dawida.

ROZDZIAŁ IV

PIRAMIDY I MECZETY

Nareszcie dobrnęliśmy do Kairu. Państwo Motwidowie sprzeczali się przez całą drogę jużto na tematy literackie — opisy podróży — jużto na tematy handlowe — bazary wschodnie. Ja miałem rolę języczka u wagi i przechylałem szalę z pewnem uwzględnieniem bezstronności, zdaje się, niedostatecznie ocenianem, kolejno na stronę teoryj pani lub lub dowodzeń Pawła. Nakoniec małżeństwo spostrzegło, że taktyka moja wywołuje pewną supremację na moją korzyść. Pani Wanda zaatakowała mnie pierwsza, Paweł trzymał się w odwodzie.

— Właściwie tę całą nieudaną ekskursję razem z pijanym Hassanem mamy panu do zawdzięczenia — wybuchnęła pani Wanda. — Nigdy już nie będę zmieniała planów podróży...

— Swoich, czy cudzych? — wprowadziłem dywersję do biegu wzburzonych myśli.

— Przedewszystkiem własnych, no i naturalnie Pawła, do czego chyba mam prawo — iry-

towała się moja kuzynka. — A pan mógł jechać na wystawy, które jeszcze nie są otwarte, lub dokądkolwiek indziej.

— Ale Kair leżał w planach Pawła — broniłem zagrożonej samodzielności mężowskiej i własnego spokoju.

— Tylko jako zachęta dla ciebie — małodusznie replikował mój ekskolega.

— A ja myślałem, że jako ułatwienie dla innych, którzy sami ulegają w życiu małżeńskiem — dopowiadałem złośliwie. — Więc i do Syrji nie chciałeś jechać, tylko do Jerozolimy i zpowrotem? A kto pierwszy podrzucił Kair, Tut-ankh-Amena, mandaty, piramidy, wszystko, oprócz podpitego szofera?

Zakotłowało się, jak na morzu przy niepomyślnych wiatrach. Historja inicjatywy i odpowiedzialności nabierała rysów tragicznych i jątrzyła spokój ducha. Winę ponosiłem ja, winę ponosił Paweł, wszystko przewidziała była pani Wanda. Temperatura dyskusji podnosiła się, i w rezultacie państwo Motwidowie zatrzymali się u Shepheardsa, a ja zamieszkałem w Continentalu. Rozdwojenie «croisière'y».

Włóczyłem się po Kairze i oddawałem się medytacjom. Na wizytę w Muzeum było zbyt późno, więc skarby, odkryte przez lorda Carnarvon, dopiero nazajutrz miały dla mnie rozpocząć swą egzystencję. Z placu Ezbekieh, gdzie Kléber życie swoje położył, skierowałem się ku wzgórzom, ku cytadeli, na ten

sławny Mokattam, gdzie Saladyn swego czasu wzniósł twierdzę, aby «El Kahirah» — zwycięska — mogła panować nad Egiptem bez troski i ku chwale nowej dynastji, która zastąpi Fatymidów. Tutaj Mohamet-Ali przed niespełna stu laty wybudował meczet, gdzie prochy jego złożono, a smukłe minarety, widne zewsząd, mogą służyć za drogowskaz, gdy się chce kierunek cytadeli odszukać. Widok stąd najpiękniejszy, i panorama Kairu ściele się przed oczami, jak wielobarwny kobierzec wschodni. Ale trzeba wyjątkowego szczęścia, ażeby przy tej okazji nie wysłuchać wbrew woli dwóch czy trzech opowieści, naturalnie różnojęzycznych, o powstaniu miasta, dziejach Egiptu w skrócie i innych wykładów, prowadzonych przez najdzikse odmiany «guide'ów», dragomanów i przygodnych poszukiwaczy piastrów. Co w tych elukubracjach góruje: ignorancja, brak kultury czy też pyszałkowatość i chęć robienia złych dowcipów — trudno byłoby ustalić. Jest to plaga, rozpowszechniona dzisiaj więcej, niż przejściowe plagi egipskie, znane z Biblji, a zatraca nieco na ostrości tylko przez porównanie z upośledzeniem umysłowem audytorjum. Wszystko, co najgłupszego spłodziły stare i nowe kontynenty, pod warunkiem posiadania odpowiednich środków pieniężnych, spływa tutaj lawiną w sezonach turystycznych, zatruwa atmosferę i znieprawia ludność miejscową, przypominając nieraz wybryki motłochu na kiermaszach, w menażerjach lub podczas przedstawień cyrków wędrownych. Środowiska bardziej od-



ŚWIĄTYNIA W KARNAKU

stręczającego, niż przygodne falangi turystów — i to pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym — trudno sobie przedstawić, nawet przy pewnych zasobach fantazji makabrycznej. Ta plaga podróżnicza, łagodzona w krajach nią nawiedzonych przez deszcz złoty, spływający na ludność, stanowi, w przekonaniu mojem, jeden z najjaskrawszych przyczynków do historji zwyrodnienia ludzkości, pomimo przejawów postępu i rozwoju kultury.

Ktoś, rozmiłowany w paradoksach, twierdził niedawno, że cztery piąte ludności globu pracują poto, aby pozostali mogli podróżować. Pogląd z gruntu fałszywy, przynajmniej w zastosowaniu do krajów, przodujących dziejom cywilizacji. Podróżują dzisiaj wszyscy: ludzie nauki i przedstawiciele wielkich fortun; artyści i neurastenicy; ludzie pracy i ludzie bez pracy, chociażby w pogoni za nią. Lecz jądro masy, toczącej się bezwolnie, jakby z inercji, ku najsilniej zareklamowanym miejscowościom świata, stanowi tłum jak najbardziej demokratyczny, jak najbardziej oszczędny i jak najbardziej ekspansywny. Ludzie ci robią ekonomję, kalkulują, i po wyszukaniu najlepszej kombinacji korzyści turystycznych, spadają jak szarańcza na kraj upatrzony, zapewne polepszając nawet jego bilans płatniczy. Jest to ruch zupełnie apolityczny (czego dowodem rozwój turystyki niemieckiej we Francji i we Włoszech), irracjonalny, oparty nie na ciekawości poznania krajów obcych, ale na snobistycznych przesłankach im-

ponowania swoją w nich bytnością; na wyliczeniu, gdzie koszta utrzymania są o tyle niskie, aby pobyt mógł pokryć wydatki na podróż; na zupełnem niezrozumieniu własnych zaciekawień i ograniczonej możności ich zaspokojenia. Dlatego te podróże oszczędnościowe, zainspirowane przez ajencje, a odbyte dla podirytowania przyjaciół i znajomych, pozostaną zakałą naszych czasów, i to zapewne zakałą nieprzemijającą, ponieważ zbyt dużo kapitałów wyłożono nato, aby podtrzymać ten stan gorączki perypatetycznej, i zbyt dużo ludzi jest zainteresowanych w dalszym rozwoju orgji podróżniczej. Oberżysta czeski, potulny i dobroduszny w domu, nabiera na Sycylji fantazji i wymagań, określanych jako «feudalne» w wydawnictwach lewicowych. Niemca aż parzą pieniądze, zarobione na wygranym pokoju, skoro może za nie uwiecznić się pod palmą, na piramidzie lub na terasach Sfinksa. Prowadzi za sobą Niemkę, wyrastające podlotki i stado fotografów, oraz przewodników, którzy zapewniają, że język Goethego nie jest im obcy, i że wszystko będzie «sehr billig» i «sehr schön». Zwykle wypchnie turystów z Południowej Ameryki, którzy już zdążyli się upozować w najbardziej «efektownych» i «fotogenicznych» miejscach, i sypnie obstalunek na dwa tuziny kart pocztowych z podobizną rodziny niemieckiej na terenach faraonów. Aparaty migawkowe otwierają swoje szklane oko i mrużą je niebawem, aparaty powołane i niepowołane, poczem zwykle następuje spór pomiędzy fotografami o to, kto

właściwie był upoważniony do dokonania zdjęć... Takie spory przechodzą niemal w bójkę, czasem i Niemca trochę poszturgają i wymysłem obrzucą. W każdym razie człowiekowi normalnemu przy zetknięciu z szarańczą turystyczną nie pozostaje nic innego, jak wziąć nogi za pas i uciekać do miejsc nienawiedzanych przez agencje i ich klientów. Ale nie jest łatwo miejsca takie odszukać.

— Od Shepheardsa telefonowali, że pańscy towarzysze podróży przyjdą «do nas» na obiad — oznajmił mi portjer w chwili, kiedy wróciłem do hotelu. — Będą tu o wpół do dziewiątej.

Widać sądzone było, że «croisière'a» nie rozleci się przy pierwszym podmuchu wiatrów tropikalnych.

— Jeśli pan mnie nie wyprowadzi z niewoli egipskiej — zadeklarowała pani Wanda na przywitanie — to zginę tutaj razem z Pawłem, zanim odbędę drogę do Damaszku. Panie, czy mój mąż był zawsze taki niezaradny?

Z tego wstępu można było wnioskować, że chwilowa solidarność małżeńska nie wytrzymała próby samotności we dwójkę. Popołudnie się nie udało, za co naturalnie był odpowiedzialny Paweł, który namówił panią Wandę na wycieczkę do Ghizeh. Szofer był tym razem trzeźwy i herbata w Mena-House doskonała. Pozatem same dramaty. Wiatr, kurz i ból oczu. Z tym piaskiem nie można było się

rozstać, nawet w kąpieli po powrocie... A pod piramidami działy się straszne rzeczy. Cheops, Khefren i Mykerinos nie domyślali się nawet, jakie udręki przygotowują dalekim pokoleniom przyszłości... Z megalomanji, nawet faraońskiej, nigdy nic dobrego nie wychodzi... Wielbłądy się narowiły, powiewały czerwone kapy w tumanach piasku. Osły zaraziły się przykładem wielbłądzim, a Beduini kłócili się między sobą i z turystami, mszcząc się zapewne za upory osłów, z któremi trudno było sobie dać radę... Państwo Motwidowie zdobyli «sandcar», muł stawał co dwa kroki, przewodnik biegł obok i opowiadał niezrozumiałe historje, po francusku, po angielsku i po swojemu... Podczas jakiegoś przymusowego postoju zdołał wyłożyć, że jakiś Hassan go krzywdzi... Do imienia tego, wnioskowała pani Wanda, są przywiązane wszystkie nieprawości islamu. Za postępki Hassana poganiacz spodziewał się wyrównania ze strony «englishów», i za «czterdzieści wieków», które Napoleon tak nieszczęśliwie spopularyzował. Wszystko pod postacią «bakczyszu». Paweł się gniewał, Beduin także, no, ale piramidy obejrzeli. W powrotnej drodze «sand-car» został skierowany zamiast do Mena-House — do jakiegoś dołu, ponieważ, jak mówił kierownik ekspedycji, muł jest zmęczony i niewiadomo, czy bakczysz wystarczy na odrestaurowanie jego sił po uciążliwej wycieczce... Powróciły skargi na skąpego Hassana i pretensje do turystów, poczem nastąpiła apatja i wschodni bezwład... Paweł się irytował, wymy-



PRZEJAZD PRZEZ KANAŁ SUESKI POD EL-KANTARAH

ślał, chciał udawać lorda Seymoura w Aleksandrji, zaledwie go pani Wanda od gwałtów powstrzymała. Ostatecznie Beduin sprzedał im kolekcje sfinksów, skarabeuszów oraz kamień jakiś «na szczęście» i byłoby się wszystko nienajgorzej skończyło, gdyby...

— ...gdyby nie straszny zbieg okoliczności — dramatyzowała pani Wanda, walcząc na talerzu z twardą kurą egipską. — Tak to określam, bo nie mogę przypuszczać, aby nasz chciwy przewodnik zdobył się na równie wyrafinowaną zemstę. W drodze powrotnej wpakował «sand-car» na Gérarda, tego archeologa z okrętu... A może nawet on się czem innem zajmuje. Gérard był w towarzystwie jakiejś pani, mumijnie podsuszonej i niemłodej. Sądząc z cery, musi cierpieć na wątrobę... To jest właściwa osoba dramatu.

— Znowu kupiliśmy kolekcję egipską? — informowałem się nie bez zaciekawienia.

— Gorzej, panie, o wiele gorzej — skarżyła się pani Wanda. — Ta dama, której nazwiska nie pamiętam — dla uproszczenia nazywam ją Izydą — jest żoną jakiegoś egiptologa i sama hołduje nałogom mężowskim. Gérard miał zapewne dosyć jej teoryj i skorzystał ze sposobności, ażeby nam ją narzucić. Powiedział, że specjalnie interesujemy się czwartą dynastją, ja zrozumiałem, że czternastą, chociaż to także fantazja. Tymczasem czwarta jest od piramid, a ta druga od pasterzy. Izyda wpadła w ferwor, skoro błąd mój spostrzegła, i poplątała mi już dokładnie wszystkie wiadomości o dyna-

stjach. Przerzuciłam się na Tut-ankh-Amena i tylko przybliżyłam katastrofę. Izyda oświadczyła Pawłowi, że w drodze wyjątku i łaski będzie dla nas miała wykład jutro w Muzeum o dziewiątej rano o Tut-ankh-Amenie, z którym wogóle trzeba się śpieszyć, bo przedmioty, z grobowca wydobyte, zmieniają się, ciągle zmieniają i materjalizują, Izyda nie może już ich poznać. Z wielkim trudem zdołałam przerzucić na pojutrze tę akademję, Paweł naturalnie przedtem już się był zgodził, a teraz nie wiem, jak się od tego wszystkiego uwolnić. Proszę o dobrą radę.

— Niech pani napisze: Izyda, poste restante — do Muzeum nie przyjdę.

— Dobra rada — rypostowała pani Wanda — czy pan sobie przypomina, że w Polsce mamy takie wyrażenie: «psie figle»?

Oczywiście pamiętałem, lecz nie chciałem się gniewać. Świecił księżyc, i pojechaliśmy raz jeszcze do Mena-House.

Tym razem pani Wanda była zadowolona. Zapomniała o krytyce Jankesów, łakomych na spektakle księżycowe, i razem z nami podziwiała ten widok, jedyny na ziemi. Nadomiar powodzenia spotkaliśmy Gérarda, przesiąkniętego «whisky and soda», i przyjął na siebie «odrobienie» Izydy. Zobowiązaliśmy się tylko solennie, że przez parę dni będziemy omijali zdaleka progi Muzeum, gdzie łowczyni słuchaczów może pomimo wszystko rozbić na

jakiś czas namioty. Pani Wanda miała zachorować, a Gérard miał wytłumaczyć. Serja niepowodzeń dobiegała do końca.

W ten sposób, dzięki układowi, już nazajutrz nastąpił wielki dzień meczetów. Zwiedzaniem ich można wypełnić zresztą cały długi sezon, ponieważ matematycy doliczyli się w Kairze, zdaje się, czterystu meczetów, z czego połowa co najmniej kwalifikuje się do wywołania wrażeń... Na szczęście, psychologja inteligentnych turystów i chłopców w cukierniach posiada trochę rysów wspólnych: zarówno jedni, jak i drudzy nabierają dość szybko wstrętu do rzeczy, zbyt często oglądanych. Czy wina jest po stronie turystów, czy też meczetów, pozostaje kwestją otwartą. W każdym razie po obejrzeniu, powiedzmy, dziesięciu takich architektur, omija się starannie jedenastą. Ponieważ szanujący się meczet sygnalizuje niebezpieczeństwo co najmniej jednym minaretem, więc orjentacja jest ułatwiona. Zrzadka coprawda można wpaść, jak na rafę podwodną, na meczet cichy i skromny, pozbawiony znaków ostrzegawczych. Tutaj instynkt turysty jest powołany do omijania zasadzek.

Ale mówiąc poważnie, monotonja meczetów daje się naprawdę we znaki człowiekowi Zachodu. I to zarówno zewnętrzna, jak i ta, która panuje już w samym przybytku modlitwy. Mahometanizm usunął obrazy, rzeźby, wszystko, co przypomina postać ludzką z miejsc kultu, pozostawił tylko napisy, mozaiki i ściśle wytkniętą «linję Mekki». Zazwyczaj sze-

reg małych dywaników, bardzo różnorodnej wartości artystycznej, zaznacza idealny kierunek, w jakim wyznawca proroka powinienby podążać, aby dojść do świętego grobu. Lecz zwykle oszczędza on sobie tego trudu, tylko idealnie połączony z siedliskiem wiary, otrząśnie pył ze stóp swoich przy wejściu do meczetu i zasiądzie do sporów lub interpretacyj Koranu, skrzyżowawszy pod sobą obnażone stopy. Te dysertacje uczone i religijne robią czasem wrażenie zawziętej kłótni... A czasem widzi się ciche, w zadumie pogrążone grupy, również rozsiadłe przepisowo na dywanach: jakiś srogi brodacz położył ręce na głowie drugiego, równie przypalonego ziomka i godzinami siedzi w tej arcymęczącej pozycji. Są to zabiegi lecznicze, przy pomocy których duchowny stara się złagodzić ból chwilowy, żałość i cierpienia chroniczne. Taka sugestja przynosi ulgę i ukojenie po stracie ukochanej żony, uśmierza ból zębów i głowy, oraz różne dolegliwości specjalne, którym podlega człowiek aż zbyt często.

Lecz i w tym jednostajnym tłumie meczetów egzystuje kilkanaście — może więcej — rozsianych po ziemiach muzułmańskich, które swym rozmachem architektonicznym lub cichem skupieniem, jakie i w kamieniu może być zawarte, gdy go genjalna dłoń ludzka obrobi, potrafią zatargać wrażliwością Europejczyka. Słyną one po świecie rozgłosem równie szerokim, jak świątynie Rzymu i strzelistości gotyckie. Że wspomnę tutaj — dla porównania tylko — znamienity jerozolimski meczet Omara.



JEROZOLIMA: BAZYLIKA GROBU CHRYSTUSOWEGO. WEJŚCIE GŁÓWNE

Do tych wielkich i znanych arcydzieł trzeba się ograniczyć, jeśli się nie chce nabrać wstrętu, lub co gorzej, zobojętnieć docna na zwiedzane kolejno pomniki kultury, jakże starej i jakże ciekawej dla dziejów ludzkości. Jeśli ktoś nie jest specjalistą, powinien nie przytępiać swej wrażliwości przez chciwość wrażeń, lecz zwrócić uwagę na to, co naprawdę jest godne widzenia. Te dzieła, poniekąd klasyczne, wystarczają do stworzenia sobie mirażu przeszłości. Tutaj znaleźć można także efekty kolorystyki, prawie nieprzeczuwane nawet przez znawców starej Europy. Witraże wschodnie, ta najpiękniejsza z ozdób wielkich meczetów, mają w sobie takie bogactwo barw i półtonów, takie rewelacyjne harmonje, że wartoby odbyć tę daleką wędrówkę, aby im się przyjrzeć. Potem można już wracać.

Architektonika meczetów pozostawała pod różnemi wpływami, lecz przedewszystkiem, za sprawą kalifatu, pod wpływem Arabji, która nic samodzielnego nigdy nie stworzyła. Inspirowała się raczej wzorami perskiemi, wśród których odszukać można pozostałości kultury starożytnego Babilonu. Potem przyszły natchnienia sztuki bizantyńskiej. Potęgę ducha Bizancjum odczuwa się zarówno w Syrji, jak i w Egipcie w tem, co tworzono już w okresie wielkiego Imperjum chrześcijańskiego, a zwłaszcza po jego upadku, gdyż trzeba było niemało czasu, aby wpływy te dokładnie się ugruntowały. Przyczyniła się do tego także budowa kościołów chrześcijańskich, lecz najstarsze meczety noszą cechy poprzed-

nich jeszcze okresów. Meczet Ibn el Tulun w dzisiejszym Kairze, pochodzący z IX-go wieku, był pono zbudowany na podobieństwo Kaaby w Mekce. Przepiękny meczet sułtana Hassana, duma Kairu, jest już pomnikiem budownictwa bizantyńsko-arabskiego (XIV w.). Więcej jeszcze, niż grobem sułtana, szczyci się strzelistością swoich minaretów, wyniosłością portyków i artyzmem inkrustacyj, rzadko doścignionym.

Meczet Ibn el Tulun posłużył jako wzór dla meczetów tej odległej epoki. Mało ich zachowało się w pierwotnych zarysach, lecz miały one zawsze otwarte podwórce, okolone arkadami, i liczne szeregi kolumn od południowo-wschodniej strony. Nisza modlitewna, t. zw. «kibleh», jest umieszczona niezmiennie tak, aby modlący się był zwrócony obliczem w stronę Mekki. Tak również był budowany najstarszy meczet Fatymidów (X w.) El Azhar, niestety przebudowany w XVIII w. i zeszpecony nadmierną ilością kolumn, przytłaczających pozostałości starej świątyni. Mieści się tutaj obecnie uniwersytet, jedyny w swoim rodzaju, i zwiedzając meczet, można nieraz asystować przy wykładach profesorów lub przy studjach wychowanków, wyśpiewujących jakieś monotonne teksty. Okres studjów wydaje się przydługi, ponieważ trwa lat dwanaście. Lecz kto dobrnie do końca, zyskuje opinję znawcy Koranu i nawet może go komentować. Mówią o modernizacji tego systemu uniwersyteckiego, lecz, jak wiadomo, na Wschodzie ludzie śpieszyć się nie lubią.

Po starych meczetach, do których jeszcze trzeba doliczyć El Hakem (wybudowany na początku XI-go w. przez odmianę egipskiego Nerona), wszystkie inne nie robią już wrażenia pra-muzułmańskiego, chciałoby się rzec «pra-historycznego». Szczęśliwy wyjątek stanowi meczet Hassana, lecz naogół budowle stopniowo modernizują się, zniekształcają, a nakoniec nabierają cech współczesności, jak to zauważyć już można w meczecie Mohamet-Alego w Cytadeli. Są minarety, jest tam nawet kobierzec cudnej barwy czerwonej, dostosowany do wymiarów i załamów olbrzymiej modlitewni, są też misterne lampy olejne, które płoną w czasie Ramazanu, lecz charakter mistycyzmu, charakter świątyni wschodniej, zachęcającej do skupienia religijnego, zniknął bezpowrotnie.

I dlatego tylko niewielka ilość meczetów zasługuje na uwagę, gdyż większość z nich jest określana mianem świątyni, lecz są to świątynie bez Allacha.

ROZDZIAŁ V

LORD CARNARVON

Trudno o wspanialszą karjerę pośmiertną, niż ta, która przypadła w udziale Tut-ankh-Amenowi, i to, w okrągłych liczbach, w trzy tysiące lat po mumifikacji, a wkrótce po skandalu o światowym rozgłosie z powodu tiary Saitafernesa. Ludzie byli zrażeni do odkryć archeologicznych, ale tutaj rzeczywiście lord Carnarvon wraz z Carterem odszukali skarby przeszłości egipskiej w tak wielkiej ilości i tak wielkiego dostojeństwa, że sceptycyzm szybko musiał zamilknąć. Historja tych wykopalisk i uporu ludzi, którzy się temu zadaniu poświęcili, stanowi jedną wielką kartę dramatyczną. To też nie obyło się bez ofiar bezpośrednich i pośrednich. Mam tutaj na myśli tych, którzy, licząc na swoją szczęśliwą gwiazdę, zapragnęli pójść śladami genjalnego Carnarvona, chociażby na innych terenach eksploracyjnych.

Przytoczę fakt z najświeższej przeszłości. Przed paru miesiącami (na początku 1929-go r.) drogą na Kair rozeszła się po świecie wiadomość, że w Jerozolimie, na skłonie góry, gdzie wznosiła się świąty-

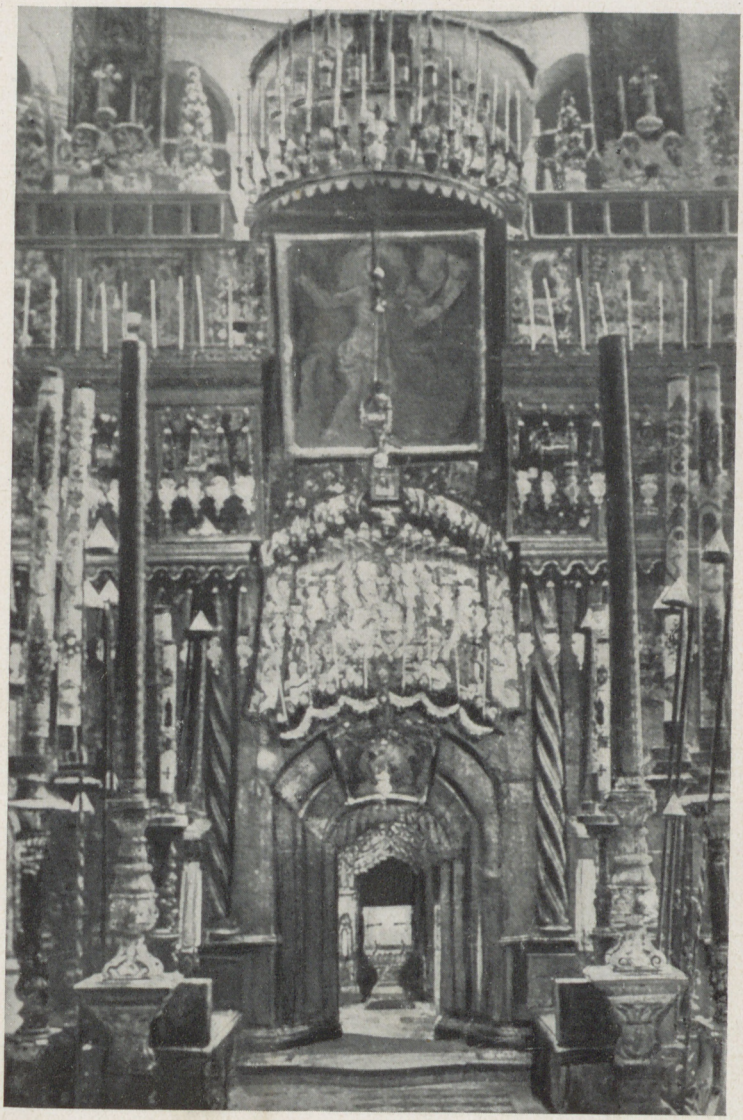

JEROZOLIMA: KAPLICA GROBU CHRYSTUSA

nia Salomona, znaleziono mumję, pokrytą kosztownościami i zamkniętą w «coffinie» cudownej roboty i nieocenionej wartości... Mumja ta przedstawiała jakoby szczątki doczesne ukochanej króla Salomonowej małżonki, przepięknej Moti Maris, córy faraonów, zgasłej w trzydziestym szóstym roku życia...

Jeśli początek tej wiadomości był już sensacją nielada, to zakończenie było zbyt piękne, aby wzbudzić zaufanie czytelnika. W odkopanej mogile miał się znaleźć pergamin, na którym własną Salomona ręką spisane zostały w języku hebrajskim smutne dzieje królowej, gdyż Moti Maris życie dla małżonka poświęciła, aby go wybawić z sieci podstępu, zastawionych przez własnego teścia i wroga, faraona Egiptu...

Zakotłowało się, przycichło i, zdaje się, będzie już cicho na temat ostatniego «odkrycia» w Jerozolimie. Już więcej o mumji i o tym epokowym pergaminie nie pisano. Przypomnieli sobie ludzie, że historją Moti Maris zajmował się już kiedyś wybitny egiptolog, Maspero [1]), i że Salomonowi, gdy swój pergamin zapisywał, nie był zapewne obcy bieg myśli tego znanego historyka. Maspero szczegółowo opisał małżeństwo Salomona z córą Psiukhanita II-go z XXI-ej dynastji. Początkowo było to «un mariage de raison», bo władcy Judei zależało przedewszystkiem na poparciu przez faraona jego walk z wasa-

[1]) Maspero Gaston: Les peuples de l'Orient classique.

lami, na uzyskaniu pomocy znakomitych inżynierów egipskich, na celach utylitarnych. Potem wywiązała się między małżonkami miłość, i uczucie, jakiem zapałał Salomon, zapewniło córze faraonów wyjątkowe stanowisko wśród małżonek królewskich. Salomon, który budował chętnie, wzniósł dla Moti Maris pawilon egipski wśród ogrodów swoich, aby nie tęskniła za ojczyzną, a po śmierci umiłowanej małżonki, opłakiwanej dozgonnie, uczcił jej pamięć obeliskiem.

Do dnia dzisiejszego widzieć go można: rysuje się nad doliną Cedronu pomiędzy Siloe i Górą Oliwną. Pod obeliskiem rozżalony król umieścił może w przybytku grobowym co bardziej ulubione przez Egipcjankę przedmioty, sprzęty, kosztowności i emblematy, aby ukochaną otoczyć zbytkiem, do jakiego w życiu była przyzwyczajona... Że czyniąc zadość wymaganiom czułego serca, nie zapomniał również o załatwieniu porachunków politycznych z wysokim teściem, to już stanowi dowód genjalnej wszechstronności, właściwej mądremu królowi... I dlatego depesza sensacyjna nietylko odszukała mumję, ale i pergamin historyczny.

Wiadomości tej nie uwierzono, i słusznie, ponieważ ludzie są dzisiaj sceptyczni wobec zbyt pięknej rzeczywistości. Zdaje się, że w danym wypadku zaszkodziła nie mumja Moti Maris, lecz obecność wynurzenia królewskiego. Zbyt często już nadużywano zaufania ludzi, aby autentyki, nawet pergaminowe,

nie przejmowały ich teraz sceptycyzmem. Kto się sparzył na tiarach, dmucha nawet na pergaminy.

Odkrywcę nekropolu (znanego) z legendarną zawartością (nie istniejącą), poświadczoną autografem Salomona, zaliczam do ofiar Tut-ankh-Amena. Właściwie zawinił tutaj lord Carnarvon, dając niebezpieczne przykłady, co licznych zachęcają naśladowców. Ponieważ pogląd mój jest ściśle subjektywny, więc pozostawiam każdemu swobodę sądów. Śmiem tylko twierdzić, że rzadko w czasach dzisiejszych spotkać można postać, do tego stopnia podkraszoną romantyzmem, jak postać lorda Porchester, piątego kolejno hrabiego z Carnarvon, i że dlatego będzie miał naśladowców, chociażby niezbyt udanych. Z szlachetnym lordem warto zapoznać się nieco bliżej.

Lord Carnarvon pozyskał, nie ubiegając się o nią, sławę wszechświatową. Jeżeli Tut-ankh-Amen zdołał przysłonić popularność łaskawie panującego króla Fuada na rzecz władców zamierzchłej przeszłości — z siedemnastej dynastji — to lord Carnarvon niezaprzeczenie zdystansował wszystko, co egiptologja na swych zaszczytnych kartach zdążyła zapisać. Lady Burghclere, dając zarys jego życia, notuje nie bez ekstazy, że zaczęło się ono w opowieściach Aladyna, a znalazło rozwiązanie jakby w mitach greckich o Nemezydzie, zazdrosnej o sukcesy ludzkie. W każdym razie Carnarvon był zdolny do wielkiego i uporczywego wysiłku i «fatum» pewne nad nim zacią-

żyło, bo godzina jego triumfu wybiła późno i dźwiękiem, przerwanym przez śmierć. Dziś, kiedy ludzie są pochłonięci troską i pracą codzienną, nie zwróciliby uwagi, przynajmniej tak uporczywej i natychmiastowej uwagi, na wiekopomne odkrycie w Dolinie Królów, gdyby nie tragiczna postać eksploratora: on zakłócił spokój grobowca, uszanowany przez lat tysiące; nad nim rozpętała się zemsta bóstw opiekuńczych. Złocista mumja faraona, ruszona z miejsca spoczynku, pchnęła śmiałka aż na koturny tragedji greckiej. Poczem Atropos, nieubłagana, przecięła nić jego żywota. A może w sprawę wdały się Erynje, i Alekto, «nigdy nie spoczywająca», już przedtem zatruła mu swem nękaniem chwile triumfu.

— Literaci to dziwna kasta umysłowa — zauważyła pani Wanda, której wobec kategorycznego żądania musiałem odczytać co nieco z zapisek, robionych w wolnych chwilach. — Wszystko sobie przedstawiają w świetle własnej wyobraźni i konstruują sobie taki swój kącik widzenia, czasem dość daleki od rzeczywistości...

— Jako «młody» literat nie poczuwam się jeszcze do nałogów zawodowych — broniłem siebie i «kasty» od bezpośredniego ataku.

— Wy się rodzicie z temi nałogami, a w odpowiedniej chwili wychodzą one na światło dzienne — rozwijała akt oskarżenia pani Wanda. — Proszę się zastanowić nad pańską historją meczetów — histo-

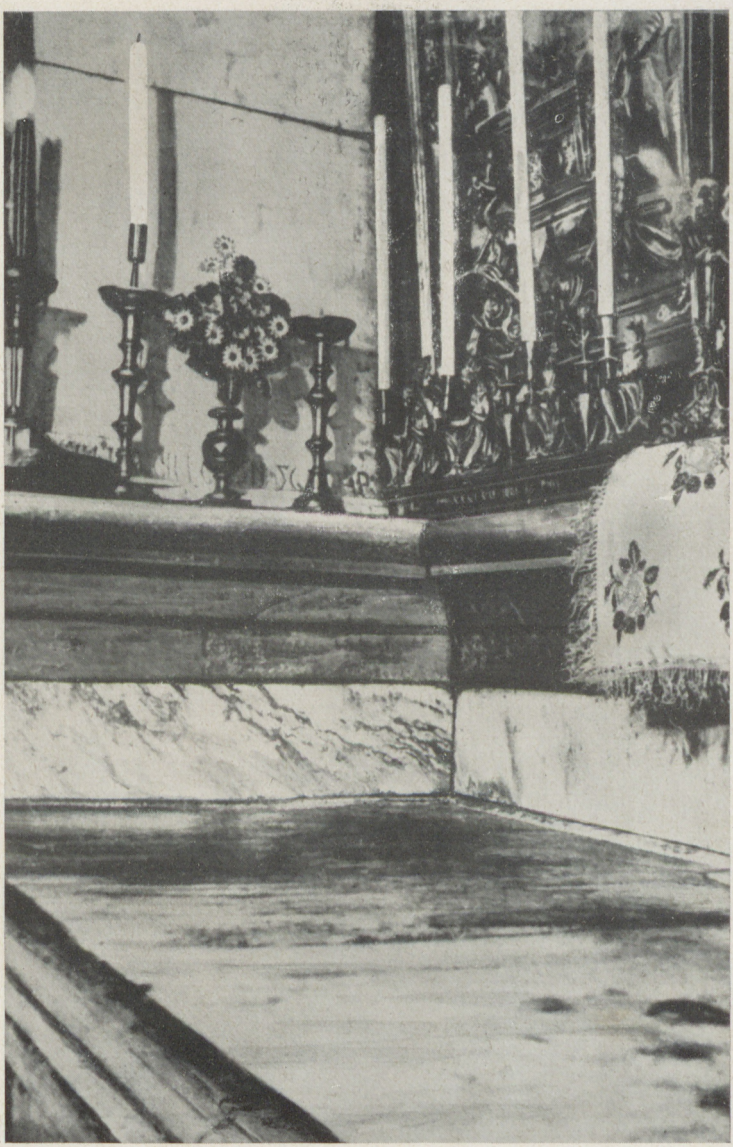

JEROZOLIMA: GRÓB CHRYSTUSA

rją w minjaturze, to przyznaję. Wszystko, co pan widział, jest ciekawe, ale tam, dokąd pan nie dotarł, ustają źródła zaciekawienia. Bo tam «niema Allacha». Tak to pan sobie powiedział — musi pan się zgodzić: dość bezceremonjalnie — i mamy wierzyć w ten absenteizm Allacha...

— Proszę odróżniać przyczyny od skutków: nie dlatego niema Allacha, że...

— Dialektyka. Selekcja zabawek. Foksterjer bawi się bułką, a pogryzie piłkę. Pomimo całego szacunku dla profesji, często zachodzi konfuzja...

— Pomiędzy chlebem a kauczukiem — wtrącił się Paweł do rozmowy. — Moja Wando, nie precyzuj, bo się zaplączesz. Porównania czasem zaciemniają sprawę.

— Bynajmniej. Lecz właściwie chodzi mi o to, że literatom, a wogóle prawie wszystkim mężczyznom, brak jest intuicji, mają tylko fantazję...

— Fantazja także coś warta — broniłem każdej piędzi naszych wartości.

— Ale niezawsze dobrze doradza. Więc przecież i tę historję o odnalezionej Moti Maris wymyślił literat, mężczyzna.

Taka diagnoza wywołała wśród nas poruszenie.

— Naturalnie — triumfalnie głosiła pani Wanda. — Kobieta, zmyślając taką nowinę, wiedziałaby, że Salomon mógł w grobowcu żony pozostawić rękopis na papirusie, tylko taki, a nie na pergaminie, bo Egipcjanka była przyzwyczajona do papirusów, a grobowiec miał być dla niej radością.

I Salomon w rękopisie nie mógł szkalować teścia, ale podnosił zalety żony, wielbił jej urodę i wyrzekał się świata, który dlań wartość utracił. Tak napisałaby kobieta.

— W zastępstwie mężczyzny. Bo przecież Salomon...

— Eh, tu już nie chodzi o Salomona — irytowała się osoba, obdarzona intuicją.

— Tak, chodzi o foksterjera — stwierdziłem z powagą.

— Nie, o te literackie zabawki — odparowano pchnięcie. — Były meczety, była Moti Maris, teraz jest Carnarvon. Poszczęściło mu się, odgrzebał faraona, potem umarł. A w pośmiertnym orszaku pan mu umieścił Eumenidy, Erynje... Fantazja.

— Nie, pani, intuicja i to kobieca. Bo przecież Lady Burghclere...

— Nie chodzi o nią — wybuchnęła pani Wanda. — Na jej kanwie pan haftuje swoje wzorki, i jeszcze się pan ze mną sprzecza.

Nie mogliśmy zgodnie ustalić, gdzie kończy się fantazja a zaczyna intuicja, i rzeczywiście zanosiło się na zwadę. Wieczoru tego nie czytaliśmy już dalej.

A życiorys Carnarvona, wbrew uproszczeniom mojej kuzynki, był pełen przygód romantycznych i nadzwyczajnych. «Romance and adventure», mówią Anglicy. Urodzony w Highclere, jednej z najbardziej malowniczych rezydencyj angielskich, wychowany w Eton i Cambridge, wcześnie utracił

rodziców, zwłaszcza matkę. Jeszcze za życia ojca «Porchy» (zdrobnienie od Porchester) odbywa swoje «Wanderjahre», na kontynencie, a podczas pobytów rodzinnych w Porto Fino zaprawia się do żeglarstwa. Potem na jachcie żaglowym, «Afrodycie», wypuszcza się w podróż naokoło świata, która, chociaż nieco zredukowana, wyrabia w młodym chłopcu samodzielność, odwagę i daje mu znajomość ludzi i krajów. W niebezpieczeństwie, a nieraz stawało mu na drodze, broni się z zimną krwią zarówno od ludzi, jak i od zwierząt. Napadnięty w łodzi na morzu przez rybaków, żądających okupu, z całym spokojem prosi o neseser i zamiast oczekiwanego portfelu wyciąga rewolwer. Rybacy powrócili do wioseł, i Porchy szczęśliwie wylądował.

Kiedyś w Południowej Afryce wybrał się na polowanie na słonie. Tak się jednak zdarzyło — opowiada zaprzyjaźniona z nim lady Burghclere — że role się zmieniły, i słonie rozpoczęły polowanie na myśliwego. Z jednym tylko naganiaczem wybrał się on z Durbanu na tę wycieczkę i o mało jej nie przypłacił życiem. Chybiony słoń rozpoczął szarżę, i «Porchy» z trudem uszedł pogoni. Udało mu się wdrapać na drzewo. Wymagało to nielada zwinności, i jest faktem prawie odosobnionym w dziejach łowiectwa, gdyż słonia można zastrzelić, ale uciec przed nim nie udaje się prawie nigdy. «Porchy» wyćwiczył się następnie w strzelaniu — zaliczano go do najlepszych strzelb angielskich — ale na słonie więcej nie polował.

W r. 1890 «Porchy», dwudziestoczteroletni młodzieniec, zostaje po śmierci ojca piątym hrabią z Carnarvon. «Lordy», jak go w Egipcie nazywano, podróżuje w dalszym ciągu po Włoszech, gdzie nawet potrafił zapoznać się z szefem mafji neapolitańskiej — niewiadomo jakim sposobem — po Szwecji i Turcji. Ale łatwiej było dotrzeć do prowodyra band mafijnych, niż do Abdul-Hamida, którego «lordy» chciał także zaliczyć do kolekcji swych egzotycznych stosunków. Sułtan — «Abdul the Damned» nazywają go Anglicy — kategorycznie odmówił audjencji i przesłał mu wysoki order. Tym razem znowu odmowa spotkała sułtana, Carnarvon order odesłał. Jakie były motywy sułtańskiej rekuzy niewiadomo. Podobno rodzic «lordy'ego» bronił sprawy dręczonych Ormjan, i stąd podejrzewano młodzieńca o planowanie zamachu na władcę wiernych. Inne wersje podają, że wchodziły w grę kwestje etykiety. «Lordy» był zawsze z garderobą w nieporządku: chodził w żółtych trzewikach i w sportowym «blue-jacket'cie», uzupełniając strój wełnianym szalem. Tak przychodził na obiady, wyścigi i tak chciał być przyjętym w Iyldiz-Kiosku. Protokół nie mógł się na to zgodzić.

Lady Burghclere jest niewyczerpana w cytowaniu charakterystycznych epizodów tego niespokojnego żywota. W podróży do Kalifornji, jak nam mówi, zatrzymał się «lordy» w New-Yorku, aby na prośbę przyjaciela zbadać jakiś interes handlowy, połączony z kupnem akcyj. Pierwszych informacyj

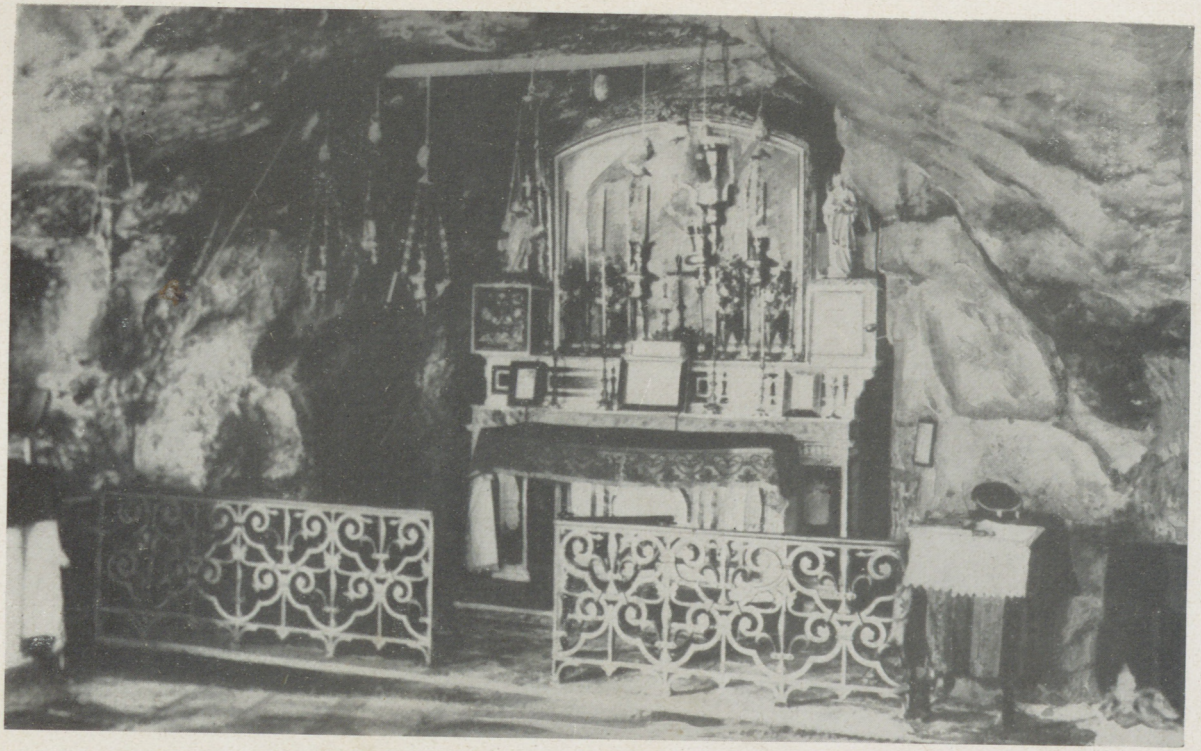

JEROZOLIMA: GROTA AGONJI W BAZYLICE GROBU

zasięgnął Carnarvon u swojego fryzjera, a potem za jego radą zwrócił się do jakiegoś finansisty o niezbyt świetnej reputacji. Ten mu odradził kupno walorów, o które chodziło, a Carnarvon je naturalnie nabył, na rachunek własny i przyjaciela. Gdy wrócił z Kalifornji, kurs akcyj już znakomicie był się podniósł, «lordy» zarobił dużo pieniędzy i poszedł do tegoż finansisty — z podziękowaniem.

— Ja pana nie zachęcałem do tego interesu — jątrzył się bankier.

— Tak się zdawało — stwierdził «Porchy» — ale domyśliłem się, że trzeba postąpić wbrew pańskiej radzie.

«Rycerz przemysłu» zaniemówił, a Carnarvon uważał go potem za najbardziej interesującego człowieka, jakiego spotkał w tej podróży, z wyjątkiem maszynisty czy też konduktora kolejowego w Kalifornji. Ten podobno górował jeszcze, jako «interesting man», nad finansistą, i Carnarvon po zastanowieniu jemu udzielił palmę pierwszeństwa.

Namiętność do archeologji obudziła się w rozpodróżowanym Angliku podczas pobytu na rekonwalescencji w Egipcie, i wtedy rozpoczął swoje pierwsze ekskawacje w Tebach. Powodzenie mu nie sprzyjało początkowo, dopiero później, przy pomocy Cartera, którego mu zarekomendował słynny Sir Gaston Maspero, udało się odszukać nietknięte groby ludzi, chociaż niezbyt znamienitych, lecz dbałych o swój dobrobyt pośmiertny. Odkopano «coffiny» z przed 2500 lat i różne inne ciekawości, sumiennie

opisane w oddzielnej książce. Powstały wielkie plany na przyszłość, lecz wszystko uległo opóźnieniu z powodu wybuchu wojny.

Dopiero po zawieszeniu broni lord Carnarvon odszukał Cartera, który tymczasem prowadził badania w Dolinie Królów. Sytuacja polityczna w Egipcie nie była zbyt pewna, ale «lordy» cieszył się wyjątkowemi względami miejscowej ludności. «Był on jednym z nielicznych Anglików — pisze o nim Sir John Maxwell — którzy oceniali i zdawali sobie sprawę, co Egipt dla nas zrobił w ciągu wojny, i jakie trudności mogły były dla nas wyniknąć z jego nieprzyjaznego stanowiska». «Lordy» pracował i w Anglji, i w Egipcie, ażeby uczucia przyjaźni wzięły górę nad złemi podszeptami. Te jego zabiegi oceniano równie wysoko nad Tamizą i nad Nilem, i dzięki temu mógł Carnarvon, zdobywszy niezwykłą popularność wśród fellahów egipskich, oddawać się bez przeszkód swoim umiłowanym zajęciom. Poszukiwania grobu Tut-ankh-Amena trwały długo, rodziły się nadzieje i wątpliwości, lecz kiedy nastąpiła ta «ekscytująca chwila» («a very exciting moment» — pisze Carnarvon), miała już ona być dla odkrywcy tylko przebłyskiem krótkotrwałego triumfu.

Przebiegowi tych historycznych poszukiwań warto także poświęcić nieco uwagi.

ROZDZIAŁ VI

GRÓB TUT-ANKH-AMENA

Do roku 1914-go Dolina Królów, gdzie przechowały się groby licznych faraonów, była niedostępna dla zwykłych eksploratorów z powodu koncesji, otrzymanej przez Amerykanina, Mr. Teodora Davis. Pracował on w niewyczerpanej Dolinie przez lat dwanaście i odszukał groby przodków Tut-ankh-Amena. Kiedy Davis uznał, że Dolina już otwarła przed nim swe wszystkie tajemnice, zrzekł się swego przywileju, i koncesja przeszła do rąk Carnarvona. Od chwili tej datuje się początek poszukiwań zagubionej mogiły, uwieńczonych najbardziej sensacyjnem powodzeniem. Nie przyszło ono łatwo.

Opinja egiptologów była jednomyślna i przesądzała sprawę wyeksploatowania Doliny. Sir Gaston Maspero, dyrektor Departamentu Starożytności, udzielając zezwolenia nowym poszukiwaczom, uprzedził ich, że nie mogą spodziewać się jakichkolwiek poważniejszych rezultatów. Taki sam błąd pesymizmu, mniej więcej przed stu laty, popełnił zna-

komity Belzoni. Carnarvon i Carter (podług słów ostatniego) nie zniechęcili się jednak do zamierzonych badań, wiedząc, że pozostały jednak w Dolinie pewne tereny, które opuszczono podczas poprzednich poszukiwań, tereny poniekąd jeszcze dziewicze. Mieli również pewne wskazówki, pewne fakty za sobą i wywnioskowali, że pozostała wciąż nieodkopana jedna mogiła królewska i że w mogile tej kryją się właśnie szczątki Tut-ankh-Amena. Bo to, co Davis odkrył i ogłosił za grób faraona, nie mogło nim być, chociażby ze względu na zbyt skromne wymiary i brak wszelkich przedmiotów splendoru i bogactwa, jakich można było spodziewać się w nienaruszonym dotąd przybytku śmierci... Chociaż znaleziono w nim wazy fajansowe i statuety, znaczone imieniem Tut-ankh-Amena, jednak, podług Cartera, dowodziło to tylko, że grób odszukany, grób zapewne prywatnego człowieka, został obsadzony już po śmierci faraona. Pozatem Davis odszukał w jakiejś kryjówce, która jednak mogiłą nie była, różne sprzęty i przedmioty: musiały one być związane z uroczystością pogrzebową Tut-ankh-Amena, nosiły jego imię, jego pieczęcie, poniekąd wiązały imię faraona z tym właśnie zakątkiem doliny, gdzie je odnaleziono. Błędy Davisa pozwalały wnioskować, że odszukanie samej mogiły nie zostało dotąd dokonane i jest dopiero zadaniem przyszłości. Wiara w to skłoniła Carnarvona i Cartera do przedsięwzięcia nowych poszukiwań, a wiary tej trzeba było mieć dużo, i dużo cierpliwości, ażeby przeżyć kilkoletnie

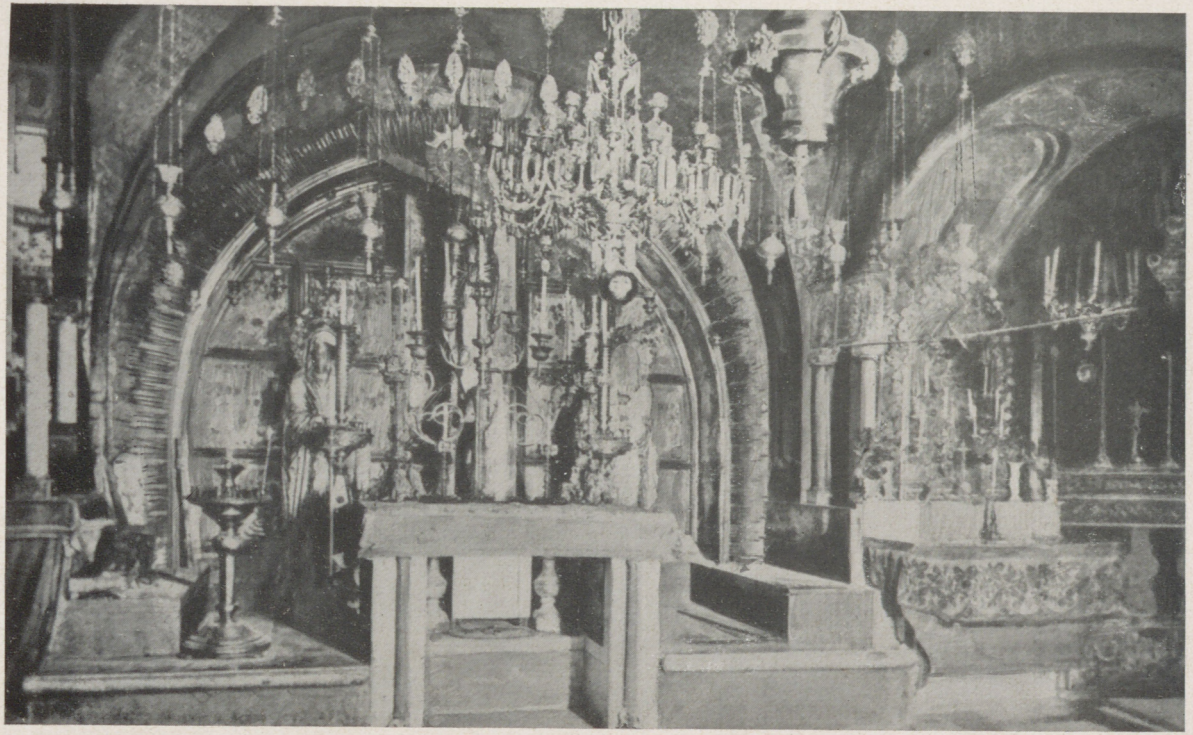

JEROZOLIMA: OŁTARZ NA KALWARJI W BAZYLICE GROBU

niepowodzenia i zawody, jakich los nowym badaczom nie szczędził.

Natrafiali na groby opuszczone, zdewastowane, lub na takie, które nigdy nie były użyte do swoich przeznaczeń, określane jako «niezamieszkałe» w gwarze technicznej. Drogą mozolnych dociekań przyszli do wniosku, że grób Tut-ankh-Amena może się znajdować tylko w trójkącie, zaznaczonym przez mogiły Ramzesa II-go, Mer-en-Ptah i Ramzesa IV-go. Na tym niewielkim terenie studja były prowadzone przez sześć lat, i pomimo odporności charakterów depresja i wątpliwości poczęły ogarniać eksploratorów. Chcieli już porzucić niewdzięczne pole pracy, poświęcając mu jeszcze ostatni, siódmy sezon... I w przeciągu pięciu dni odkrycie grobu zostało dokonane.

W danej chwili badania posuwały się w kierunku północno-wschodnim od grobu Ramzesa IV-go. Na głębokości trzech stóp od powierzchni natrafiono na szereg bezwartościowych baraków i chat robotniczych, zamieszkałych zapewne w czasie budowy grobowca królewskiego. Te szałasy nie przedstawiały żadnej wartości archeologicznej, częściowo były one już zbadane przez Davisa, a było ich tak dużo, że Carter, który sam wtedy kierował robotami, zamierzał posunąć się dalej. Czwartego listopada 1922-go roku, gdy podjeżdżał do terenu eksploracji, panowała tam cisza: znak niezawodny, że zaszło coś niezwykłego, skoro zamilkły oskardy i kilofy, wgryzające się drobnym, lecz stałym wysił-

kiem w udrękę skalistej pokrywy... Przy rozbieraniu jednej z chat, której materjały były przeznaczone do celów doświadczalnych, natrafiono na zaczątek schodów, w skale ciosanych, wiodących w głąb ziemi, a więc jak zwykle w Dolinie do jakiegoś grobu... Ale można nawet odkopać grób, cóż z tego, jeżeli znowu będzie to mogiła opuszczona lub nieużyta?

Chwile nadziei i zwątpienia szybko następowały po sobie. Bo przecież Carter już poprzednio natrafiał na grobowce całkowicie splondrowane, gdzie dzieło rabunku nie pozostawiło nic dla następnych zaciekawień... Dwa dni w pocie czoła trudzono się nad usunięciem rumowisk, robotnicy pracowali na zmiany, podnieceni oczekiwanem powodzeniem: ukazywał się stopień po stopniu, aż nareszcie za dwunastym załamem wyłoniły się drzwi grobowca, nienaruszone, zamurowane i zaopatrzone w pieczęcie. A więc triumf...

W każdym razie Dolina Grobów nie zawiodła. Jak twierdzi Carter, dopiero od tej chwili właściwie opanowała go gorączka, chęć ustalenia jak najprędzej, kto za temi tajemniczemi drzwiami znalazł swoją przystań grobową? Na odciskach pieczęci nie było nazwiska, można było poznać tylko emblematy królewskie, które umieszczano na nekropolach faraonów: szakal i dziewięciu niewolników. Więc nieboszczyk należeć musiał niezawodnie do najwyższych dygnitarzy państwowych, i drzwi grobowca, przykryte chatą robotniczą z czasów Dwudziestej

Dynastji, nie były otwarte aż po dzień dzisiejszy. To narazie nie ulegało wątpliwości.

Rzucały się jednak w oczy i inne cechy, świadczące prawie na pewno, że nie jest to jednak grób królewski: wejście całe było zbyt wąskie w porównaniu z wymiarami, które zazwyczaj stosowano w wielkich grobowcach. Chociaż rysunek i plan pochodził niewątpliwie z epoki Tut-ankh-Amena (XVIII dynastja), jednak grób mógł należeć do jakiegoś znakomitego Egipcjanina, pochowanego tutaj na rozkaz faraona. A może jednak — Carter nigdy nie chciał poniechać swoich marzeń — za tajemniczem wejściem spoczywa upragniona mumja, której odnalezieniu poświęcone zostały lata całe żmudnych poszukiwań?

Biedny Carter gubił się w domysłach, ulegał atakom pesymizmu i rozbudzonych nadziei. Nie wiedział jeszcze, że o kilka centymetrów poniżej odkopanego poziomu znajduje się wyciśnięta na drzwiach najbardziej autentyczna pieczęć szczęśliwie zachowanego Tut-ankh-Amena. Wejście tymczasem zasypano ponownie, ażeby zabezpieczyć grób od dość prawdopodobnego rabunku, gdyż wieść o odkryciu tajemniczej mogiły lotem ptaka rozeszła się po Egipcie i ściągnęła do Doliny niemało przygodnych turystów. I szukano po świecie Carnarvona. W trzy tygodnie później był on już w Luksorze, i nareszcie przy nim odkopano drzwi wchodowe w całej okazałości: pieczęć Tut-ankh-Amena znalazła się, i pod tym względem wątpliwości już być nie

mogło. Lecz okazało się jednocześnie, że dolna część wejścia uległa kiedyś odbiciu i że powtórnie przylepiono zerwane pieczęcie... Więc grobowiec był ograbiony, a może był to poprostu skład przedmiotów, należących do różnych faraonów, bo wśród rumowisk wejściowych znaleziono skarabeusze, naczynia potłuczone, skrzynki z nazwiskami kilku królów, należących do XVIII dynastji. Ta różnorodność sprzętów i nazwisk wskazywać się zdawała, że odszukano coś bardzo ciekawego zapewne, lecz nie grobowiec Tut-ankh-Amena... Jeszcze jedna noc naprężonego oczekiwania i częściowej depresji.

Nazajutrz w odległości trzydziestu stóp od pierwszych drzwi znaleziono następne, również opieczętowane, oddzielone od wejściowych przez komorę, wypełnioną kamieniami i różnemi przedmiotami, łatwemi do uszkodzenia. Robota wskutek tego posuwała się bardzo powoli. Pieczęcie i na tej ścianie były wyraźne i znane, tutaj również odszukano ślady dokonanej penetracji w głąb pieczary. «Byliśmy znowu przekonani — mówi Carter — że zbliżamy się do jakiejś kryjówki, a nie do grobowca. Takie schówki wpobliżu odszukał już Davis, znajdowały się w nich pozostałości po Akh-en-Atenie i królowej Tyi. I tutaj tak być mogło, sądząc z pozorów».

Powoli, nadmiernie powoli odkopywano dolną część drzwi, wybito w nich otwór początkowo niewielki, wystarczający, żeby wsunąć świecę, zabezpieczoną od możliwego wybuchu gazów. Pierwszą lustrację przeprowadził Carter: narazie mógł tylko

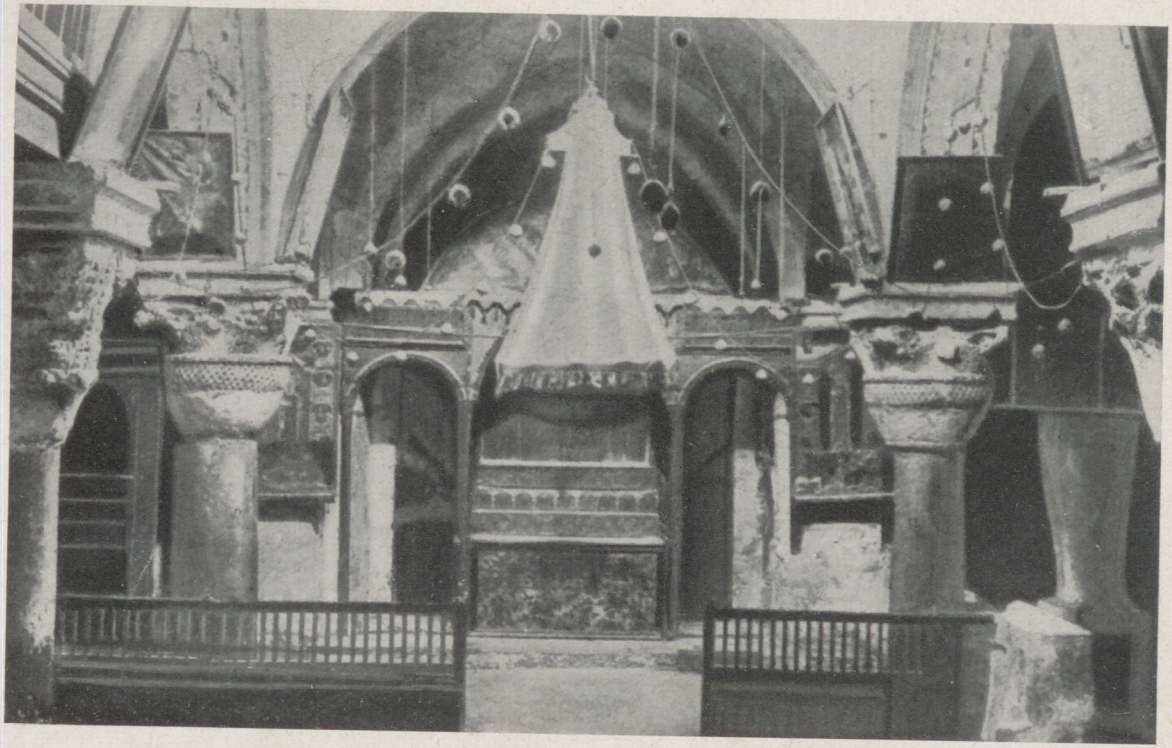

JEROZOLIMA: KAPLICA ŚW. HELENY W BAZYLICE GROBU

stwierdzić, że przestrzeń za ścianą jest wolna i że już niema więcej zwałów kamiennych. Lord Carnarvon z córką stali obok Cartera i oczekiwali na jego wrażenia. Ale Carter nic nie widział, dopóki wzrok nie przyzwyczaił się do zmroku i migoczącego światła świecy. Powoli zaczęły się jakby wyłaniać z ciemności szczegóły urządzenia tajemniczej komnaty, jakieś niezwykłe zwierzęta, posągi, sprzęty, wszystko jarzące blaskiem niezwykłym, blaskiem szczerego złota... Carter zaniemówił, Carnarvon nie otrzymywał odpowiedzi na zadawane pytania, więc wziął do ręki pochodnię elektryczną i począł również sondować ciemności. Wrażenia były i dla niego zbyt silne, otoczenie czekało w naprężeniu, Carnarvon milczał. Gdy wreszcie cofnął się do antykamery, z wyglądu jego wywnioskowano, że stało się: za ścianą był grobowiec Tut-ankh-Amena [1]).

«Przypuszczam, — pisze Carter — że większość archeologów doznaje uczucia strachu, a co najmniej zakłopotania, wchodząc do izby zamkniętej i zapieczętowanej przez ręce zbożne przed wielu wiekami. W takiej chwili czas, jako czynnik życia ludzkiego, zatraca swoje znaczenie. Trzy, a może cztery tysiące lat upłynęły bezpowrotnie, odkąd stopa ludzka po raz ostatni stąpała po posadzce, na której stoisz, a jednak wokoło siebie widzisz oznaki jakby

[1]) Przebieg akcji został naszkicowany w głównych zarysach podług arcyciekawej książki: «The Tomb of Tut-ankh-Amen» by Howard Carter and A. C. Mace.

nieprzerwanego życia i czujesz, że wszystko to być mogło nie dawniej, niż wczoraj. Powietrze, którem oddychasz, od wieków świeżym przypływem nie zasilane, jest dla ciebie tem samem powietrzem, jakie wchłaniali ludzie, odprowadzający mumję na spoczynek wieczny. Pojęcie czasu jest anulowane przez ten sposób myśli, który się narzuca, a jednocześnie w środowisku tem czujesz się intruzem...»

Te, nieco liryczne, refleksje nie przeszkodziły jednak Carterowi przedsięwziąć w nowej roli intruza wszystko, co było potrzebne do zabezpieczenia i całkowitego wyeksploatowania (naturalnie historycznego) przebogatej zawartości mogiły. Skarbnica okazała się tak obfita, że sama wystarczyłaby na wypełnienie nowego lub uzupełnienie starego muzeum li tylko pamiątkami po Tut-ankh-Amenie. Praca przy tem wykopalisku, jedynem w swoim rodzaju, rozłożona została na długi przeciąg czasu. Fotografowano, robiono katalogi, składano na miejscu przedmioty rozbite. Potem wywożono wszystko do specjalnych składów, gdzie przedmioty zostały poddane zabiegom renowatorskim z niebywałą jak dotąd pieczołowitością. I przewóz całego spadku i zabezpieczenie od rabunku tego, co jeszcze pozostawało na miejscu, wymagało doskonałej i sprężystej organizacji, oraz długiego i nieprzerwanego okresu pracy, słodzonej rozkoszą triumfu, jakiego nie notowała dotąd historja wykopalisk. Lecz pełni powodzenia nie dożył już lord Carnarvon, nie było mu sądzone dzielić z Carterem wszechświatową sławę i bezprzykład-

ną popularność, jaką w krótkim czasie osiągnął zapomniany prawie grób Tut-ankh-Amena i ci, co odkrycie to doprowadzili do szczęśliwego wyniku. Po zakończeniu pierwszego sezonu pracy, grób zamknięto, i ciąg dalszy odłożono do jesieni z powodu panujących upałów. Jesieni tej już Carnarvon nie doczekał. Ukąszony przez moskita, uległ on zakażeniu krwi. Nie pomogły starania żony i córki, nie pomogły zabiegi całego sztabu lekarzy i pielęgniarek. Trzy tygodnie trwała walka życia ze śmiercią, ale Carnarvon był już gotów na jej spotkanie i, jak mówił, usłyszał jej zew nieubłagany. Zmarł w końcu kwietnia 1923-go roku.

Czyż trzeba przypominać obfite interpretacje, jakie pociągnęła za sobą nieoczekiwana śmierć Carnarvona? W glosach, wywołanych przez ten smutny zbieg okoliczności, walczyło o lepsze przekręcanie faktów z chęcią robienia nastrojów pseudo-klasycznych i ponurych. Wypadek, niestety, nieodosobniony w krajach wielkich upałów i złych warunków zdrowotnych, został położony na karb mściwości pozagrobowej Tut-ankh-Amena, i skoro po pewnym czasie ludzie zapomnieli o nieszczęśliwym losie eksploratora, tem goręcej poczęto się interesować historją domniemanego mściciela, młodziutkiego i przedwcześnie zgasłego faraona.

Wszystko, co już dzisiaj podziwiać możemy w Muzeum Narodowem w Kairze, w salach, poświęconych pamięci tego młodzianka: przepiękny tron,

bajeczny «coffin», t. j. futerał kryjący mumję, kosztowności, laski, miecze, sandały i zbroje odrobione w złocie i arcywdzięcznej emalji, wszystko to stanowi zawartość, jeszcze niecałkowitą, odszukanej mogiły. Chociaż nazwisko Tut-ankh-Amena obiegło dzisiaj świat cały, jednak popularność, zdobyta w krótkim czasie, nie powiększyła wiadomości ścisłych z tego, tak ciekawego, okresu historji egipskiej. Dlatego Carter nakreślił także dzieje swojego nieboszczyka.

Tut-ankh-Amen był zięciem króla Akh-en-Atena, którego żywot heretycki niejednokrotnie pociągał historyków. Rodowód jego nie jest ustalony, lecz, nawet jeśli nie pochodził z krwi królewskiej, małżeństwo z córką faraona wystarczało, ażeby zapewnić mu prawa do tronu. A tron znajdował się wtedy w poważnem niebezpieczeństwie. Wpływy faraonów upadły zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. Kapłani dawnej wiary czekali tylko chwili odpowiedniej do przeprowadzenia obrachunków ze światoburczą dynastją. Wojsko gnuśniało w bezczynności, a żywioł niewieści, przeważnie obcy, pogarszał ten stan rzeczy, przyjmując udział w rządach, w życiu dworskiem i w szerzeniu ogólnej demoralizacji. Handel i przemysł upadał, a wszelkie niepowodzenia i katastrofy przypisywano zemście dawnych bogów, sponiewieranych przez niedołężnego Akh-en-Atena, którego żywot płynął w bezczynności i upadku w Tell-el-Amarna.

Męskich spadkobierców nie było, pozostały

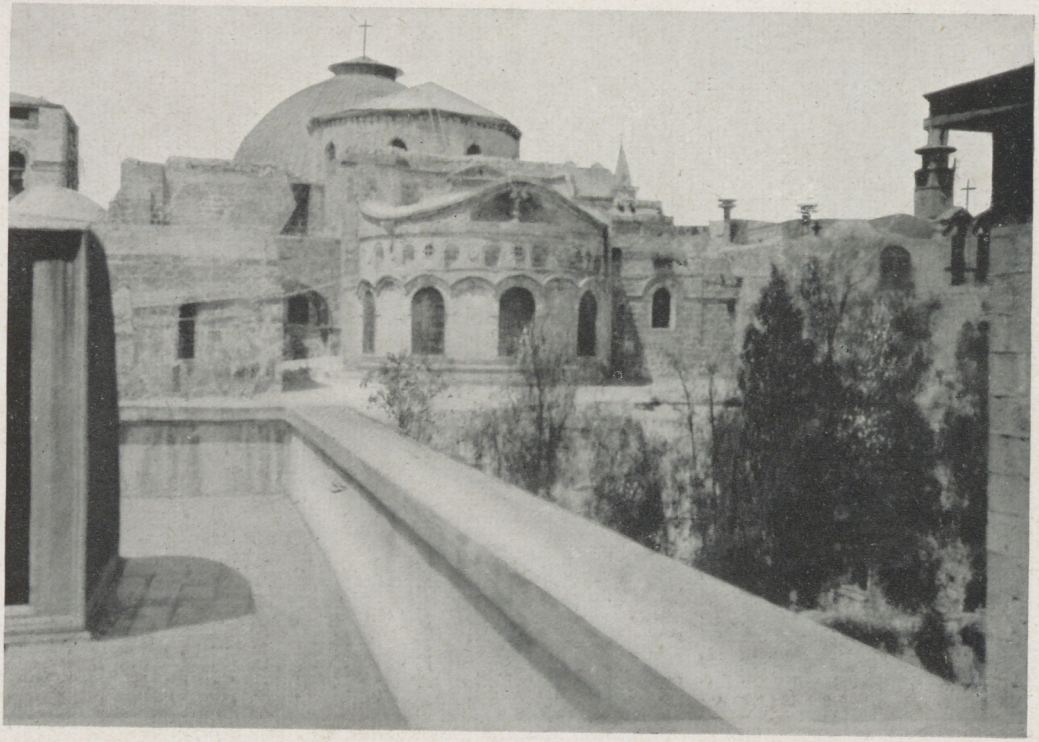

JEROZOLIMA: BAZYLIKA GROBU ZBAWICIELA (OD STRONY INST. ROSYJSKIEGO)

córki, z których dwie zmarły prawie jednocześnie ze śmiercią ojca. Najmłodsza, o skomplikowanem imieniu: Ankh-es-en-pa-Aten, została zaślubiona, jako dziesięcioletnia dziewczynka, niewiele co od niej starszemu Tut-ankh-Amenowi (wówczas nosił on jeszcze imię Tut-ankh-Aten). Rządy właściwie znalazły się w ręku arcykapłana Aya, którego żona, Tyi, była piastunką wdowy po zgasłym faraonie, sławnej z urody królowej Nefertiti. Arcykapłan był tym, który Tut-ankh-Amena na tron wprowadził, przewidując dla siebie duże z tego korzyści, a nie licząc się z apetytami innych, zwłaszcza wodzów egipskich. Jeden z nich, Hor-em-heb, zgłosił się po udział w rządach, i walki wzajemne tych dwóch chciwych władzy mężów wypełniły historję lat kilkanastu w połowie XIV-go wieku przed Chrystusem, no i naturalnie całe krótkotrwałe panowanie młodego faraona.

Jakie były wybitniejsze fakty tego panowania, ustalić można z napisów, zachowanych w świątyniach i na «stelach». Stolica została znowu przeniesiona do Teb i młody władca powrócił do dawnej wiary (o czem świadczy zmiana imienia), upiększając jednocześnie świątynie starych bóstw, narażone na ruinę i poniewierkę. Sam pisze o tem nie bez pewnej grandilokwencji («stela» w Muzeum Kairskiem) i zaznacza, że użył na ten cel dużo złota, electrum, drogich kamieni i «lapis lazuli»... Kwestja nawrócenia albo polityki. Pozatem wiemy, o ile coś można wiedzieć o faraonach, chętnie dających folgę

fantazji historycznej w płaskorzeźbach i skryptach, że niektóre szczepy Syrji, a na południu — Sudanu, pozostawały w lennym do faraona stosunku i że pastwił się nad jeńcami z dużem zamiłowaniem... Panowanie jego trwało zapewne lat kilka.

Małżonkę faraona, przemianowaną konwertytkę Ankh-es-en-Amen, widzimy na tylnej płaszczyźnie odzyskanego tronu: namaszcza wonnościami ciało swego młodego władcy. W innej scenie towarzyszy mu podczas łowów, podaje łuk i wskazuje zwierzynę. Lecz poza sprzętami, znalezionemi w mogile, były i inne źródła, z których można było ustalić sylwetkę królowej. Była to podobno niewiasta o silnej woli i świadoma swoich celów, dlatego też po przedwczesnej śmierci małżonka zatroszczyła się natychmiast o jego następcę. Prosiła króla szczepu Hittitów, aby przysłał jej bezzwłocznie jednego ze swoich synów na męża i faraona. Narzucenie takiego nowego, a obcego władcy nie odbyłoby się bez trudności, lecz przedewszystkiem trzeba było działać prędko. Król chciał poprzednio zbadać sytuację i, zdaje się, te kunktatorskie procedery zniweczyły cały plan Ankh-es-en-Ameny. Zanim przyszły narzeczony wybrał się do Egiptu, odbył się już pogrzeb Tut-ankh-Amena, i władza przeszła w ręce arcykapłana, gdyż on utrzymał się na tronie faraonów. Królowa zniknęła, losy jej są nieznane, i zapewne pozostaną już w dziedzinie zagadek i baśni, gdyż, jak stwierdza Carter, brak jest jakichkolwiek podstaw, aby nawiązać przerwaną nić historji.

Trzeba więc głównie opierać się na tem, co znaleziono w Dolinie Królów, na tym cmentarzu faraonów, który powstał wskutek zawodów, na jakie narażeni byli twórcy piramid, a właściwie ich następcy. Skoro przekonano się, że spokój pośmiertny władców nie jest zapewniony w tych okazałych budowlach, wznoszonych na chwałę za życia i na spoczynek pośmiertny, poczęto szukać nowego systemu pogrzebowego, systemu ochronnego, jeśli tak powiedzieć można, przy którym rabunek i gwałcenie mogił byłyby utrudnione w znacznym stopniu. Egipcjanie wierzyli niezłomnie, że do życia pozagrobowego niezbędne jest, aby mumja pozostawała nietknięta na miejscu swego spoczynku i posiadała wszystko, co odpowiada normalnym potrzebom ludzkim. W grobowcu składano tedy ziarno, broń, wozy wojenne, szaty, balsamy, sprzęty, a przedewszystkiem kosztowności, które nie dawały spać rabusiom różnego autoramentu. Zawalano wejścia do grobów głazami wielkiego ciężaru, robiono labirynty, skrytki i zmyślne zakamarki, a rezultat był niezmiennie ten sam. Spryt rabusiów górował nad chytrością strony przeciwnej, i gdy wygasła XVII-ta dynastja, przekonano się, że ani jeden grobowiec królewski nie ocalał od złośliwej grabieży. Przedstawiciel nowej dynastji, Thothmes I, wpadł na nowy pomysł: miejsce spoczynku faraonów miało być odtąd nieznane, otoczone legendą, ukryte w górach, okalających Dolinę Grobów Królewskich. Jemu zawdzięczamy, że coś jednak ostało się z tych pamią-

tek odległych czasów — dzięki ściśle zachowanej tajemnicy. Dyskrecję osób, mogących ją zdradzić, osiągano w sposób skuteczny, chociaż prymitywny: wybijano co do nogi robotników, zajętych przy tych budowlach, a dla uniknięcia wyrzutów sumienia, używano do tych prac wyłącznie więźniów wojennych. Zdawało się, że spokój pośmiertny faraonów jest zapewniony.

Iluzje te trwały krótko, bo, jak mówi Carter, w Egipcie nie udało się jeszcze nikomu dochować tajemnicy. Chociaż groby koncentrowały się teraz na małej przestrzeni, i łatwo było zapewnić im straż bezpieczeństwa, jednak ulegały one rabunkom. Stracono nadzieję skutecznego oporu, i poczęto przenosić mumje królewskie z grobu do grobu. Następnie około tuzina mumij skoncentrowano w grobie Amen-hetepa II-go, pozostałe zaś umieszczono we wspólnym grobie, wykutym w skałach świątyni Deir-el-Bahari. Fatalnym, czy też szczęśliwym zbiegiem okoliczności twórcy tego nowego cmentarzyska przeholowali w konspiracji i sami nie mogli go odszukać... Dzięki temu mumje przeleżały w spokoju ze trzy tysiące lat.

Ocalenie grobu Tut-ankh-Amena także trzeba zaliczyć do szczęśliwych wypadków. Uległ on tylko częściowemu ograbieniu zapewne przez rozgłośnych bandytów tebańskich, a potem zapomniano o nim, i tak to sobie szczęśliwie przetrwało do czasów Carnarvona i Cartera. Wogóle wszyscy badacze kolejno ogłaszali, że Dolina jest już wyczerpana, a po-

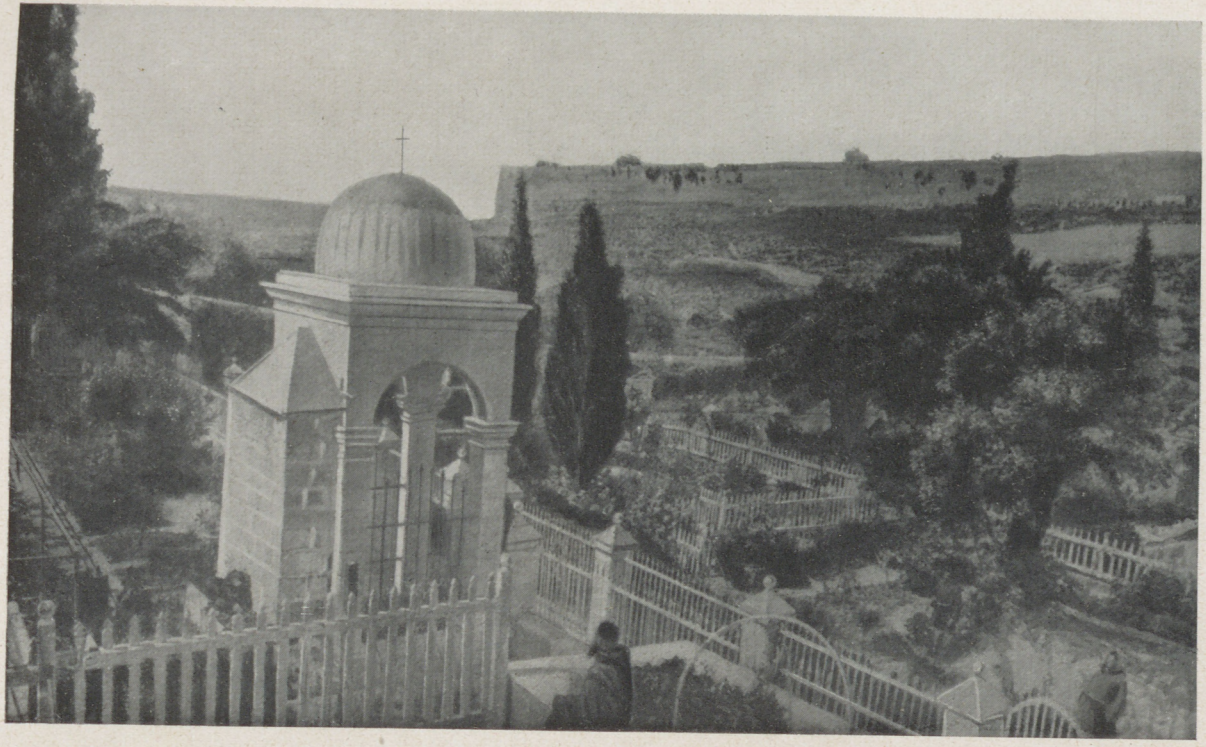

JEROZOLIMA: OGRÓD GETHSEMANI

tem wyłaniały się ciągle nowe perspektywy. Już Belzoni w 1817 roku, gdy udało mu się odszukać wspaniały grobowiec Seti-Ista z sarkofagiem alabastrowym, twierdził, że w Dolinie pozostaje niewiele do odszukania — parę mogił najwyżej — a tutaj trwa wszystko po dawnemu, aż po dzień dzisiejszy, chociaż ostatni poszukiwacze, niedawno Davis, a obecnie znowu Carter, nie pokładają już żadnych, zdaje się, nadziei w wyeksploatowanej Dolinie. Nadzieją żyją zawsze ci, którzy jeszcze nie osiągnęli powodzenia.

ROZDZIAŁ VII

EGIPTOLOGJA. KANAŁ SUESKI

Pani Wanda nie podzielała moich zapałów do mogił królewskich i odmówiła kategorycznie udziału w podróży do Luksoru. Paweł, rad nierad, musiał dotrzymywać towarzystwa żonie, samotnie więc i pośpiesznie zwiedziłem te zakątki, świadczące o zwykłej znikomości rzeczy ludzkich i o przypadkowem, a wiecznem ich trwaniu, jeśli losy tak pokierują. Dolina Królów, oprócz sąsiedztw historycznych z przepięknemi zabytkami architektury, posiada niewiele atrakcyj dla przygodnego turysty, niewtajemniczonego w arkana tajemne archeologji. Zato rozwija skłonność do medytacyj, o ile uda się ją zwiedzić we względnej samotności.

Pani Motwidowa triumfowała niepodzielnie, kiedy wyspowiadałem się z moich wrażeń.

— Nie warto było jechać tak daleko — nie oszczędzała mi przycinków — ażeby oddawać się rozmyślaniom. Można pomyśleć o różnych rzeczach i w Kairze, nie prażąc się w «ekspresie» assuańskim i nie jeżdżąc wdół Nilu. Najleniwsze to rzeczysko,

jakie widziałam, i nudne, nie przymierzając, jak Wołga.

— Tak pani narzekała na Kair, a teraz...

— Niech kochany «egiptolog» nie przesadza — podkpiwała sobie moja kuzynka — bo Paweł gotów uwierzyć, że pobyt nasz tutaj przedłużył się przez oczywistą galanterję dla mnie.

— A ze szkodą dla nas — wtrącił zaczepiony Paweł. — Ale przypuszczam, moja droga Wando, że jednak i ciebie coś tutaj zaczęło wabić, oprócz kurzu i wiatru, o którym słyszeliśmy już w Marsylji.

— Ironja ze strony męża jest zawsze przykra — zauważyła pani Wanda. — Ale jeśli wam się zdaje, że jesteście w fazie «poznania» Egiptu, to nie chcę wam przeszkadzać. Bałabym się jednak, abyście tej zabawy nie brali na serjo...

— To pod moim adresem? — pytałem, trochę zaniepokojony.

— Pod pańskim także — padła przestroga. — Paweł ma lekkie zboczenie na punkcie muzealnym, a pańskie zatacza szersze kręgi, aż do Assuanu włącznie, przez Luksor, Teby i Memfis. Na naśladownictwo Champoliona, Mariette'a czy Belzoniego nie wystarczy panom czasu, a proszę zauważyć, że o kwalifikacjach dyskretnie nie mówię. Lorda z Carnarvon, z niewdzięcznego Carnarvon, gdzie Lloyd George pobił ostatnio konserwatystę przy wyborach, także nie zaćmicie, chociażby z braku pomocników w rodzaju Cartera. O cóż właściwie chodzi? Róbcie, jak ja. Nie przejmuję się niczem i zwie-

dzam, co można zobaczyć bez zbytnich trudów. A przedewszystkiem trzeba się pogodzić z tem, że nie wszystko zobaczycie i nie o wszystkiem będziecie mogli mówić ze znajomością rzeczy. No, ale tak, powierzchownie...

W skrytości ducha przyznałem rację tym wywodom, ale cóż z tego, kiedy po pięknym wstępie pani Wanda sama wpadła w krytykowane przewiny i zaczęła opowiadać, nie ustępując pod względem pewności siebie fachowym «egiptologom», jak to Muzeum w Kairze stanowi unikat w swoim rodzaju z powodu swej jednostronnej, egipskiej wszechstronności; jak wśród Egipcjan rozbudza się teraz zamiłowanie do własnej przeszłości historycznej, gdy dotąd zwiedzano wystawy starożytności przeważnie, aby zapewnić płodność w rodzinach. Taka bowiem wiara przesądna panowała wśród krajowców, a naturalnie duże zbiory muzealne miały pierwszeństwo w asekurowaniu możliwości prolifikacyjnych. Stąd ich niezwykła, chociaż nieusprawiedliwiona popularność. Dalej nastąpiły zwierzenia konfidencjonalne z zakresu sztuki egipskiej: gdyby nie spadek po Tutankh-Amenie, nie wiedzielibyśmy, czem jest styl Tell-el-Amarna, a teraz możemy już sobie pojęcie o nim wytworzyć — naturalnie wszystko na miejscu w Kairze, i dalej jeździć nie warto...

— Pani odróżnia style egipskie podług miejsca pochodzenia i epoki? — podsycałem werwę narracyjną.

— Cóż w tem dziwnego? — stropiła się nieco



JEROZOLIMA: MECZET OMARA

pani Wanda. — Pani Franchette-Winter wykłada to bardzo przystępnie.

Okazało się, że damą o podwójnem nazwisku jest dobrze nam znana «Izyda».

Przypomniały mi się dąsy na Gérarda i ucieczka przed wykładem... Nazwisko nie było mi obce, gdyż wsławiła je książka z zakresu «wiedzy tajemnej». Książka ta była dość słabą kompilacją, z czego wyciągano wniosek, że nie uległa ona cenzurze uczonego małżonka autorki, dawno pokumanego z egiptologją. Pani Franchette napróżno chciała przyćmić mozolne zasługi męża polotem nowych intuicyjnych koncepcyj, a narazie była natchnieniem egipskiem mojej kuzynki.

— Jest to nadzwyczajna kobieta — perorowała pani Wanda — chociaż jej sytuacja, wobec zazdrości, takiej naukowej zazdrości męża jest bardzo trudna. Jeżeli pan chce mieć małą próbę erudycji pani Franchette, to mogę zacytować, że tylko dzięki jej pracom udało się ustalić rzecz nadzwyczajną. W jednym z grobowców, zdaje się Mantuhotepa (XI dynastja!), odszukano sarkofagi kilku jego oblubienic...

— Takich z haremu? — informowałem się dokładniej.

— Nie o to chodzi — zastrzegła pani Wanda. — Z życia doczesnego. Otóż, jak ustaliła pani Franchette, na każdym z sarkofagów znajdował się zatarty napis: «jedynie umiłowanej». Co za subtelność uczuć panowała wtedy i jak minęła bez śladu! Rzecz

ta stała się znowu znana dzięki kobiecie. Już pan się chyba domyślił, że mówię o pani Franchette.

Pani Wanda czekała na wrażenie, jakie ta rewelacja na mnie wywrze, i spotkała się z mej strony z wybuchem niepohamowanej wesołości.

— Ależ droga pani — starałem się wyjaśnić niewłaściwy atak śmiechu — jeśli napis był zatarty, to nie można było go odcyfrować.

— Był naturalnie tylko częściowo zatarty — broniła admiratorka pani Franchette. — Chyba pan rozumie, pomimo dobrego humoru, że przyczepiać się do słów...

— Dobrze, więc przejdźmy do myśli i do uczuć. Każda oblubienica zapewne za życia przygotowała swój nekrolog i wyryła go w kamieniu. Taka krótka dedykacja wystarczy przecież za najobfitszy hymn pochwalny. Jeśli faraon przeżył umiłowaną, to może sam, wbrew rzekomej subtelności uczuć, napis usunął. Nie wszystko trzeba składać na «ząb czasu».

— W każdym razie, nawet przyjmując niegodziwość faraonów za dowiedzioną — pan lepiej zna naturę męską — trzeba uznać zasługi pani Franchette — konkludowała pani Wanda. — Pańska interpretacja...

— Moja jest jedną z wielu możliwych — trwożyłem przeciwniczkę — możnaby ich ułożyć całą serję. Może pani Franchette (Wintera opuszczam przez galanterję) fałszywie odcyfrowała napis...

— To jest wyłączone — stanowczo oponowała pani Motwidowa.

— Jednak zdarzało się to nawet sławom egiptologicznym. Może w sarkofagach spoczywały małżonki, czy też kochanki różnych królów — monogamja i wtedy miała swoich zwolenników...

— To jest nieprawdopodobne — oświadczyła po namyśle pani Wanda.

— Jabym się do takiego braku idealizmu nie przyznał — zlekka zaznaczyłem cynizm otrzymanej odpowiedzi. — Albo wreszcie — proszę mi darować — pani Franchette może opowiedziała pani historję znaną, jedną z tysiąca, jedną z tych, od których aż się roi tutaj w głowach i w drukach o obiecujących i zawodnych tytułach.

Pani Wanda zgniewała się ostatecznie i przerwała dyskusję. Myślałem, że więcej o «Izydzie» nie będzie mowy. Aż tu po jakimś czasie, uszom nie wierząc, usłyszałem lapidarną opinję mojej kuzynki:

— Wie pan co, ta cała «Izyda» jest oparta — na bladze, razem z subtelnością faraonów i jej własną...

Czułem, że odnoszę zwycięstwo, ale triumf mój nie był całkowity, ponieważ pani Motwidowa nigdy nie chciała się przyznać, jakiemi drogami w tak krótkim czasie doszła do równie sprzecznych opinij. Nawet podstępem chciałem wyłudzić wyznanie, pozwalałem sobie na ataki, krytyki i hipotezy, uwłaczające naukowym kwalifikacjom «Izydy» — wszystko napróżno.

— Łatwo panu mówić — zauważyła nawróco-

na — ale gdyby pan ją był słyszał! Opowiadała tak ładnie i o tej faworycie, i o innych rzeczach! Kazała mi się śpieszyć z oględzinami pozostałości po Tut-ankh-Amenie, «bo wszystko to się zmienia i degeneruje», szkoda każdego dnia: przedmioty, które istniały przez tysiące lat w stabilizowanem powietrzu i ciemności, nie mogą znieść teraz atmosfery normalnej, ruchu i działania światła... Pani Franchette twierdziła, że zwierzęta zmieniły wygląd, a emaljowane oblicza — również. Wszystko to teraz drga jakiemś nam nieznanem życiem, zczasem zwyrodnieje, może w proch się rozsypie... Mogłaby powstać taka ładna legenda, o zdematerjalizowanych przedmiotach, albo o śmierci sprzętów. A tymczasem i to może nieprawda, lub przynajmniej prawda, zaczerpnięta z cudzej pracy.

Tym razem wiedziałem już, co się stało: zapewne poprawna edycja fantazyj «Izydy» wpadła w ręce jej admiratorki, stąd rozczarowanie. Ale musiałem także uznać pewną oryginalność pani Franchette-Winter i wziąć ją w obronę: teorja zamierania wydostanych na powierzchnię ziemi przedmiotów wyglądała na jej własny dorobek, może niezupełnie ścisły, ale nadający się do legendy i do wzbogacenia opisów w książkach o rozigranej fantazji.

— Zresztą i w wydawnictwach «naukowych» jest pełno licencyj i sprzeczności — dochodziłem do ostatecznych konkluzyj — i co w jednem jest białe, to w drugiem często bardzo jest czarne, lub co najmniej szare. Trzeba wybrać jednego, sympatyczne-



JEROZOLIMA: ESPLANADA PRZY MECZECIE OMARA

go egiptologa i jemu zawierzyć. W przeciwnym razie możnaby osiwieć pod wpływem lektur i wątpliwości, a dyskusje przyjęłyby obrót wojowniczy, niepożądany i nierzeczowy...

— Zapewne, chociaż niepotrzebnie pan o tem przypomina — zauważyła pani Wanda. — Ale, drogi panie, proszę się przyznać, pan czytał już poprzednio o jedynej ukochanej w pięciu sarkofagach?

— Miałem tylko przeczucia, bo i intuicja męska czasem na coś się przyda...

Były to ostatnie dnie naszego pobytu w Kairze. Zaniechaliśmy wspólnych wycieczek do Muzeum i unikaliśmy «Izydy». Chyłkiem tylko odwiedzałem mumje co znamienitsze — Amenothesa, Ramzesa II-go, Menaphtaha I-go — i zaglądałem dyskretnie do sal Tut-ankh-Amena, stwierdzając, że od czasu ostatniej mej bytności nic się nie zmieniło, i że rzekome «zwyrodnienie» eksponatów nie postępuje w każdym razie w dostrzegalnem tempie. Pozatem gotowaliśmy się do dalszej drogi, do tej pielgrzymki, o której pani Wanda mówiła z takiem przejęciem, jako o właściwym celu całej podróży. A stosownie do utartego obyczaju turystów pierwsze wtajemniczenia pielgrzymie odbywają się niemal u progów stolicy Egiptu: o kilka kilometrów od Kairu, po drodze do Heliopolis, istnieje już bezpośrednie przypomnienie, że tu gdzieś zaczynał się szlak tych wielkich przemian i przewrotów, jakie męczeństwo Chrystusa światu przyniosło. Tutaj,

w wiosce, zwanej Matarieh, w rozkwieconym ogrodzie, stanowiącym własność kedywa, oglądać można wspaniałą sykomorę, pod której konary schroniła się Św. Rodzina podczas ucieczki do Egiptu. Tak chce legenda, i chociaż drzewo dzisiejsze nie pamięta czasów Chrystusowych, stoi ono na miejscu historycznem, wpobliżu którego zabiło źródło cudowne, gdy trzeba było przepłókać pieluszki Dzieciątka. Stąd zawsze zaczynają się dewocje pielgrzymów, i napisy, wyryte na korze odwiecznej sykomory, świadczą o utrwaleniu się tradycji, związanej z Matarieh. Nawet Kléber, po odniesieniu świetnego zwycięstwa nad Turkami na równinie Heljopolisu, przybył tutaj i ostrzem szpady nazwisko swoje na korze drzewnej uwiecznił. Działo się 20-go marca 1800-go roku.

Stąd już kierować się mieliśmy samochodem w stronę kanału Sueskiego i Palestyny, zatrzymując się tylko w sławnem niegdyś Heljopolis, stolicy starszej od Memfisu i od Teb. Miasto słynęło z świątyni, gdzie kult słońca był rozwijany z przepychem i okazałością, bodaj czy nie przewyższającą tego, co później zorganizowano w Baalbek na cześć Baala, słonecznego bożka. Z heljopolitańskiej alei sfinksów nie pozostało nic, a z szeregu obelisków, wiodących do świątyni, pozostał tylko jeden, bliźniaczo podobny do tych, które zdobią obecnie place Rzymu. Co się stało z pozostałemi — niewiadomo. Może, stosownie do przepowiedni Jeremjasza, Nabuchodonozor zdruzgotał kolumny «domu słońca» w Ziemi

Egipskiej. W każdym razie z tych kolumn-obelisków nic prawie nie pozostało już w czasach przedchrześcijańskich, kiedy w sąsiedztwie opuszczonego Heljopolisu powstała kolonja żydowska. Rozwój tego osiedla potwierdza, podług znawców przedmiotu, prawdopodobieństwo pobytu Św. Rodziny w Matarieh, gdzie mogła Ona liczyć na ochronę i pomoc rodaków.

Dzisiaj Heljopolis jest letniskiem i miejscem wycieczek dla znudzonych Kairotów. W pałacu, zamienionym następnie na hotel, powstał dom gry przy poparciu kapitału belgijskiego. Miało to być egipskie wydanie osławionego Monte Carlo. O koncesję podobno było niełatwo, zobowiązania przyjęto ciężkie, i urzeczywistnienie «hazardownej» myśli ciągnęło się bez końca. Gdy wreszcie powstał gmach okazały i zakręcono ruletę, rząd egipski poczuł wyrzuty sumienia i koncesję cofnął. Koncesjonarjuszowi nie powiodło się w Heljopolis, nie przymierzając jak biblijnemu Józefowi, który stąd właśnie pojął małżonkę: córa kapłana Putyfara, biblijna Aseneth, była rodowitą heljopolitanką, co jednak nie zapewniło szczęścia rodzinnego, jak o tem świadczą księgi Genezis.

Przez pustynię, przeciętą licznemi oazami, zbliżaliśmy się do kanału Sueskiego. Była już godzina wieczorna, i wspaniałe reflektory, zalewające swem światłem wąską cieśninę, łączącą dwa morza, zdaleka sygnalizowały sąsiedztwo wielkiego dzieła, dokonanego ostatecznie przez genjusz galijski. Lecz

myśl ta, urzeczywistniona dopiero w drugiej połowie XIX-go wieku, zajmowała światlejsze umysły już na tysiące lat przed początkiem naszej ery. Bodaj czy już nie Ramzes II-gi zapoczątkował prace nad połączeniem Nilu (pod Bubastis) z morzem Czerwonem, prace, które ulegały dłuższym przerwom, gdyż pochłonęły dużo ofiar ludzkich. Zostały one zakończone przez Darjusza, następcę Kambyzesa, na pięć wieków przed Chrystusem.

Lecz kanał ten uległ zaniedbaniu, zapewne został zamulony z biegiem czasu, i dopiero za rządów Trajana doprowadzono go ponownie do stanu normalnego. I ponownie przepływ wód dokonywał stopniowo dzieła zniszczenia, przynosząc z sobą ciągle nowe nawarstwienia osadów. Wtedy powstał projekt przebicia wąskiego przesmyku dla bezpośredniego połączenia morza Śródziemnego z zatoką Sueską, morzem Czerwonem, z oceanem Indyjskim... Myśleli o tem Wenecjanie, potem Leibnitz, następnie sułtan Mustafa III. Wielka myśl podjęta została przez Napoleona, lecz niedokładności obrachunków technicznych spowodowały zaniechanie planów, wznowionych dopiero przez Lessepsa. W 1856-ym roku została ostatecznie udzielona koncesja na budowę kanału, a w trzynaście lat później Izmael mógł już wydać swój historyczny bankiet. Brali w nim udział cesarzowa Eugenja, cesarz Austrji, kronprinc pruski i przedstawiciele wszystkich państw cywilizowanych. Dalsze losy kanału są już w pamięci żyjącego pokolenia.



GRÓB RACHELI

Czy dla Egiptu kanał okazał się dobrym interesem, pozostaje do dnia dzisiejszego kwestją sporną. Obfite źródła dochodu, które kraj czerpał z przewozu towarów od morza do Nilu, przestały istnieć, a pod względem politycznym istnienie kanału skazało Egipt na stabilizację kontroli angielskiej nad tem połączeniem z Indjami, kontroli, formy której kształtują się i łagodzą odpowiednio do okoliczności i rozbudzenia czynnego nacjonalizmu. Sam kanał funkcjonuje bez zarzutu i, dzięki lojalności Egiptu, zapewnił Anglji szybką i ciągłą komunikację z Indjami, co w czasie ostatniej wojny zaważyło na szali sprawności bojowej i zwycięstwa. Lecz utrzymanie kanału i pogłębianie jego koryta, skłonnego do ciągłych zamuleń, jest połączone z dużemi kosztami. Dlatego też i taryfy przejazdów są wysokie, i chociaż obecnie, w stosunku do stawek przedwojennych, uległy pewnemu obniżeniu, jednak i teraz są przedmiotem utyskiwań i podobno wynoszą dla statków o pojemności kilkunastu tysięcy tonn prawie pięćdziesiąt tysięcy franków w złocie. Akcje kanału mają wysoką wartość giełdową, a godności w zarządzie i radzie należą do zajęć miłych, niekłopotliwych i szczodrze remunerowanych.

Na małym «ferry-boat'cie», funkcjonującym pomiędzy wybrzeżami kanału, przeprawiamy się na drugą stronę do Kantary. Stąd już pociągiem jedzie się do Lyddy, aby wczesnym rankiem przesiąść się do automobilu. Pozostaje zaledwie kilkadziesiąt ki-

lometrów do przebycia, zanim staniemy w stolicy państwa Dawidowego, będącej stolicą nowego mandatu, skąd Anglja pilnuje nietylko kanału Sueskiego, lecz i innych połączeń azjatyckich, rozszerzając sferę i skalę swoich wpływów. Są to już skutki wygranej wojny, ostatniej katastrofy, którą ludzkość przeżyła.

Lecz przedewszystkiem myśl każdego zwraca się z pietyzmem ku tajemniczej krainie, gdzie rozegrał się największy dramat historji ludzkiej, dramat, leżący u podstaw religji i dziejów chrześcijaństwa. Wobec niego bledną i maleją przeżycia pokoleń dzisiejszych.

ROZDZIAŁ VIII

PALESTYNA. RYWALIZACJA KOŚCIOŁÓW

Już dojeżdżając do Lyddy, widzi się z okien wagonu wzorowo zagospodarowane kolonje żydowskie, otoczone gajami drzew pomarańczowych i pięknemi uprawami zbóż i okopowizny. Kolonje te, powstałe w początkach ruchu syjonistycznego, są założone każda oddzielnie, zamożnie i planowo, i świadczą zarówno o dobrobycie, jak i o sprawności gospodarczej mieszkańców. Z biegiem czasu ruch syjonistyczny prawie całkowicie zamarł, zaznaczyła się nawet pewna dążność do reemigracji, zwłaszcza pomiędzy żydami, pochodzącymi z Polski i Rumunji. Ta zmiana usposobień wśród początkujących rolników nastąpiła nietylko pod wpływem warunków klimatycznych lub gospodarczych: główną przyczyną, zdaje się, były zmienne wiatry w polityce. Anglja, piastująca obecnie mandat opiekuńczy nad Palestyną, przerzuciła się od polityki filosemickiej do proarabskiej, co ostatecznie musiało wpłynąć na zanik emigracji żydowskiej. Wobec rozbudzonego nacjonalizmu Arabów żydzi stali się czę-

sto przedmiotem nieuzasadnionych napaści, i powstające w ostatnich latach kolonje budowały się już odmiennym systemem: ze względów bezpieczeństwa i ułatwionej obrony grupowano osiedla i budowle gospodarskie w zgęszczonych kompleksach, powstawały jakby wsie dawnego typu, przyjętego u nas w Polsce i, co zatem idzie, — poważne niedomagania gospodarcze. Pola uprawne są nieraz położone w odległości kilkunastu kilometrów od sadyby rolnika, mało odpornego na trudy fizyczne i niezaprawionego do codziennych i uciążliwych wędrówek. Takie warunki wpłynęły niepomyślnie na wyniki produkcji w neosyjonistycznych kolonjach i zapewne przyczyniły się do zatamowania całego ruchu, rokującego przez pewien czas niezwykłe powodzenie. Ruch osiedleńczy syjonizmu można chwilowo uważać za całkowicie przerwany, tem bardziej, że podobno i kapitały, na ten cel przeznaczone, uległy wyczerpaniu [1]).

Już po drodze do Jerozolimy uderza turystę dbałość mandatarjusza o potrzeby ludności. Szosy są w doskonałym stanie, smołowcowane, wolne od kurzu, a porządek panuje na nich wzorowy. Zauważyć można ład wszędzie, nawet w takiej małej mieścinie, a właściwie wsi, jaką jest dzisiejsza Lydda, za czasów rzymskich przemianowana na «Diospolis». Spalona przez Cestjusza i odbudowana w krót-

[1]) Podług danych «Foreign-Office'u» liczba żydów w Palestynie wynosiła w 1919 r. — 55.000, w 1926 r. — 158.000, a w 1928 r. — tylko 149.500. Cyfry te mają swoją wymowę.



BETLEEM: WIDOK OGÓLNY

kim przeciągu czasu, mieściła następnie w murach swoich sławną uczelnię żydowską, skąd światło Jehowy obficiej, niż zwykle, spływało na umysły wychowańców. Lydda oprócz tego słynęła jako miejsce urodzenia św. Jerzego, i krzyżowcy odbudowali tutaj zniszczoną świątynię pod jego wezwaniem, zamienioną później na meczet przez Saladyna. Dzisiaj ruiny, częściowo odrestaurowane, są w posiadaniu Greków prawosławnych, którzy dla podniesienia własnego autorytetu, zaimprowizowali w nich grób św. Jerzego... Zresztą apokryfów tego rodzaju nie brak w Ziemi Świętej, co ze względu na ułomności natury ludzkiej i konkurencyjne zakusy zwalczających się wyznań chrześcijańskich jest dość łatwe do wytłumaczenia.

W każdym razie w czasach apostolskich Lydda zasłynęła cudami, czynionemi przez św. Piotra: tutaj uzdrowił on Eneasza, stąd został wezwany do Jaffy, aby wskrzesił Tabithę. Wtedy właśnie nawrócili się mieszkańcy Lyddy i Saronu, tej żyznej równiny, którą prorok wychwalał w poetyckich zwrotach, mówiąc o «chwale Libanu i wspaniałości Karmelu i Saronu». Pomni tych zachwytów Izajasza, namówiliśmy naszego szofera, ażeby zrobić wypad ku pełni Sarońskiej, i wkrótce naraziliśmy się na pierwsze rozczarowanie biblijne. Zapewne dużo się zmieniło od tych dawnych czasów, i Saron przestał wzbudzać podziw swoją legendarną urodzajnością. Wśród niedawno powstałych kolonij żydowskich i wsi tubylczych uchodzi on i teraz wraz

z Esdrelonem za najżyźniejszą okolicę Palestyny, lecz jakże mu daleko do tych warunków, jakie obserwować można w Delcie Egipskiej!

Więc nawracamy ku Jerozolimie i, zbaczając jeszcze do Ramleh-Arymatei i do filistyńskiego Akkaronu, gdzie czas jakiś przebywała Arka Przymierza, przejeżdżamy następnie przez Gazer (Tell-Dżezer), miasto otrzymane w wianie przez córę faraonową, a małżonkę Salomona, piękną Moti-Maris. Z tego, co się widzi obecnie, trudno nabrać przekonania o rozrzutności faraona, zresztą Salomon zapewne nie potrzebował zachęty do poślubienia pięknej Egipcjanki, przynoszącej mu poparcie potężnego teścia. W każdym razie, ponieważ szosa jest wyjątkowo wyboista, a zboczenie z drogi dosyć znaczne, postanawiamy nie dawać na przyszłość folgi wszelakim reminiscencjom z lektur i ze szkoły i pilnować się wielkich szlaków, po których snuje się turystyka współczesna. Szofer, (naturalnie nazywa się Hassan, co już przesądza do końca podróży kwestję synonimów: Hassan vel szofer) przytakuje z przekonaniem temu biegowi myśli.

«Podnieś się, podnieś, powstań Jeruzalem! któreś piło z ręki Pańskiej kielich gniewu Jego: aż do dna uśpienia napiłoś się i wypiłoś aż do drożdży»... «Powstań, powstań, oblecz się w moc twoją, Syjonie! Oblecz szaty ochędóstwa twego, Jeruzalem, miasto Świętego: bo nie przyda więcej, aby przeszedł przez ciebie nieobrzezaniec i nieczysty».

Gdy ktoś zbliża się do Jerozolimy, i potem, gdy już chodzi po tej krainie wielkich wydarzeń historycznych, musi ulec na początku wpływom i reminiscencjom tekstów, proroctw, słowa pisanego, co jest rzeczą zrozumiałą i słuszną. Potem następuje reakcja, nawrót do rzeczywistości, chęć patrzenia nie przez pryzmat religji, objawienia i historji, lecz obserwowania wszystkiego tak, jakby się było w kraju obojętnym, nieobciążonym wielkim spadkiem dziejowym i nieskazanym na wyłączność myśli i uczuć. Nic silniej nie wpływa na ten nawrót do zwykłego objektywizmu, niż obecność na miejscu mandatarjusza o niezbyt gorącem zabarwieniu religijnem i rzeszy muzułmańskiej, stanowiącej znaczną część ludności. Poza uroczystościami wyjątkowemi żywioł żydowski, dotąd najliczniejszy w Jerozolimie, jest pogrążony w czeluściach swojej dzielnicy. Lecz, co ważniejsza, odnosi się wrażenie, że Kościół rzymski wraz ze swymi wyznawcami nie potrafił tutaj utrzymać przodującego stanowiska wobec silnego wpływu czynników politycznych, opartych na władzy i pieniądzach. Zdaje się, w ostatnich latach świadomość pewnego upośledzenia ocknęła się żywiej w wielkich umysłach, powołanych przez Następcę Piotra do kierowania sprawami kościelnemi i obroną kultu, lecz zdobywanie utraconych terenów nie należy do rzeczy łatwych, zwłaszcza wobec solidarności okupantów i uzurpatorów.

Aby zrozumieć obecną sytuację, nie trzeba zapominać, że obroną interesów Kościoła na Wschodzie

przez długi okres czasu zajmowali się wyłącznie franciszkanie. Rozwijali oni działalność misyjną, pedagogiczną i konserwatorską. Wobec tego, że nieliczna grupa katolików, zamieszkałych w Ziemi Świętej i samej Jerozolimie, składa się zawsze z ludzi niezamożnych, ciężko zarabiających na życie, franciszkanie, pozbawieni właściwych punktów oparcia, rozporządzali wyłącznie środkami, jakie ofiarność współwyznawców w Europie kierowała ku miejscom świętym. Dopiero w 1847 roku został wznowiony przez Piusa IX patrjarchat katolicki w Jerozolimie z zakresem działania nietylko w Ziemi św. lecz również w Egipcie i Syrji. Dzięki temu wpływy katolicyzmu w samej Jerozolimie zaczęły powoli, ale stale wzrastać, nie osiągając jednak nawet w przybliżeniu tej skali, któraby odpowiadała doniosłości wszechświatowej i uniwersalizmowi Kościoła rzymskiego.

Po wojnie stan rzeczy pogorszył się na niekorzyść katolików, zwłaszcza w samej Jerozolimie, gdzie już się był ustalił pewien «status quo», uważany w tym dziwnym chaosie, jaki panuje w Ziemi św., za stan posiadania. Grecy-ortodoksi utrzymali wszystkie swoje pozycje i starali się je wzmocnić przez dopuszczenie do rządów nowego czynnika — Kościoła anglikańskiego. Miał on zastąpić wpływy osłabionego obecnie protestantyzmu, który Wilhelmowi II-mu zawdzięczał swoje sukcesy miejscowe; miał również przeciwdziałać pewnemu osłabieniu źródeł życiodajnych, z których dawna carska Rosja

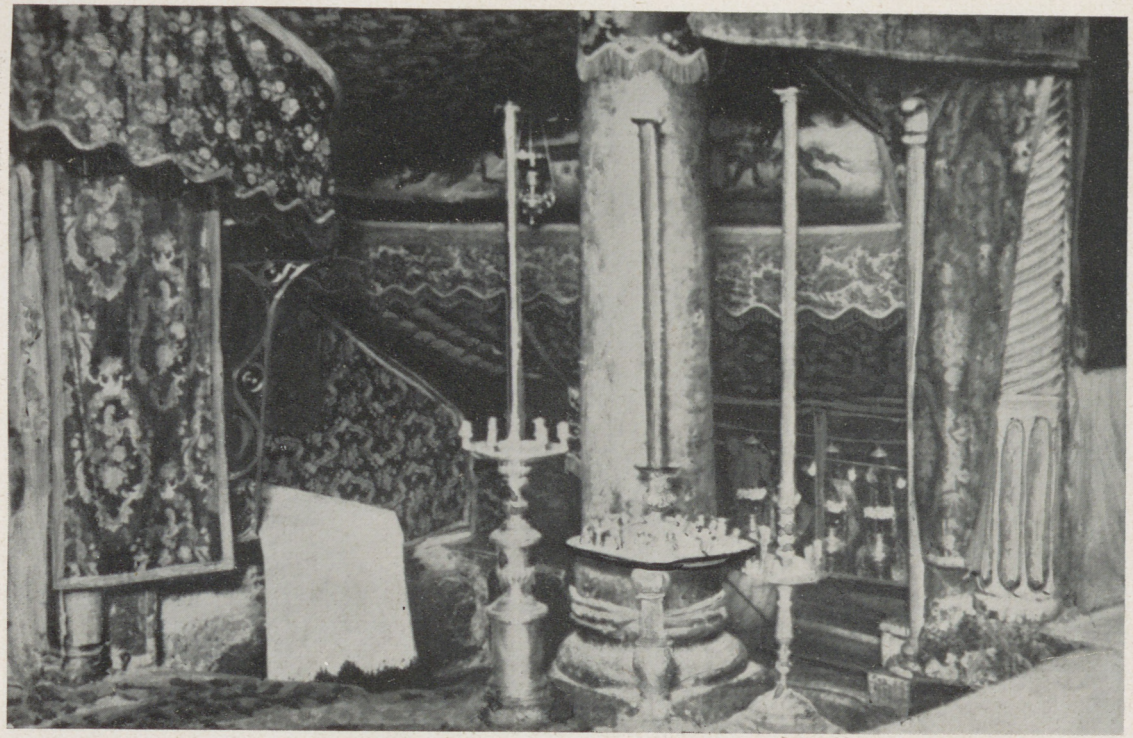

BETLEEM: ŻŁOBEK WRAZ Z OŁTARZEM

zasilała obficie, chociaż nie bez wyrachowania, swoich hierarchów jednowierczych w Jerozolimie... Jakie będą ostatecznie skutki tej nowej polityki i orjentacji greckiej, trudno jest obecnie przewidzieć, narazie wiemy tylko, że wycieczka arcybiskupa anglikańskiego z Canterbury do Jerozolimy, projektowana w roku bieżącym na jachcie Pierpont Morgana, została odłożona «sine die», podobno pod wpływem Stolicy Apostolskiej. Chodziło o niejątrzenie stale zaognionych stosunków pomiędzy wyznaniami chrześcijańskiemi u Grobu Chrystusowego, i motyw ten został uwzględniony przez kierownika Kościoła anglikańskiego.

Jeden z francuskich znawców tej kwestji [1]) wyjaśnia ostatnią komplikację w sposób następujący. Kurja rzymska niejednokrotnie występowała w obronie praw swoich w Palestynie już po wielkiej wojnie, nie omijając Ligi Narodów. Chodziło o to, że w traktatach, regulujących sprawy Bliskiego Wschodu, Anglja przyjęła na siebie pewne zobowiązania. Na tej podstawie miała powołać do życia komisję, któraby zbadała wszystkie rekryminacje, dotyczące wspólnoty obrządkowej u Grobu Chrystusa (właściwie w całej Palestynie), i ustaliła obowiązujący regulamin. Wszystkie zainteresowane tą sprawą wyznania miały mieć swoich przedstawicieli w łonie komisji, a Rada Ligi mianowałaby przewodniczącego.

---

[1]) P. Gentizon: Autour des sanctuaires de la Terre Sainte.

Ale procedura przewidziana uległa nieoczekiwanym zmianom. W 1921-ym roku przy omawianiu sposobów stosowania mandatów w Palestynie, Anglja oświadczyła, że postanowienia komisji mają podlegać jej aprobacie... i, pomimo protestu Kurji rzymskiej, uzyskała w roku następnym zatwierdzenie tego stanowiska przez Radę Ligi, która jednocześnie zwolniła mandatarjusza od obowiązku natychmiastowego ukonstytuowania komisji, przewidzianej przez traktat. W ten sposób całkowita i nieograniczona opieka nad Ziemią św. znalazła się w ręku Anglji, a wszystkie sprawy, dotyczące statutu miejsc świętych, pozostały w zawieszeniu. Taki stan rzeczy nadweręża ciągle ustosunkowanie dawne, istniejące w chwili wprowadzenia okupacji angielskiej, i to na niekorzyść katolicyzmu, zagrożonego jednocześnie przez niebezpieczeństwo nowe, wynikające z obecnego układu sił. Kurja rzymska obawia się uzgodnionej akcji Kościoła anglikańskiego wspólnie z wyznaniami niekatolickiemi, a przedewszystkiem z ortodoksami greckimi, akcji skierowanej głównie, aby zapewnić protestantom angielskim niczem nie uzasadnione prawa w miejscach świętych — przy milczącej zgodzie Ormian i Koptów. Naturalnie, wprowadzenie nowego czynnika miałoby się odbyć kosztem ograniczeń Kościoła rzymskiego w jego uprawnieniach, i niebezpieczeństwo to było już niejednokrotnie sygnalizowane przez patrjarchę jerozolimskiego, M-gra Barlassinę i przez Custodię Ziemi Świętej.

Jak wiadomo, «uprawnienia» różnych obrządków tutaj (t. zw. stan posiadania) polegają na tem, że kapłani pełnoprawnych wyznań mogą nawiedzać oficjalnie wszystkie sanktuarja i odprawiać w nich nabożeństwa podług swojego rytuału. Wyznań takich jest pięć i zaliczają się do nich katolicy, ortodoksi, ormianie, syryjczycy i koptowie — z wyłączeniem wszelkich innych wyznań, nawet chrześcijańskich. Podług opinji patrjarchy łacińskiego Grecy, powodowani nienawiścią do katolików, a zapewne i względami politycznemi, starają się obecnie ułatwić anglikanom dostęp do miejsc świętych i drogą faktu ustalić ich uprawnienia. Byliby nawet gotowi ustąpić im częściowo swoje mównice i stalle, aby wywołać przesunięcie nie równowagi, gdyż ta nie egzystuje, ale «status quo» na niekorzyść katolików.

Spółzawodnictwo katolików i ortodoksów w Palestynie istnieje niezaprzeczenie. Każdy, kto spędził tam chociażby krótki przeciąg czasu, musiał się z niem spotkać niejednokrotnie. Na tej więc podstawie cytowany przez nas autor, p. Gentizon, dochodzi do wniosku, że ostatnia «démarche'a» Watykanu w stosunku do prałata angielskiego była wywołana trwającą wciąż emulacją pomiędzy dwoma najbardziej wpływowemi obrządkami. Watykan obawiał się przedewszystkiem, aby arcybiskup z Canterbury, którego pobyt w Ziemi św. miał wypaść w czasie obchodu «Paschy» greckiej, nie wkroczył oficjalnie do sanktuarjów w towarzystwie patrjarchy schizmatyków, co mogłoby ujemnie wpłynąć na «pre-

stige» Kościoła katolickiego. Kurja rzymska zresztą uważa, że ma niezaprzeczone prawo zapobiegania wszelkim zmianom ustalonej obecnie sytuacji, dopóki nie zbierze się komisja, przewidziana w tekście mandatu, i regulaminu miejsc świętych nie ustali. Kurja również jest zdania, że trafnie oceniła cele podróży arcybiskupa anglikańskiego, bo, jak donosi «Osservatore Romano», został on w Atenach uroczyście przyjęty przez patrjarchę i św. Synod «in corpore», z odśpiewaniem «Te Deum» i rozwinięciem całej pompy kościelnej. Ponieważ — wnioskuje następnie organ Watykanu — zbliżenie tych dwóch Kościołów nie ma na oku ustalenia związków duchowych i teologicznych, przeto chodzi o akcję polityczną, dążącą do zapewnienia praw Kościołowi anglikańskiemu w miejscach świętych, ocalonych li tylko dzięki bohaterstwu i wytrwałości franciszkanów. Te motywy skłaniają Watykan do ponownego wysunięcia sprawy mandatu w celu ostatecznego uregulowania stosunków w Palestynie.

Epizod, który tutaj opisałem, jest właśnie epizodem tylko, świadczącym jednak o trwałym stanie podniecenia i walki. Ponieważ polityka Watykanu nie jest zbyt skora do zwierzeń, możnaby opinje p. Gentizon traktować w dobrodziejstwem fantazji, o ileby «Osservatore Romano» nie był potwierdził jego przypuszczeń. Tym sposobem został uchylony rąbek zasłony, kryjącej przed oczami wiernych szczegóły trosk Watykanu o zapewnienie Kościołowi należnego mu w Ziemi św. stanowiska, niezaprze-



BETLEEM: OŁTARZ W BAZYLICE

czenie nie będącego na wysokości trudów, położonych przez jego wyznawców dla ocalenia tego, co się dało ocalić z planowej zagłady wielkich pamiątek chrześcijaństwa. Trzebaby sięgnąć pamięcią aż do pochodów krzyżowych, a później uprzytomnić sobie ogrom poświęceń i zabiegów, dokonanych przez zakon św. Franciszka z Assyżu. A jeśli mówić kategorjami politycznemi, zależnemi od zmiennych okoliczności czasu, to wypada podziwiać rezultaty pracy Francuzów, zdystansowanych następnie — pamiętamy wszyscy te defekcje i niedomagania — przez rodzącą się świadomość polityczną i religijną Włoch Zjednoczonych, i jakże dzisiaj silnych przewagą jasnej i skrystalizowanej myśli dziejowej.

Lecz nie chodzi o momenty polityczne, a o ustalenie takiego stanu rzeczy, któryby rokował największe szanse powodzenia w konserwowaniu tego zabytku kultu i historji, jaki z przemocy i powodzi triumfującego islamu zdołał przetrwać aż do dni naszych. Współzawodnictwo zelantów wojującego chrześcijaństwa — jakżeż jeszcze obcego pojęciu «jednego pasterza i jednej owczarni» — sprowadzić może nie ochronę miejsc świętych, ale ich zaprzepaszczenie. Bo przecież myśleć trzeba nietylko o fizycznem podtrzymaniu tego, co destrukcją czasu i złością ludzką mogło być w naturalny sposób zniszczone, chodzi również, a bodaj czy nie przedewszystkiem, o utrzymanie ideowego, religijnego znaczenia, powagi i nimbu, jakim uczucia wierzących miejsca te otoczyły. Właściwie zostały się tylko

miejsca, w których dzieło Odkupienia zostało dokonane, a wszystko prawie, co związane było z historją i przebiegiem samego męczeństwa Chrystusowego, zostało starannie zgładzone z oblicza ziemi, na co złożyły się solidarnie kolejne wysiłki żydów, Rzymian, islamu... Pozostały zaledwie jakieś drobne fragmenty wielkiej przeszłości, dużo apokryfów, dużo rzeczy, czczonych pomimo ich zastępczego charakteru. Lecz pozostała przedewszystkiem wiara, która świat zdobyła i początek nowej ery przyniosła, wiara objawiona i stanowiąca wspólny społeczny skarb ludzkości. Otóż wiara ta w pojedyńczych wypadkach musi być wystawiona na ciężkie próby, może ulec zachwianiu, o ile nie jest dostatecznie silna, podczas tych pielgrzymich wycieczek do Ziemi św., gdzie słowa Chrystusa przebrzmiały, jakgdyby Jego idea miłości i braterstwa nie obejmowała tych, co najbliższą pieczę nad spadkiem dziejowym w czasach obecnych roztaczają. Stosunki, wywołane walką i zaborczością (naturalnie w szlachetnym celu) zwalczających się wyznań, nie należą do budujących, i słusznie Kurja rzymska żąda ostatecznego i całkowitego załatwienia, właściwie uporządkowania tych tak prostych, a tak przez ludzi poplątanych spraw, spraw Ziemi św.

Najbardziej zaskoczona tym stanem rzeczy, jaki w Palestynie panuje, była pani Wanda. Nie mogła się pogodzić z dominującą rolą Greków, która rzucała się w oczy przy pierwszych naszych zetknię-

ciach z pamiątkami Ziemi św. Ze zwykłą sobie fugą zaatakowała nawet przełożonego jednego z oddziałów «Casa Nova», dokąd po drodze wstąpiliśmy na posiłek.

Zakonnik był Włochem, oddawna na Wschodzie osiadłym. Pełnił swoją misję początkowo w Syrji, a potem w Palestynie, dojeżdżając co lat kilka do «progów apostolskich», a więc i do umiłowanej ojczyzny. I obecnie wybierał się w podróż do dalekiego Rzymu i nie mógł się nasycić wiadomościami o postępie i rozwoju faszyzmu. Dopytywał się nas, kiedy i w jakich odstępach czasu zwiedzaliśmy piękną Italję, kontrolował dokładność naszych wrażeń, uzupełniał je własnemi wiadomościami, pochodzącemi z prasy i od przejezdnych rodaków. Ale pani Motwidowa wkrótce przerwała te rozważania z dziedziny polityki i horoskopów na przyszłość, a przeszła do tematów najbliższej rzeczywistości. Biedny «padre» znalazł się pod huraganowym ogniem krzyżujących się pytań, które właściwie kondensowały się w jednem: dlaczego słudzy Kościoła rzymskiego tak niedołężnie bronią jego spraw na terenach Ziemi św.? Pani Wanda z natarczywością nalegała, aby usłyszeć odpowiedź, — zaraz, i niedwuznaczną... «Fiat lux»...

Ojczyk był przyciśnięty do muru, uśmiechał się smętnie i, zapewne dla zyskania na czasie, począł nas częstować jakimś kordjałem, wydobytym z szafki podręcznej. Zdaje się, że był to arak. Po-

czem zasiadł wygodnie w fotelu, ułożył starannie fałdy habitu i zmył pani Wandzie głowę, jak się patrzy, z pewnym nakładem kunsztu dyplomatycznego. Niema to, jak dobra szkoła i tradycja.

— Wy, Polacy, jesteście bardzo przywiązani do spraw wiary — mówił franciszkanin, wstawiając czasem słowa włoskie do francuskiego tekstu. — Wiemy o tem i tutaj, gdzie często się was spotyka, wiemy i we Włoszech, skąd zawsze czerpaliście nietylko pociechy religijne, lecz także wiedzę i światło. Lecz ponieważ nie macie temperamentów południowych, więc nie powinniście zdradzać zapalczywości w sądach, która nas często cechuje... Więcej spokoju, więcej zaufania, więcej pogłębienia tematu, o którym mowa, a który znać możecie tylko powierzchownie. Bądź co bądź, po kilku godzinach przygodnych wędrówek trudno, nawet przy dużym talencie obserwacyjnym, wyrobić sobie zdanie o stosunkach, panujących w Ziemi św.... Nawet po paru tygodniach, które zamierzacie tutaj spędzić na wycieczkach pielgrzymich, nie będzie to rzeczą łatwą! «Eh ben, che vuole?» z tem trzeba się pogodzić: nie będziecie wiedzieli.

Lecz powoli zaczął się zakonnik przejmować tematem i poczuciem krzywd, na jakie Kościół jest wystawiony, i to nietylko ze strony wrogich obrządków obcych, lecz i własnych wyznawców, chociażby tych, co, zbyt pochopni w sądach, mogliby w ten sposób osłabić zapał sług Kościoła. Mówił o wiekowej i wytrwałej pracy zakonu, do którego należał,



NAZARET: WIDOK OGÓLNY

i o tem, jak po załamaniu się polityki kościelnej Francji, Włosi ujęli w swoje ręce ten jakgdyby wakujący spadek w zakresie przewodnictwa i ofiarności — i prowadzą dalej dzieło. Nie bez trudności, z mozołem, często nawet z narażeniem życia. Przy większych uroczystościach nierzadko następują scysje, kłótnie, mniej lub więcej poważne. W Betleem, w noc Narodzenia nigdy nie odbywa się spokojnie zmianowanie oficjujących obrządków, przed paru laty krew się nawet polała, krew sług Kościoła...

Ta historja tragiczna, nabrzmiała bólem, a nie pozbawiona momentów mściwości ludzkiej, podniecila znowu malkontentyzm pani Wandy. Lecz dała mu folgę dopiero później, kiedy już automobil terkotał na szosie, oddalając nas coraz bardziej od uporczywego wyznawcy reguły św. Franciszka, jego kunsztownej obrony i jego głębokiej wiary. Pani Wanda nie została przekonana o właściwym rzeczy porządku przez to, co usłyszała o stosunkach, panujących w kolebce chrześcijaństwa, i z uczuciem zawiedzionych nadziei zbliżała się do Jerozolimy. Na horyzoncie rysowała się już w ostrych konturach wieża Dawida, a wzgórza, na których rozłożyła się stolica królewska, występowały kolejno z mgły błękitnej. Bo Jerozolima, tak jak Rzym, rozpostarła się na siedmiu pagórkach, nad któremi wyrósł emblemat wiary, tragiczny, bierny i jakby zakryty od gniewnego oblicza Boga tutaj na Wschodzie, a żywy i kojący tam, na wyżynach Watykanu.

ROZDZIAŁ IX

JEROZOLIMA. BAZYLIKA GROBU CHRYSTUSOWEGO

Z rękopisów, odnalezionych w końcu XIX-go wieku w Tell-el-Amarna, do najciekawszych należą te, które wyjaśniają sytuację polityczną Palestyny i Syrji pod panowaniem egipskiem. Była to zależność, oparta na stosunkach lennych, i książęta tej epoki (XV w. przed Chrystusem) w języku babilońskim zdawali sprawę z rządów krajem. Wiemy więc, jaka kultura panowała wtedy w tej połaci Azji Mniejszej, gdzie już poprzednio kolejne imigracje Fenicjan, Chanaeńczyków i Hebrajczyków mogły być ustalone przez historję i przez Pismo. Na parę wieków przed powstaniem dokumentów, odszukanych w Tel-el-Amarna, już Abraham, Izaak i Jakób prowadzili życie koczownicze na przestrzeniach Palestyny i Syrji (XX—XIX w. przed Chr.), a po czterystu latach pobytu w Egipcie naród wybrany powrócił do swoich dawnych siedlisk, zajętych wonczas przez nowe szczepy semickie. Walki Mojżesza, a zwłaszcza Jozuego, doprowadzają do zwycięstwa

i do okresu Sędziów, po którego wstrząsach następuje okres królewski: po rozbiciu Jezubejczyków Jeruzalem staje się stolicą państwa Dawidowego, Salomon zapewnia żydom dobrodziejstwa pokoju, następuje krótkotrwała «pacyfikacja». Powstaje świątynia i lęgnie się korupcja. Bałwochwalstwo gnieździ się na górze Skandalu. Państwo królewskie, przedmiot podziwu królowej Saby, ulega rozdwojeniu i napaściom ze strony Egiptu i Asyrji (X—VI w. przed Chr.). Głos proroków brzmi w próżni, aż bicz Boży, w postaci Nabuchodonozora, kładzie kres samodzielności politycznej (588-my rok przed Chr.). Judea i Samarja są zniżone do rzędu prowincyj babilońskich, a ludność wysiedlona do Chaldei. Po upadku Babilonu nadciąga panowanie Persów, Macedończyków i Syrji (VI—II w. przed Chr.). Epopea Machabeuszów dąży do odrodzenia państwa, lecz w epilogu doprowadza do protektoratu rzymskiego.

Czasy Heroda Wielkiego i Nowego Testamentu są wszystkim znane. Po śmierci Chrystusa spełniają się Jego klęskowe proroctwa, Jerozolima, zniszczona przez Wespazjana i Tytusa (67—70), po długich walkach ulega nowym zaborcom i jako «Aelia Capitolina» przeżywa w poniżeniu triumfy pogaństwa. Dopiero za czasów cesarzy bizantyńskich położenie zmienia się, i Palestyna, a z nią Jerozolima powraca do stanu świetności i znaczenia, obok herezyj rozwija się tam działalność wielkich propagatorów idei chrześcijańskiej. Tu jest znowu metropolja wyznaniowa, do czego w znacznym stopniu dopomaga

działalność św. Heleny i Konstantyna Wielkiego, Eudocji i Justynjana (IV—VI w.). Miejsca ewangeliczne otoczone są kultem i ściągają liczne rzesze pielgrzymie, odbywa się restauracja tradycji w miejscach Żywota i Męki. Lecz trwa to niedługo.

Najście Persów, udaremnione za czasów Justynjana, dochodzi do skutku w kilkadziesiąt lat później. Chozroes, posiłkowany przez żydów z Galilei i Samarytan z Napluzy, zdobywa Jerozolimę (w 614-ym roku), przedmiot pożądań i zawiści. Wszystkie świątynie i miejsca kultu, z Bazyliką Grobu włącznie, padają ofiarą rabunku. Drzewo Krzyża św., odszukane niegdyś przez cesarzową Helenę, dostaje się w ręce łupieżców perskich, i dopiero w kilkanaście lat później, po zwycięstwach Heraklјusza, powraca do Ziemi św., której losy jednak ulegają tylko krótkotrwałemu polepszeniu. Najbliższe niebezpieczeństwo grozi ze strony Arabów, już zjednoczonych przez doktrynę Mahometa. Za kalifatu Omara Jerozolima wpada w ręce tego wschodniego władcy, którego imię zostało związane z meczetem Al-Haram-al-Sharif, wzniesionym na miejscu dawnej świątyni żydowskiej. Prześladowania trwają i za następnych dynastyj, Omajadów i Abassydów, ulegając zawieszeniu dzięki potężnym wpływom Karola Wielkiego. Na początku XI-go wieku położenie znowu się pogarsza, i za panowania obłąkanego kalifa Hakema i jego następców walka przeciwko chrześcijanom i żydom rozwija się w całej pełni — aż do pochodów krzyżowych. Zdobycze ry-

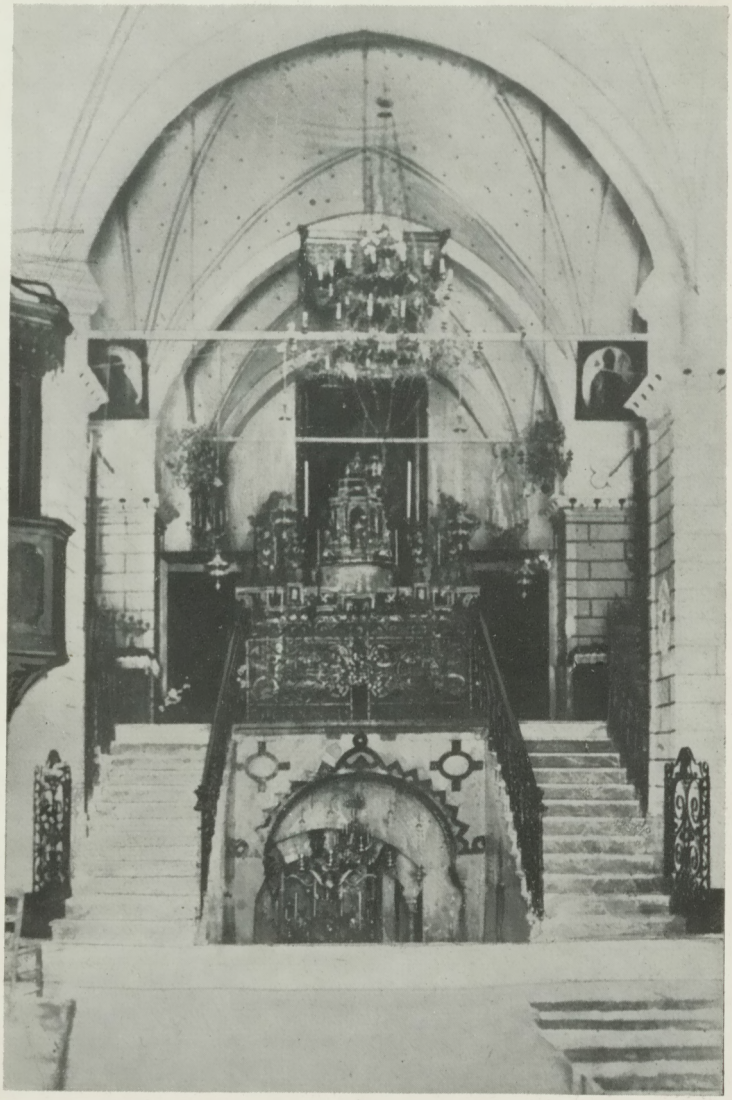

NAZARET: KOŚCIÓŁ ZWIASTOWANIA

cerzy Krzyża zostały zniweczone przez zwycięstwo Saladyna. Potem przychodzi inwazja mongolska i stopniowe zdobywanie Palestyny przez Mameluków egipskich. Przechodzą tędy hordy Tamerlana, a wreszcie w 1516 r. po bitwie pod Aleppo Syrja wraz z Palestyną dostaje się pod panowanie tureckie. Ten stan rzeczy trwa do końca wielkiej wojny, jeśli nie liczyć kilkoletniej zaledwie przerwy (1832—1840), wywołanej zwycięstwami Mehamet-Alego i Ibrahima-baszy. Po ostatniej wojnie Anglja, pogromczyni Turków, otrzymuje mandat zarządzania Palestyną a, jak wiadomo, państwo, rządzone przez mandatarjusza, jest jego kolonją. Eufoniczne wynalazki w terminologji traktatowej nie zmieniają niczego w istotnym stanie rzeczy, i protektorat francuski nad Ziemią świętą należy do przeszłości, chociaż człowiek Wschodu i nadal obdarza wszystkich chrześcijan mianem «Franków». Taka jest siła tradycji i krwi przelanej.

Jeżeli pozwoliłem sobie na dygresję historyczną, na przeraźliwy skrót walk i zmian politycznych, jakie rozegrały się w Palestynie i Jerozolimie w długim okresie jej dziejów, uczyniłem to, nie bacząc na znużenie czytelnika, w tym celu, aby uprzytomnić jemu, a może i sobie, jak trudno jest — na tej ziemi, doświadczonej ciągłemi klęskami wojennemi, nawiedzanej przez katastrofy żywiołowe i przez równie ciężką destrukcję, jaką szerzy barbarzyństwo i zawziętość wroga — tutaj właśnie odszukiwać

ślady i pamiątki minionych chwil historycznych. Cóż z nich mogło pozostać, kiedy nawet samo miasto, stolica Dawidowa, było zdobywane, burzone, przenoszone z miejsca na miejsce, odbudowywane i przeistaczane odpowiednio do potrzeb chwili, do fantazji zwycięzcy lub wymagań obrony i bezpieczeństwa? Cóż mogło pozostać z pamiątek, szczególnie drogich dla serc chrześcijańskich, skoro całe pokolenia tubylców i zaborców siliły się na to, ażeby wszelkie «vestigia» wielkiego odrodzenia religijnego uległy zagładzie, zostały usunięte z oblicza ziemi i z pamięci żyjących, tak, aby cień Krzyża nie padał tam, gdzie przelano krew «Galilejczyka»? Robiono wszystko, co było w mocy ludzkiej i wystarczało do zniszczenia materjalnego sanktuarjów i monumentów kultu, gdyż temu mogła podołać dłoń przestraszonego przeciwnika. Lecz pozostała w całej żywotności myśl wielka, która tutaj objawienie swoje znalazła i stąd zapłodniła świat treścią niepożytą, przeciwko której walka okazała się bezsilna. Jerozolima pozostała kolebką chrześcijaństwa, tam nastąpiło duchowe poczęcie naszej wiary i naszej cywilizacji, i my stamtąd wszyscy rodem, chociaż rozsiani po kuli ziemskiej i z krajem swoim związani. Związki duchowe nie polegają na odszukiwaniu szczegółów, o czem zawsze trzeba pamiętać, a zwłaszcza gdy się jest w Ziemi świętej.

Nie chciałbym, ażeby wrażeniom moim przypisywano czysto subjektywny charakter, niezgodny może z rzeczywistością lub doktryną Kościoła, jego

kapłanów i wyznawców, osiedlonych na miejscach wydarzeń ewangelicznych. Aby więc wzmocnić moje twierdzenia, oparte na wrażeniach chwilowych, przytoczę teksty najbardziej prawowiernego pochodzenia, powstałe z ciągłej ortodoksalnej obserwacji i badań nad pozostałościami historycznemi Palestyny. Z nich wypływa potwierdzenie tych wrażeń, które współczesny człowiek wywozi z dalekiej pielgrzymki.

«Te ciągłe zniszczenia i odbudowy starożytnego miasta — piszą profesorowie «Notre Dame de France», t. j. zakonu OO. asumpcjonistów — powtarzane kilkakrotnie przenosiny stolicy z jednego miejsca na drugie zmieniły naturalnie jej pierwotny wygląd. Nie pozostało nic z budowli Salomona. Zaledwie można odszukać nieliczne ślady pamiątek, spółczesnych życiu Chrystusa. Starożytna Jerozolima, niestety, zniknęła pod ruinami, gromadzonemi przez wieki. Trzeba się pocieszać myślą o wielkich wspomnieniach, jakie krążą nad tym zwałem zgliszcz i spustoszenia. Trzeba pamiętać, że na horyzontach, przez nas oglądanych, spoczywał wzrok Zbawiciela świata.

«Te same uwagi należy zastosować do sanktuarjów, wzniesionych na ruinach. Utrwalając miejsce wydarzeń, nie zachowały one ich charakteru i dokładnej topografji. Pierwotne sanktuarja, więcej zbliżone do epoki Chrystusa, zniknęły. Powstały nowe i wprowadzają w błąd naszą wyobraźnię. Tylko dzięki pracowitej restytucji myślowej można

sobie zdać sprawę z tego, czem były pierwotnie miejsca święte.

«Pozatem nasze uczucia religijne cierpią z powodu obecności w głównych sanktuarjach innych wyznań chrześcijańskich, a obok nich — i mahometan... Rzecz oczywista, że nie wszędzie panuje ład, porządek i skupienie religijne. Wszystko tutaj opiera się na pewnej przypadkowej tradycji, wobec której ludzie są bezsilni.

«Nie bacząc na zły stan naszych największych sanktuarjów, stanowiących własność wszystkich i niczyją, pozbawionych dawnej ornamentacji i wszelkich zaciekawień, należy wśród tych ruin wiekowych odszukać ślady wielkich wspomnień, które do ziemi tej wiernych sprowadzają.

«Trzeba umieć wznieść się ponad rzeczywistość i odszukać w tej konfuzji ogólnej promienne oblicze Chrystusa. Cały ten świat różnorodny czci Go na swój sposób i podług swej najlepszej wiary».

Trudno o bardziej zwięzłą analizę panujących w Ziemi św. stosunków i rzeczywiście istniejącego stanu rzeczy. Asumpcjoniści, przyglądając się zbliska i dokładnie pamiątkom miejsc świętych, potrafili wyzbyć się błędów, popełnianych stale i bezwiednie przez pielgrzymów, czy też turystów przypadkowych i ich przewodników, napoły wierzących lub też poszukujących sensacji historycznej i religijnej. Niema tu na nią miejsca. Jest zato możność — nieograniczona dla ludzi inteligentnych — wżycia się w środowisko i atmosferę, gdzie wscho-



KOBIETA Z KAFARNAUM

dził przełomowy dzień historji ludzkiej, skąd jasnem światłem trysnęły nowe prawdy wiary i moralności. Przebyły one zwycięsko próbę czasu, sceptycyzmu i usposobień wrogich i, silniej niż gdzie indziej, zmuszają każdego do przeglądu własnych wierzeń i postępków, do filozoficznego porachunku z sobą i ze swemi błędami. Takie są dobrodziejstwa, płynące z tych dalekich wędrówek, i byłoby rzeczą zbędną kazić chwilę uroczystą przez wmawianie ludziom rzeczy nieistotnych, epizodycznych w stosunku do całości, a jakże chętnie uważanych przez umysły maluczkich lub przebiegłych za podstawę wiary, kultu i zrozumienia chrześcijańskiego prawd i faktów, głoszonych przez Pismo. Tym, którzy potrafili wznieść się sami i podwyższyć innych do diapazonu, na którym panują myśli, a nie pamiątki lub ich surogaty, należą się słowa wysokiego uznania i wdzięczności.

Było sądzone, że pani Wanda przeżyje w Jerozolimie zaraz po przybyciu same rozczarowania i zawody. Kiedy umieściliśmy się w hospicjum zakonnem, w tej szeroko rozsławionej «Notre Dame de France» jerozolimskiej, kiedy wyładowano szczupłe bagaże podróżne z automobilów i umieszczono je w celach gościnnych, lecz jakże surowych, klasztornych i oderwanych od świata dla laika, który w nich po raz pierwszy ma zamieszkać, już pani Motwidowa wybrała się do Grobu. Nie uwzględniono naszych protestów — tym razem

i Paweł przeszedł do opozycji — nie usłuchano próśb o zajęcie się przedewszystkiem sprawami doczesnemi, dotyczącemi ciała i jego potrzeb. Pani Wanda własnym sprytem, przy współudziale braciszka-ekonoma, wyszukała sobie dragomana, oderwanego od miski z baraniną i pokaźnej butelki wina miejscowego wyrobu, i rozpoczęła wizytację miejsc świętych.

Trwało to niedługo. Zaledwie uporaliśmy się z niechęcią służby klasztornej do zbytkownej skali ablucyj toaletowych, zaledwie przeszliśmy następnie do refektarza gościnnego, już pani Wanda była zpowrotem, oczywiście niezadowolona z tej pierwszej wędrówki. Lecz nie dawała folgi swym ujemnym wrażeniom, a nikt o nic nie pytał. Czekaliśmy cierpliwie, aby zwierzenia przyszły samorzutnie. Czekaliśmy niedługo.

— Naturalnie, panowie przyjechali do Jerozolimy, aby się elegantować i posilać — zaczęło się od wycieczki osobistej. — Ale może macie słuszność, niema poco się śpieszyć, i tak dość wcześnie zobaczycie, co się tutaj dzieje!

Okazało się, że wszystko było nie po myśli pani Wandy, a nawet przewyższyło znacznie pesymistyczne przewidywania. Droga z hospicjum, chociaż niezbyt daleka, była pełna zasadzek i niebezpieczeństw: osły bez zastanowienia deptały po nogach przechodniów, a czasem i wielbłąd przemaszerował, nie zwracając jakiejkolwiek uwagi na snujące się niepotrzebnie przeszkody ludzkie; z okien wyrzu-

cano na wąskie uliczki, co się dało, i tylko szczęśliwy zbieg okoliczności ratował od niemiłych przygód. Ale najgorzej było w samej Bazylice: u wejścia jakieś brudne tapczany, chwilowo niezajęte, ale świadczące o niechlujstwie ich właścicieli, a pod rotundą, okalającą kaplicę Grobu, spacerował kot. Zwykły czarny kot. Zapewne schronił się do wnętrza kościoła przed żarem słonecznym, wcale dokuczliwym w godzinach południowych. Nikt na to nie zwracał uwagi, i wogóle nikogo wpobliżu nie było. To wszystko było ponad siły pani Wandy.

— Kazałam przewodnikowi wypędzić kota — opowiadała o swoich czynach — ale kocisko uciekło w głąb kościoła. Zato z jakichś czeluści przedostał się do rotundy pop. Zwykły czarny pop. Miał szkopek lśniący na głowie, warkoczyk zapleciony wśród bujnej czupryny i brodę, niestrzyżoną chyba od czasu, gdy zaczęła porastać. Widziałam kiedyś za dziecinnych lat jakby jego brata rodzonego w Chełmszczyźnie, dokąd mnie rodzice zawieźli z wizytą do krewnych. Taki właśnie pop tutaj pilnował świątyni. Ale trudno było porozumieć się z nim. Żadnym językiem znanym nie mówił; próbował po grecku, nic z tego nie wyszło; zaczął po rosyjsku, ale ja także ani słowa nie mogłam zrozumieć. Dragoman chciał tłumaczyć, perswadował, że ja jestem z «Lechistanu» i żeby do mnie mówiono po polsku: pop, zdaje się, nie lubi Polaków, bo zaniechał monologów, a odszukał na jakimś gzymsie naczynie z wodą święconą. Pokropił mnie tak obfi-

cie, że wystarczyłoby na całą, i to dość liczną pielgrzymkę. Zgniewałem się na dobre i przez tłumacza zapytałam, dlaczego tutaj panuje taki nieporządek i dlaczego koty chodzą po świątyni? Pop zastanowił się i, przeczesując brodę palcami, szukał wzrokiem nieobecnego już kota, a na odpowiedź nie mógł się zdobyć. Powiedziałam mu, co o tem wszystkiem myślę, o popach, o kotach i o nieposzanowaniu miejsc świętych i zabrałam się do odwrotu. Przewodnik mnie dopędził już na ulicy i powtórzył wyjaśnienia tego brodacza, że Grób o tej godzinie jest zamknięty i że Chrystus nie był nieprzyjacielem zwierząt...

— Pocóż pani wdawała się w rozmowę z Grekami — starałem się uspokoić żale pani Wandy. — Trzeba było odszukać w zakrystji księdza katolickiego i jego poprosić o rady i wskazówki.

— Przedewszystkiem trzeba było mi towarzyszyć — odpowiedziała antagonistka «status quo» — przekonałby się pan, że zakrystja zamknięta, i że oprócz popa nikogo w Bazylice nie było i niema. Tutaj panuje schizma, łacinników nie widać. Może na wielkie uroczystości.

Pani Motwidowa i w tonie, i w gestykulacji zdradzała rzetelne oburzenie. Staraliśmy się ją uspokoić, lecz zadanie nie było łatwe, bo sami mieliśmy na sumieniu pewną dezercję i opieszałość w rozpoczęciu pielgrzymki. Na szczęście nawinął się ojciec-ekonom, sprawca tych wszystkich zawodów.

— Ja uprzedzałem czcigodną panią — ustalał

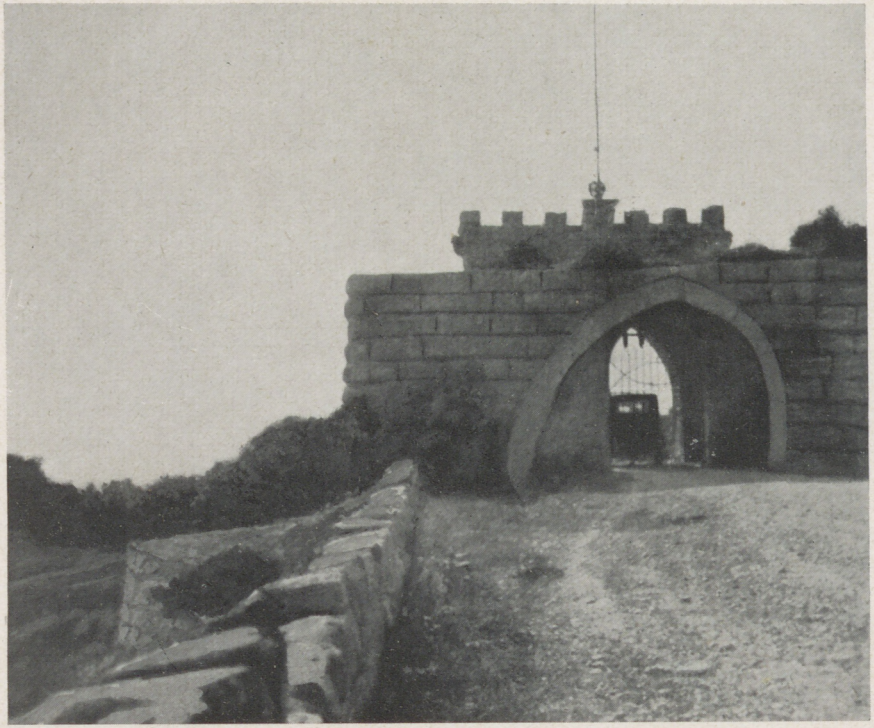

MONT THABOR: BRAMA WJAZDOWA

odpowiedzialności po usłyszeniu przebiegu ekskursji — że godzina nie jest odpowiednia do wizytacji Grobu.

— Jeśli ktoś tutaj mieszka, to może wybierać godziny odpowiednie — broniła się pani Wanda. — Dla mnie, i zapewne dla większości pielgrzymów, każda godzina, zależnie od przyjazdu do Jerozolimy, jest dobra. Jeśli Grecy mogą czuwać w p[illegible]e południowej aż do zamknięcia świątyni, to zapewne i inne obrządki mogłyby się zdobyć na takąż czujność.

W nieco zmienionej formie odżyła rozmowa już raz przeprowadzona z przełożonym franciszkanów. Teraz asumpcjonista miał do odparcia ataki i zarzuty pani Motwidowej, a ja, znając już jej usposobienie, przewidywałem, że sprawa nie pójdzie gładko i że byle jaka odpowiedź kuzynki mojej nie zadowoli. Ojciec-ekonom przytem nie miał swady i wyrobienia, jakiem był obdarzony superjor z «Casa Nova», i dość słabo bronił różnych obyczajów i tradycyj, już ustalonych od dawnych czasów u Grobu i w Bazylice. Do tych «ususów» należał także stały dozór Greków nad Grobem, z czem Kościół się pogodził — ku zgorszeniu pani Wandy.

Zakonnik zatrącał o historję.

— Palestyna była prowincją bizantyńską w chwili inwazji Arabów. Kościół grecki, wtedy urzędowy kościół w Ziemi św., potrafił i pod panowaniem muzułmańskiem zachować swoje wpływy na Wschodzie wśród chrześcijan. Pochody krzyżo-

we zadały Grekom cios niebezpieczny, lecz następnie, zwłaszcza w ostatnich stuleciach, potęga ich rosła. Popiera ich liczna i zamożna Kongregacja Świętego Grobu, dostarcza im hierarchów — i kapitałów. Przed wojną dopomagali im i Rosjanie, może niezupełnie lojalnie, bo prawie zawsze korzystali z ich stanu posiadania, aby sobie zapewnić wpływy i stanowiska przy sanktuarjach Ziemi św., usuwając stopniowo Greków. A było z czego usuwać, gdyż od czasu ostatniej odbudowy Bazyliki po pożarze 1808-go roku Grecy właściwie opanowali wszystkie gmachy kościelne, łożąc uprzednio fundusze na odnowienie świątyni. Z takim stanem rzeczy musieliśmy się pogodzić, my, którzy pracujemy tutaj i gdzie indziej nietylko nad ochroną świętych pamiątek, ale i nad pojednaniem wyznań chrześcijańskich. Gdzie tu są winy? Może kiedyś je popełniono, my poprawiamy sytuację, jakąśmy zastali.

Łagodny i pojednawczy ton zakonnika wpłynął nieco na udobruchanie zawodowej opozycjonistki. Już z mniejszą zapalczywością poczęła się dopytywać, jak to właściwie jest z temi pamiątkami i co, ku pokrzepieniu serc, byłoby do wywiezienia z Ziemi św.: chodziło o relikwje, świętości, któremi możnaby ozdobić i uświetnić ciche kościoły polskie. Podobno pani Wanda budowała nawet takie odludne «sanktuarjum» gdzieś na dalekiej wsi, a pamiątki z dalekiej pielgrzymki mogłyby wzbudzić jeszcze żywszy przypływ wiary i zapewnić kapliczce mir wyjątkowy wśród innych przybytków Pańskich.

Ojciec-ekonom w poczuciu bezsilności rozkrzyżował ręce i wyjaśniał beznadziejność planów pani Motwidowej.

— Czcigodna pani zapomina o tem, że w Ziemi św. pozostały tylko miejsca, związane z dziełem Naszego Zbawcy — nic pozatem. Co tutaj było, wszystko zostało wywiezione, lub też zaginęło w czasach odległych. Relikwij tutaj niema, pamiątki zniknęły i łatwiej byłoby dzisiaj odszukać coś w Rzymie, bo tam Kościół ześrodkował pozostałości z epoki swego powstania, niż tutaj. Zorze ze Wschodu przerzuciły się na Zachód, Kościół tam się rozwinął, gdzie Piotr mu siedzibę wyznaczył, a tutaj jest tylko cmentarz wielkich wydarzeń, i odwrócone oblicze zagniewanego Boga. Może kiedyś to się zmieni. W modlitwach nie traćmy nadziei. Ale czcigodni państwo wyjadą stąd tylko pokrzepieni na duszy i z temi pamiątkami, które zostaną poświęcone na Grobie na ich żądanie. To powinno wystarczyć.

Pani Wandzie zrobiło się przykro, buzia się wydłużyła, i zostawiła nas samych z poczciwym ojczykiem. Zawody nigdy nie przychodzą oddzielnie, lubią spadać serjami i trzeba umieć do tego się dostosować. Pani Wanda uczyła się tej mądrości życiowej.

W Bazylice było rojno, gdyśmy po południu już wszyscy razem znaleźli się u Grobu Chrystusowego. Z groty Anioła przez wąski otwór, w skale wykuty, widać było przesuwające się obok marmurów gro-

bowych postaci najbardziej odmiennych typów, ras i stanów. Pod lampami, zwieszającemi się nad Grobem, jako własność i symbol «condominium» różnych obrządków, stała znowu sylwetka z szerokiemi rękawami i w «kałamajce» na głowie. Grek zamaszystemi ruchami sprawował aspersje, a na płycie marmurowej, pokrywającej Ławę Śmiertelną, składano pieniądze. Fala ludzka, kształtując się w wąski strumień, przenikała przez grotę Anioła do sanktuarjum Grobu i płynęła znowu pod stropy Rotundy. Pewien pośpiech w ustępowaniu miejsca coraz nowym pielgrzymom mącił uroczystość chwili, był w sprzeczności z wyrazem skupienia, malującym się na obliczach. Ciągła frekwencja Grobu nie pozwala na zmianę tej procedury i na zwolnienie jej tempa.

Pod Rotundą formowały się grupy, zapewne jakieś pielgrzymki lub też wycieczki zwiedzały Bazylikę. Słychać było donośne głosy przewodników i dragomanów, kaleczących w różnych językach dzieje Kościoła i miejsc świętych. Usunęliśmy się co rychlej z tej atmosfery zgiełku, ignorancji i barbarzyństwa i podążyliśmy bez określonego planu w głąb świątyni. Poziom opuszczał się, szliśmy wzdłuż jakiegoś pochyłego, sklepionego kurytarza znacznej wysokości, w którym panowała ciemnia prawie zupełna. U wylotu migotało światło dzienne, schody prowadziły coraz niżej, mieliśmy wrażenie, że zstępujemy do znacznej głębi. Wkrótce wyłoniła się kopuła oszklona, wsparta na sześciu kolumnach, wzniesiona nad kaplicą Podwyższenia Krzyża, zwa-



WJAZD DO DAMASZKU

ną potocznie kaplicą św. Heleny. To dzieło krzyżowców, kryjące cysternę, dokąd wrzucono trzy krzyże w wieczór Wielkiego Piątku, zastąpiło zapewne bazylikę Konstantyna, której ruiny przetrwały do XII-go wieku. Kaplica ta, opuszczona i samotna, pozbawiona wszelkich ozdób i blasku zewnętrznego, zdaje się świadczyć, że cel, dla którego ją zbudowano, został osiągnięty, a ludzie, niepomni przeszłości, zapały swoje i niepokoje skierowali w inną stronę. Panuje tutaj cisza błogosławiona i smętek wielkich wspomnień.

Każdy z nas, zapewne w odmiennej formie, przeżywał te same refleksje, oparte nie na wymowie faktów, lecz na harmonji nastrojów. Gdyśmy tak trwali w milczeniu i myślach, gdzieś zdaleka, niedosłyszalnie, gdyby nie rezonans sklepień, ozwał się śpiew chóralny, nieoczekiwany w zalegającej ciszy. Dźwięk inkantacji zbliżał się pośpiesznie, zajarzyły woddali świece, niesione w dwóch rzędach pod ścianami, działo się coś niezwykłego, jakiś orszak modlitewny zbliżał się ku miejscom opuszczonym, gdzie nas przytrzymała zaduma. Słowa psalmu czy pieśni płynęły niezrozumiałe w rytmie melodji triumfalnym i przyśpieszonym, jak ruchy zbliżającej się procesji. Zamajaczyły alby i habity zakonne, zastukały trepki na kamieniach posadzki, w chwiejnym blasku świec przesuwały się cienie i światła po twarzach ascetycznych, poważnych i przejętych całkowicie uroczystą tajemnicą kultu. Pośrodku, po-

między dwoma szeregami rozśpiewanych mnichów, szedł wielkiemi krokami starzec siwobrody w sukience zakonnej i miał w sobie powagę powierzonej mu celebry. Franciszkanie odbywali procesję codzienną.

Przyłączyliśmy się do nich i po nabożeństwie, odprawionem przed ołtarzem św. Heleny, zawróciliśmy razem z procesją pod górę. Posuwała się zwykłym, codziennym szlakiem ku wzgórzu Golgoty-Kalwarji, gdzie trzy stacje — obnażenie z szat, przybicie do krzyża i «Stabat Mater» — pozostawały w posiadaniu franciszkanów już za czasów tureckich i pozostają po dzień dzisiejszy.

Sąsiednia nawa (XII-a stacja) należy jednak do Greków. Ołtarz jest tam zbudowany w tem miejscu, gdzie wznosił się krzyż Chrystusa, dwie tablice czarne przypominają śmierć łotrów na krzyżu. Tam też w dolnej kaplicy można widzieć prostopadłą szczelinę w skale, powstałą w chwili, gdy Pan oddał ducha. Ołtarz ten, zwany Ołtarzem Ukrzyżowania, jest dla nabożeństw katolickich niedostępny. Został on w XIV w. odebrany franciszkanom, jako zemsta za napad kawalerów maltańskich na Egipt, i oddany Gruzinom. Ci utrzymali się tutaj przez paręset lat, lecz w chwili depresji pieniężnej ustąpili prawa swoje do miejsca Ukrzyżowania Grekom schizmatykom za siedem tysięcy cekinów... Ta akwizycja pozostała w sile aż do dnia dzisiejszego, jednak pokrzywdzeni franciszkanie wyjednali sobie u rządu tureckiego — historja milczy o tem, za jaką

cenę — prawo zatrzymywania procesji codziennej przy Ołtarzu Krzyża. Z prawa tego korzystają i teraz, przechodząc następnie, po krótkim postoju, na uroczyste nabożeństwo przed własne ołtarze. Są one urządzone z dużym przepychem, obwieszone drogocennemi wotami, świadczą o tem, jaką czcią wierni otaczają przybytki, powstałe na niewątpliwie ustalonych miejscach Golgoty. Zauważyć to można i w skupieniu modlitewnem, jakie panuje wśród uczestników tych nabożeństw franciszkańskich. Świętość miejsca oddziaływać zwykła na natury nawet najmniej wrażliwe.

Pani Wanda rozpoczęła, zdaje się, proces rehabilitacji oskarżonych przez nią zakonników. Zapewne i ten pochód rozśpiewany po tajemniczych załamach Bazyliki nie pozostał bez wpływu na nową orjentację i nowe oświetlenie rzeczywistości. Dość, że wieczorem usłyszałem zupełnie nieoczekiwaną sentencję.

— Wie pan co, ten «superjor» z Casa Nova może miał rację: nie trzeba zbyt pośpiesznie ferować wyroków.

I ja byłem tego zdania, lecz nie chciałem własnemi spostrzeżeniami przyśpieszać samodzielnej pracy, jaka odbywała się w umyśle mojej towarzyszki podróży. Ludzie najbardziej cenią to, do czego dochodzą o własnych siłach. Zwłaszcza w dziedzinie myśli.

ROZDZIAŁ X

JEROZOLIMA: MECZET OMARA, ŚCIANA PŁACZU

Historja Bazyliki Grobu Chrystusowego, sanktuarjum wzniesionego na połączeniu najważniejszych miejsc ewangelicznych, obfituje w momenty dramatyczne, jakich tyle było w dziejach całej Palestyny już od początków naszej ery.

Kult, jakim pierwsi chrześcijanie otaczali miejsca Męki Pańskiej, trwał pomimo prześladowań ze strony Rzymian w całej pełni, nawet po zniszczeniu Jerozolimy przez Tytusa. Dzięki temu tradycja zachowała z niezbitą pewnością, co przyznają nawet nieprzyjaciele Kościoła, orjentację topograficzną i opisową, a niemało przyczynił się do tego trudnego dzieła, coprawda wbrew swej woli, cesarz Hadrjan, konserwując miejsca te pod sztuczną terasą, gdzie wzniesiono posągi Jowisza i Wenery. W rezultacie odnalezienie Grobu i Krzyża w dwieście niemal lat później przez św. Helenę zostało znacznie ułatwione, i powstałe w tych miejscach



DAMASZEK: KAWIARNIA

świątynie przetrwały na nich aż do naszych czasów, chociaż w zmienionych zarysach. Trudno o bardziej wymowny przykład, do jakiego stopnia zawodzą rachuby ludzkie, i jak często skutki pozostają w stosunku odwrotnym do zamierzeń. Cesarz Hadrjan i cesarzowa Helena ilustrują to w sposób klasyczny.

Konstantyn Wielki buduje gmach kościelny, co wspaniałością swoją ma odpowiadać powadze miejsc, na których się wznosi. Budowa trwała przez lat dziesięć i była połączona z dużemi trudnościami, ponieważ trzeba było oddzielić skałę z Grobem od wzgórza i odciąć części Golgoty w celu zapewnienia świątyni prawidłowych konturów. Podług świadectw współczesnych włączono do niej trzy oddzielne sanktuarja: Anastasis (Rezurekcja), Golgotę i Martirium, do których prowadziły galerje i korytarze. Wszystkie te budowle wywoływały podziw swojem bogactwem, posiadały obfitość marmurów różnobarwnych, plafony ozdobne i monumentalne wymiary. W Martirium znajdowały się relikwje pasyjne: Krzyż z nagłówkiem, dzida, gąbka, kielich z Ostatniej Wieczerzy, a później św. Całun (Suarium). Na Golgocie w miejscu Męki wznosił się krzyż srebrny w otworze skalnym ku powszechnej adoracji. Anastasis kryła Grób, wykuty w skale, otoczony balustradą i również dla każdego dostępny. Tak przetrwała Bazylika do czasów Chozroesa.

Z ruin ją podniósł patrjarcha Modest, a Herakljusz odzyskał drzewo Krzyża w 629 r. Świątynię odbudowano podług dawnych planów, zapewne

z niewielkiemi zmianami, lecz nie osiągnęła ona świetności swej poprzedniczki. Zato została powiększona przez dołączenie miejsc, poświęconych Najśw. Marji Pannie, i przez cztery wieki była jakby kontynuacją bazyliki Konstantyna. W 1009 r. przychodzi nowa klęska i ponowne zniszczenie pod rządami niepoczytalnego Hakema. Chyba żadna ze znanych świątyń nie ulegała tylokrotnie całkowitej zagładzie i tyle razy nie powstawała z gruzów. Jakgdyby zmagały się na tem miejscu rozpętane siły destrukcji i popędy twórcze człowieka.

Dopiero dzieło krzyżowców przetrwało właściwie do naszych dni, a więc przez najdłuższy, jak dotąd, okres czasu. Poprzednie próby cesarzów bizantyńskich odnowienia Bazyliki po pogromie Hakema były dosyć nikłe, z wyjątkiem rekonstrukcyj Konstantyna Monomacha. Wtedy krzyżowcy powzięli śmiałą myśl, podług słów Wilhelma z Tyru, połączenia wszystkich sanktuarjów w jednej świątyni. Nadali jej charakter kościołów romańskich XII-go wieku i zastosowali w architekturze sklepień łuk łamany, dawno już znany na Zachodzie. Kościół nie bez trudności wykształtowali w formie krzyża, i takim jest po dzień dzisiejszy. Naturalnie, trzeba w wyobraźni oddzielić od dawnego dzieła to, co Grecy po pożarze 1808-go roku odważnie wnieśli jako własny przyczynek do pierwotnej struktury i czem dokładnie zeszpecili dawną perspektywę i charakter. Jak wiadomo, niezawsze ci, co rozporządzają pieniędzmi, mają również prawidłowe po-

jęcia w zakresie sztuki, budownictwa i konserwacji i umieją je urzeczywistniać. Ofiarą takiego zaniedbania w wykształceniu i kulturze popów greckich padła i Bazylika Grobu Chrystusowego podczas ostatniej przeróbki.

Lecz jest w Jerozolimie świątynia, która jeszcze obecnie może wzbudzać najżywsze zainteresowanie każdego historyka sztuki, a nawet każdego człowieka, wrażliwego na piękno. W hierarchji meczetów muzułmańskich jest ona następną po Mekce (el Kabah) świętością dla wyznawców proroka. Nazywa się Al-Haram-al-Sharif, lecz jest znana popularnie pod mianem meczetu Omara. Powstała na tem miejscu, gdzie niegdyś dumnie rozrosła się wspaniała świątynia Salomona, której opisy znamy ze Starego Testamentu. Tutaj rozgrywały się najważniejsze epizody historyczne z późniejszych okresów żydostwa, tutaj naród wybrany składał dowody swej rosnącej potęgi i tutaj biadał nad upadkiem Izraela. I czyni to po dzień dzisiejszy, chociaż z świątyni Salomonowej pozostał zaledwie fragment mało znaczny, już poza obrębem meczetu. Bo taka jest siła tradycji i żalu za minioną świetnością, taka jest żałość, która wciąż jeszcze tli w duszach potomków Judy i Izraela.

Świątynia żydowska odegrała wielką rolę nietylko w Starym Testamencie, lecz i w historji symboliki chrześcijańskiej. Ponieważ Dawid «nie mógł budować domu imieniowi Pana, Boga swego, przed

walkami nalegającemi wokoło», przeto dzieło to zostało dokonane przez Salomona, któremu dał Pan «odpoczynienie zewsząd». Miejsce zostało obrane na wzgórzu Moria, które tradycja żydowska identyfikuje, zapewne nieprawidłowo, z ziemią Moria, gdzie Abraham miał ofiarować Panu Izaaka. Świątynia została wzniesiona w przeciągu lat siedmiu przy pomocy króla Hirama, panującego nad Tyrem, skąd cedry Libanu już obrobione dostarczano do Jerozolimy. Przepych świątyni Salomonowej przeszedł do historji, a dom Boży był ozdobą Syjonu przez lat czterysta zgórą: został spalony przez Chaldejczyków w 588 roku przed Chr., i odbudowany w skromniejszych zarysach w pięćdziesiąt lat później.

Lecz dopiero Herod Idumejczyk, zapewne ze względów politycznych, postanowił zaćmić wspaniałość Salomonową i przebudował «templum» podług modły rzymskiej, z zachowaniem rozkładu świątyni, lecz przy jednoczesnem rozszerzeniu jej wymiarów. Olbrzymi plac Esplanady nadawał się do tego w zupełności. Punktem centralnym była, jak i obecnie w meczecie Omara, skała z ołtarzem całopaleń, skała Abrahama podług tradycji. Otaczało ją sanktuarjum, w którem znajdowało się oprócz dziedzińca kapłanów miejsce święte i święte świętych. Tutaj spoczywała arka przymierza z tablicami praw Mojżeszowych, rózgą Aarona i garstką manny. Nad skrzynią unosiły się postaci alegoryczne z rozpostartemi skrzydłami, wypełniającemi całą szerokość tej ciemnej komnaty, oddzielonej od pozostałego



DAMASZEK: DZIEDZINIEC W PAŁACU AZEM

sanktuarjum cienką zasłoną jedwabną o barwach żywych, zahaftowaną postaciami cherubów i różnorodnością ozdób. Zasłona ta, jak wiadomo, rozdarła się od góry do dołu w chwili śmierci Chrystusa na krzyżu.

Dziedzińce, przeznaczone dla mężczyzn, kobiet i cudzoziemców-pogan, były obramione kolumnadami, co oddzielało grupy modlących się, a jednocześnie pozwalało widzieć ceremonje przy ołtarzu całopalenia. Całość uzupełniał przedsionek z bocznemi pylonami znacznej wysokości, które wraz z majestatycznym portalem stanowiły fasadę gmachu. Taki był rozkład świątyni w czasach, kiedy Chrystus ją nawiedzał, rzucając w umysły faryzeuszów pierwsze ziarna moralności i prawd chrześcijańskich. Wtedy to, podczas jednego z powrotów do Betanji, padły z ust Jego prorocze słowa: «Z tego, co widzicie, nie pozostanie kamień na kamieniu».

Spełniło się proroctwo podczas oblężenia Jerozolimy przez Tytusa. Świątynia spłonęła docna. Za czasów Adrjana zainstalowano tu Kapitol, usunięty następnie staraniem Konstantyna. Próby odbudowy, dokonane przez Juljana Apostatę, spełzły na niczem, i w dawnej enklawie, wśród ruin i zgliszczy, powstały wielkie śmietniska miejskie... Po zdobyciu Jerozolimy przez Omara zaczęto tu zaprowadzać ład i porządek za przykładem osobistym kalifa, a w kilkadziesiąt lat później na miejscu świątyni żydowskiej powstał meczet rozgłośnej sławy, mający

współzawodniczyć z Mekką i odciągnąć wyznawców proroka od pielgrzymek do jego grobu.

Meczet przemieniono na kościół za czasów krzyżowców. Wspaniałość jego nadawała się do tego całkowicie, gdyż był on doskonałym tworem sztuki bizantyńskiej (właściwie syryjskiej, jak twierdzą asumpcjoniści) i zapewne budowali go chrześcijanie. Pod nazwą «Templum Domini» świątynia krzyżowców przetrwała do czasów Saladyna, i po obfitej puryfikacji wodą różaną, sprowadzoną przez wiernych z dalekiego Aleppo, znowu została obrócona na meczet, a na kopule, zapożyczonej niegdyś z Bazyliki Grobu, ponownie ukazał się półksiężyc. Dotrwał aż do naszych czasów.

Muzułmanie mają meczet ten w wielkiej czci i poważaniu, gdyż związany jest z historją proroka. Jeszcze daleko byliśmy od wspaniałej Esplanady, która tak nieoczekiwanie wyłania się zpośród labiryntu wąskich uliczek i załamków domowych, a już zaniepokojeni przewodnicy namawiali mnie, abym co rychlej zaprzestał palić tytoń, co tutaj nie jest dobrze widziane, i w skupieniu ducha przygotowywał się do ujrzenia najwspanialszej budowli świata. Dawniej innowiercom nie wolno było tych świętości zwiedzać, a w jednej z bram wisiał na łańcuchu kamień, który mógł spaść na głowy przechodzących «giaurów», lecz wszystko to już należy do przeszłości. Bez obawy można dojść teraz, o ile się nie jest żydem, do placu, na którym wznosi się meczet

Omara i drugi, zwany El Aksa, i stąd rzucić okiem na dawny przepych miasta Dawidowego.

Rzadko spotyka się ujęty w architektoniczną całość plac tej przestrzeni, jak Esplanada, okalająca dawną świątynię jerozolimską. Roztacza się stąd widok wspaniały i obejmuje prawie całe miasto i wiele miejsc ewangelicznych: dolinę Cedronu, zwaną następnie doliną Sądu czy też doliną Józafata; ogród Oliwny wraz ze wzgórzem, z nim sąsiadującem; Golgotę i Bazylikę Grobu; górę Syjonu, gdzie kościoły i meczety znaczą swemi wieżami i minaretami strzelistość tęsknot ludzkich... A z tą górą Moriah, gdzie meczet teraz się znajduje, z tem płaskowzgórzem trzebaby powiedzieć, łączy tradycja, może nieuzasadniona, lecz jakże znamienna, wszystko, co od stworzenia świata Pismo zapisało na uroczystych stronicach swych kronik: tutaj Adam pra-ojciec oddawał hołd Panu, tutaj Kain i Abel składali ofiary, kto «z owoców ziemi», a kto «z pierworodnych trzody swojej i z tłustości ich»; tutaj Izaak o mało nie padł ofiarą gorliwości Abrahama; tędy uciekał Jakób, chroniąc się od gniewu Ezawa... A i kamień Jakóbowy, gdzie spoczęła niegdyś głowa patrjarchy, znalazł się tutaj na pierwszym ołtarzu całopalnym...

— Panie, oni koloryzują ci nasi «przewodnicy» — skarżyła się pani Wanda. — W ich opowiadaniu meczet Omara zajmuje ośrodek wszystkiego, co się działo w Piśmie...

— Tylko do chwili załatwienia «bakczyszów» —

tłumaczył Paweł gorliwość dragomanów — potem i oni zgodzą się na pewne ustępstwa.

Ale są to szczegóły drugorzędne. Jest rzeczą zrozumiałą, że przewodnicy, podnosząc dostojność miejsc, spodziewają się wzmożonej szczodrości pielgrzymów. Musi to być sposób postępowania także oparty na tradycji i doświadczeniu. Trzeba ich pozostawić w spokoju, jeśli się dba o niezależność swych obserwacyj i wrażeń, i sądy własne ustalać, zapominając o «guide'ach», tłumaczach i o literaturze turystycznej. Pani Wanda łatwo godziła się na odzyskanie samodzielności ruchów i myśli.

Po schodach wstąpiliśmy na plac, wyłożony szerokiemi flizami kamiennemi. Kontury meczetów, arkady bram i widok niezrównany, ścielący się za temi pomnikami architektury, — wszystko to wywołuje jakieś wrażenie świąteczne, niezwykłe i uroczyste. Niema się prawie ochoty wchodzić do wnętrza tych przybytków, które z taką zwiewnością kształtów i linij rysują się na tle szafirowego nieba. Znalazły one licznych naśladowców w architekturze, uwieczniono je na płótnach mistrzów malarstwa, że wspomnę przedewszystkiem o znanym obrazie Rafaela. Lecz reminiscencje te rychło się zacierają pod wpływem rzeczywistości. Przechodzi się pod arkadami, gdzie w chwili Sądu ostatecznego zawisną wagi naszych czynów, ku wzniesieniu Kopuły nad Skałą. Już nietylko harmonja linij, ale i ornamentyka zewnętrzna uderza wyobraźnię. Ośmiokątną budowę podstawy, wykonaną z marmuru, zdobi



DAMASZEK: TYPY ULICZNE

u góry szeroki pas, wyłożony przepięknym fajansem staro-perskim i zdobny napisami z Koranu o barwach niebieskiej i białej. Tafle są bądź matowe, bądź też polerowane, co nadaje całości jakiś nieznany nam efekt kolorystyczny. Niema się ochoty stąd odchodzić.

— Meczet dobrze się umieścił i bogato ozdobił — westchnęła pani Wanda — i porządek panuje wzorowy.

— Przy wejściu może będzie nieco gorzej — uśmiechnął się Paweł. — Jeszcze nie mamy pantofli.

Te papucie, chroniące meczety od profanacji, stanowią najciemniejszą stronę wszelkiej wizytacji przybytków Allacha. Uchronić się od tego niepodobna, chociaż nieraz już za progiem «babosze» skórzane z nóg zlatują bezpowrotnie, ale dopiero przy wyjściu rozgrywają się sceny dantejskie i z powodu zagubienia drogocennych narzędzi tortury i z powodu nadmiernej chciwości różnych «Hassanów» (nazwa symboliczna), którzy zmieniają się błyskawicznie, aby tylko «bakczysz» parokrotnie do rąk im płynął.

— Porządek czy nieład? — indagował Paweł nieco stropioną małżonkę.

— Kto lepszy: Hassan czy też Grecy? — stawiałem nasuwający się dylemat myślowy.

Ale pani Wanda miała kłopoty bliższe: pantofle pospadały jej z nóg jeszcze przed wejściem do me-

czetu, operacja rozpoczęła się na nowo i zbiegła się cała grupa Hassanów, zapewne nie z nadmiaru uprzejmości. W takich chwilach panuje zgiełk, kurz i atmosfera wschodnia z nieodłącznemi zapachami oryginalnych ekstraktów miejscowych — imbir, «curry», trochę ambry — co razem zmusza Europejczyka do jak najszybszego odwrotu. Własnym sprytem, a trochę przy pomocy jakiegoś przechodzącego «effendiego», wydostaliśmy się z opresji.

«Koubbeh-es-Sakhra», t. j. kopuła, zbudowana nad skałą, wznosi się na miejscu, otoczonem wspaniałą legendą. Nad jej wytworzeniem pracowali naprzód żydzi, a potem mahometanie dali już folgę polotom fantazji zupełnie orjentalnej. Więc po zaakaparowaniu dla skały Adama wraz z potomstwem, Abrahama i innych postaci ze Starego Testamentu — przez żydów; po umieszczeniu tutaj «centrum orbis terrarum» nastąpiło za czasów muzułmańskich uruchomienie samej skały: zawisła ona, jak wiadomo, nad przepaścią, t. j. pomiędzy niebem i ziemią. Może oparta jest na palmie, prowadzącej do raju, a może wznosi się nad czeluściami piekła. Mahomet, stąd wniebowzięty na rumaku, o mało co nie uniósł z sobą «Sakhry», ale przeszkodził temu anioł Gabrjel. Tutaj bowiem kiedyś ma być przeniesiona z Mekki święta «Kaba», w chwili Sądu ostatecznego, a na skale będzie umieszczony tron Allacha. Ponieważ w tem miejscu rozpoczęły się dzieje ludzkości, więc tu również powinny znaleźć swe zakończenie.

Zresztą wersetów różnorodnych w opowiadaniu przewodników wielojęzycznych można się nasłuchać dowoli, krążąc przez parę godzin po uroczyskach tego wspaniałego przybytku.

Ale mało kto czas traci na przysłuchiwanie się tym uniwersalnym i monotonnym gadułom, rozsianym obficie na każdym szlaku turystycznym, a cóż dopiero tutaj. Gdy się wejdzie do meczetu Omara, a wzrok już się przyzwyczai do panującego półmroku, ma się chwilę osłupienia. Bo wnętrze świątyni przewyższa jeszcze o wiele to, czego można spodziewać się, sądząc po zewnętrznym wyglądzie.

Więc przedewszystkiem uderza wspaniałość kolumnad, wzniesionych w dwóch koncentrycznych kręgach, z których każda podtrzymuje odpowiednie części budynku. Kolumny te, wykonane z marmuru kolorowego, porfiru i malachitu, mają przedziwną proporcję linij i cudowne wykończenie. Zdaje się, pochodzą one w większości ze świątyni pogańskiej Hadrjana, a wybrano tylko te, które się wyróżniały ciepłością tonu i nienagannem odpolerowaniem. Są to wszystko monolity, niezmiernie trudne do obróbki i do przewiezienia. Ornamentacja ścian składa się z mozaik bizantyńskich czystej i niezmąconej wody, nieznanej prawie finezji i doboru barw. Snuje się tu po ścianach jakaś roślinność fantastyczna, rozkwiecona wyobraźnią artystów i wszystkiemi cudami, jakie Wschód chętnie wplatał do rzeczywistości. Jest na co patrzeć.

Dekoracja ta jest uzupełniona przez napisy arabskie. Są to teksty, wyjaśniające wielkie zdarzenia dziejowe, podobno niezawsze w zgodzie z objektywizmem historycznym. Łatwo im to darować, gdyż nie treść nas zachwyca, a wykonanie tych napisów, pieszczących oko swym łagodnym kolorytem. Inaczej zresztą być nie mogło, bo tuż obok światło sączy się skąpo, lecz jakże uroczyście i tajemniczo, przez najpiękniejsze witraże, jakie wykonano dawno już temu, bo za czasów Solimana Wspaniałego. Są one ułożone z różnokolorowych kawałków szkła, umiejętnie dobranych i oprawionych w ten sposób, że już samo zagłębienie koniczne oprawy łagodzi zbyt jaskrawe efekty świetlne. Nigdy w Europie nie osiągnięto tak wielkiego wrażenia przy pomocy tak prostych środków.

Wszystko, co się po tych mozaikach i witrażach widzi, nie wywiera już wrażenia: niedbale ogląda się monumentalną, ale niezbyt zharmonizowaną El Aksę, «meczet najdalszy» od Mekki, skąd odbyły się nocne przenosiny proroka; człowiek obojętnieje i na «Trybunał Dawida» z łańcuchem niewidocznym, lecz zabójczym dla krzywoprzysięzców, i na inne pomniejsze «kopuły», związane tradycyjnie z Mahometem lub duszami wybranych. I już podążaliśmy w zadumie wdół ku miastu, kiedy spotkana po drodze grupa żółtych, aksamitnych kaftanów — ulubiony strój żydów w Jerozolimie — przypomniała nam, że niedaleko stąd do sławnego Muru

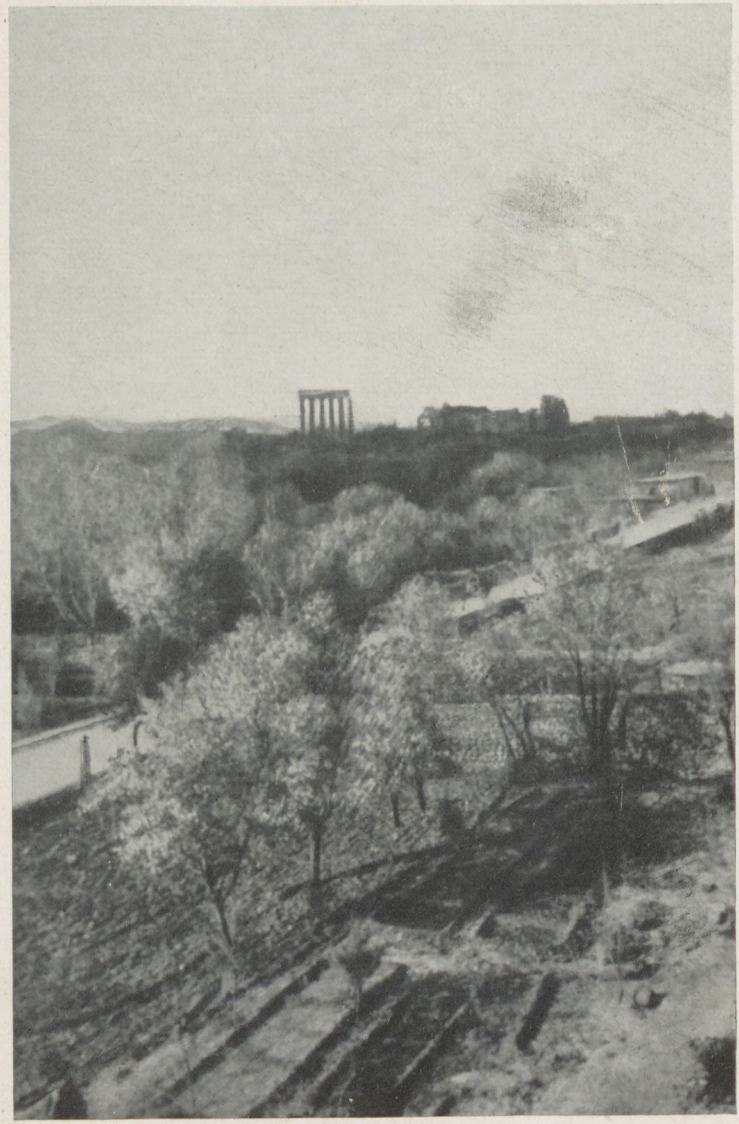

BAALBEK: WIDOK OGÓLNY

Lamentacyj. Zbyt dużo opisów literackich rozeszło się już na ten temat, aby ktoś nie chciał osobiście przekonać się o charakterze tych zawodzeń, o bólu wewnętrznym, którym podobno drga jeszcze każda skarga na bezlitosne zrządzenia losu.

Były wahania, ale tylko co do wyboru chwili.

— Zaczekajmy do piątku — radził Paweł — wtedy «jeremjady» brzmią najpiękniej.

Pani Wanda oponowała. Mur, a raczej to, co się pod nim działo, musiało mieć charakter urzędowy w dni świąteczne, na codzień było zapewne żałośników mniej, lecz przywiodła ich szczerość rozpamiętywań nieukojonych.

— Nikogo nie będzie — oponował Paweł — my będziemy siedzieli samotnie, chociaż bez płaczu.

— «Siedzimy tutaj samotnie i płaczemy» — recytowała pani Wanda, posuwając się w coraz fatalniejsze zaułki — «bo świątynia zburzona, pałac spustoszony i mury obalone, zginęli nasi wielcy, kapłani się potknęli, a zgrzeszyli królowie».

— To najpowszedniejsza lamentacja — frondował Paweł — znam piękniejsze, ale na tych oberwiskach i chrześcijanin może się spłakać, bez rozpamiętywania tekstów.

Pani Wanda kiwała główką, po złożeniu dowodów własnej erudycji do pana małżonkowej nie miała zaufania.

A przed nami na jakimś nieoczekiwanym zakręcie wyłonił się jakby obmurowany wąwóz. Jedna ze ścian, wysoka i z ciosów kamiennych ułożona,

była oblepiona szeregiem postaci szczelnie przytulonych do głazów. Bliżej wejścia stały niewiasty, dalej zauważyć można było kilku mężczyzn, jak widać różnych kondycyj społecznych i różnego pochodzenia: byli i tacy, których ogólnie nazywają «aszkenazim», a którzy do naszych żydów są zbliżeni, i południowi «sefardim», i typy kosmopolityczne. Jedni siedzieli, drudzy stali z twarzą przyciśniętą do muru, gdzie pozostały liczne ślady tych wiekowych dewocyj. Ktoś cicho płakał, i można było odróżnić jakieś zawodzenia niezrozumiałe, lecz pomimo zaabsorbowania w medytacjach uważali także modlitewnicy na to, co się za ich plecami dzieje: bo kiedy pani Wanda, zapewne przez nieuwagę, zgrzeszyła, jak królowie, chociaż nie tak ciężko, i przesunęła się na męską połowę «lamentacyj», odrazu poszedł pomruk od czarnego rzędu pod murem, odwróciło się parę twarzy załzawionych i wrogich. Sprawczyni zamieszania nie zorjentowała się w sytuacji, nie wiedziała, że jej zachowanie było kamieniem obrazy. Jakiś jegomość zbliżył się do niej i wyjaśniał najczystszą francuzczyzną:

— «Il est interdit, madame» — ręką wskazywał granicę, której niewiastom przekraczać nie wolno.

Pani Motwidowa zaczerwieniła się po uszy i pośpiesznie zrejterowała. I te resztki murów, które od Tyropeonu okalały świątynię jerozolimską, straciły dla niej urok. Przy wyjściu jeszcze zatrwożyliśmy

się o los dwóch dziewczyn, co głową rzetelnie o mur tłukły i łzy prawdziwe przelewały, i poruszeni do głębi, a zarazem jakby niezadowoleni — tak zwykle bywa, gdy się czegoś nie rozumie — ruszyliśmy w drogę powrotną.

Paweł odnalazł pamięć i swadę.

— A Wandę mogli ukamienować — twierdził.— Musielibyśmy ją obronić, albo sprowadzić policemana.

— A Wandę można było przestrzec — poprawiała pani Motwidowa — ale zapewne myślałeś o lamentacjach.

— Ale i o tobie. «Bo mocna jest jako śmierć miłość, twarda jako piekło rzewliwość: pochodnie jej, pochodnie ognia i płomieniów».

Lecz cytaty z Salomona nie zostały dobrze przyjęte. Pani Wanda dopominała się o «mniej popularne» lamentacje, kiedy lud był karmiony piołunem i pojony żółcią. Musieliśmy je odszukać w tekstach po powrocie do hospicjum.

«A tak słuchajcie niewiasty słowa Pańskiego, a niech przyjmą uszy wasze mowę ust jego, i nauczajcie córek waszych lamentu, a każda bliską swoją narzekania» (Proroctwo Jeremjaszowe, IX, 17—20).

I po dziś dzień płaczą córy narodu, nawiedzonego przez gniew Pana, w nadziei, że znowu kiedyś spokój i szczęście zapanuje na świętym Syjonie, że

nie odrzuci Pan na wieki ludu swego, że palma zakwitnie w Jeruzalem...

Lecz zanim to nastąpi, lament nie ucichnie pod murem dawnej świątyni. Bo wielka jest żałość, która wciąż jeszcze tli w duszach potomków Judy i Izraela.

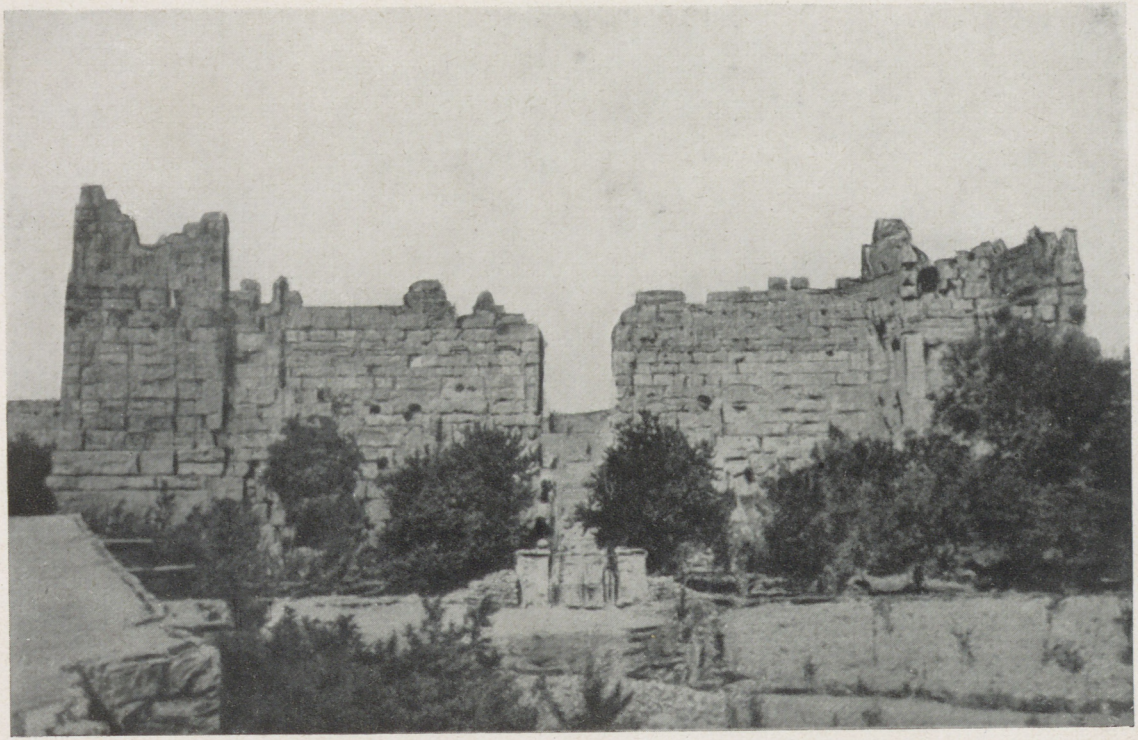

BAALBEK: PROPILEJE

ROZDZIAŁ XI

BETLEEM. NAZARET. TYBERJADA

Koleje w Palestynie nie cieszą się zbyt dobrą opinją: są niesłychanie powolne, i trasy kolejowe pokierowano jakiemiś fantastycznemi szlakami, co skazuje turystę na kilkodniową podróż, łatwą do zastąpienia przez krótkotrwałą przejażdżkę automobilem. Dlatego ten środek lokomocji rozwinął się w państwach mandatowych z żywiołową siłą, zwłaszcza odkąd drogi na tych dużych połaciach zostały doprowadzone do wzorowego porządku. Wyjątek od tej reguły stanowią tylko ścisłe pogranicza mandatów, gdzie można połamać resory i nadwerężyć kości, zapewne w imię jakichś nieuchwytnych momentów wyższej polityki lub strategji. Szoferzy pędzą z zawrotną szybkością, niechętnie zwalniają biegu, a na postoje decydują się tylko pod silną presją. Wskutek tego minęliśmy w tumanie kurzu grobowiec Racheli i, na wyraźne żądanie pani Wandy, musieliśmy doń nawracać z Betleem. Pozostał więc żywo w pamięci.

— Ależ tam nic niema do widzenia — upierał się Paweł — taki styl «muzułmański», stosowany w grobowcach «tureckich świętych». Jak wiadomo z Pisma, Rachel tu urodziła Jakóbowi syna — i zmarła. Benjamin przeżył i matkę i ojca, przeszedł do literatury. Ale grobowiec? Przerabiano go, przenoszono i pozostała tylko tradycja. Ostatni, zdaje się, Montefiore korygował tę architekturę kilkadziesiąt lat temu.

Ale na upór nie było rady: nawet Montefiore zasługiwał na uwagę, skoro czcił przeszłość «matki Izraela». A rzeczywiście chodziło o to, aby jak najprędzej opuścić Betleem, gdzie stosunki panowały jeszcze gorsze, niż w Jerozolimie. Pani Wanda dochodziła do stanu wrzenia, wysłuchując wszystko, co jej opowiadał jakiś zabłąkany «guide», niedość energicznie przez Pawła przepędzony. Po zwiedzeniu groty Narodzenia i Żłobka, rozpoczęły się te opowieści dramatyczne o walkach, jakie w tem właśnie miejscu toczą zakonnicy różnych obrządków. «Guide» zauważył dość szybko, że pani Wanda zawisła na jego ustach i nie roni ani słowa z tej całej monachomachji, więc zwiększył jeszcze wysiłki, aby uplastycznić grozę sytuacji: tu był «front» Greków, a tam łaciński. «Guide» błyskawicznie przenosił się z miejsca na miejsce i prowadził walkę na dwóch frontach.

— Ależ, Wando — studził zaciekawienie małżonki Paweł — przecież już przeor z «Casa Nova» to wszystko opowiadał...

Tak, ale przeor wszystkiego nie wiedział, a ten przewodnik przeżył to na miejscu i odczuł. Kiedy jeszcze przyszła kolej na historję dywanów, któremi Ormianie odgrodzili łacinników od wejścia do Groty — jak wiadomo żaden obrządek nie może się dotykać przedmiotów, należących do drugiego, a więc i przechodzić przez dywan ormiański katolikom nie wolno — pani Wanda rozgniewała się na dobre.

— Ja już nie mogę na to wszystko patrzeć, nie mogę słuchać o tem «condominium» i o tych Grekach, Ormianach. Wyjeżdżajmy stąd, bo będzie źle.

«Guide» z intonacji zrozumiał, że coś niedobrego się stało, i jął uspokajać: narazie żadne niebezpieczeństwo nie grozi i ostatnia bójka miała miejsce przed kilku laty. Teraz nawet stosunki nieco się poprawiły, Anglicy kazali znieść ścianę, wybudowaną za czasów tureckich przez Greków w środku kościoła i w ten sposób ukarali zachłanność schizmatyków... On zaś jest gotów oprowadzić nas po całem Betleem, które zna doskonale, może nam nawet wskazać miejsce, gdzie się rozegrała idylla pomiędzy biblijną Ruth a jej przyszłym małżonkiem. Wiedział nietylko, gdzie mieszkał Booz, ale i gdzie urodził się jego prawnuk, Dawid — wiadomość ściśle zakonspirowana — i temi skarbami tradycji chciał się z nami podzielić, a także i naszemi funtami, nawet nie w stosunku do wagi udzielonych nam informacyj.

— Mój Pawle, jak ty możesz słuchać tych wszyst-

kich niedorzeczności — gniewała się pani Wanda.— Zapłać mu i jedziemy na grób Racheli.

Chwila nie nadawała się do opozycji, i woli pani Wandy stało się zadość. Szofer, któremu śpieszyło się do Nazaret, protestował, ale bezskutecznie, i już za parę minut wysiedliśmy przed kopułką, kryjącą cenotaf Jakóbowej małżonki. Z wnętrza budynku dochodziły jakieś głosy, jakby zawodzenia lub lamentacje.

— To tak, jak w Ewangelji — zauważyła pani Wanda. — «Głos jest słyszan w Ramie, płacz i krzyk wielki: Rachel płacząca synów swoich».

Z mauzoleum wychodził Gérard, archeolog, którego śmy poznali na «Teofilu», w otoczeniu turystów. Przyłączył się do nas, rozpytywał, dawał rady i wskazówki. Jak się okazało, dnia tego u grobowca historycznego odbywały się lamentacje, niemniej żałosne, niż te, których świadkami byliśmy u podnóża ruin świątyni jerozolimskiej. Tutaj odbywają się tylko zrzadka, lecz wtedy niema mowy o dostaniu się do grobowca.

— I właściwie niema poco — dodał Gérard ku niezadowoleniu pani Wandy — właściwie piękna jest tylko tradycja, która to miejsce otacza. Rachela była w żalu nieutulona i opłakiwała swych synów, a Pan przez usta Jeremjasza pociechę zapowiedział i powrót Izraela do granic swoich. Więc teraz Żydzi łączą się w płaczu i żałości z Rachelą, wzorem małżonek i najpiękniejszą z niewiast, założycielką domu Izraela. Oczekując na spełnienie proroctwa, ustalili



BAALBEK: WEJŚCIE DO ŚWIĄTYNI BACHUSA

tutaj jeszcze jeden symbol żałoby narodowej. Może potrwać ona jeszcze czas jakiś, bo Anglicy...

Gérard przerwał zdanie i szukał w myślach zakończenia takiego, coby nie wypadło zbyt ostro.

— Anglicy nie pamiętają o Jeremjaszu, a przypomnieli sobie o Arabach — wystylizował z uśmiechem epilog. — Ale nie mówmy o sojusznikach, w Damaszku i Bejrucie na pewno państwo usłyszą sporo na ten temat, niezbyt zajmujący. Tutaj jesteśmy w kraju tradycji, ciągłej i nieprzerwanej, co ja przyjmuję z nieustającym podziwem. I państwo zapewne także.

Gérard nie czekał na odpowiedź i żegnał się z nami.

— Nie zapomnijcie o Baalbek — dorzucił jeszcze. — Cud świata, przed którym nawet archeolog wpada w osłupienie!

— I unikajcie Beduinów — przypomniałem drugą radę, stale przez Gérarda udzielaną.

Staruszek coś jeszcze dopowiadał, lecz stuk motorów pokrył już ostatnie jego słowa.

Gérard miał słuszność. Tutaj jest kraj tradycji, ciągłej i nieprzerwanej. Lecz poza Jerozolimą nigdzie nie odczuwa się tego z taką siłą, jak w Betleem, a częściowo w Nazaret. Grota Narodzenia, gdzie czytać można napis łaciński: «Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est», już od początków naszej ery była otoczona nieustającą adoracją wiernych, co pozwoliło ustalić i przechować w pamięci

następujących po sobie pokoleń miejsce, gdzie Chrystus na świat przyszedł. Bazylika, która zawdzięcza swe powstanie św. Helenie, przetrwała z małemi zmianami do naszych czasów, nie bacząc na inwazje i zniszczenie, jakiemu uległa w tymże okresie czasu większość sanktuarjów.

Legenda głosi, że emisarjusze kalifa Hakema, wielkiego niszczyciela monumentów chrześcijańskich, zostali porażeni ogniem niebieskim w chwili, gdy przystępowali do burzenia Bazyliki betleemskiej... Parę wieków później, gdy zamierzono ornamenty marmurowe świątyni przewieźć do Kairu, ukazał się wąż ognisty niezwykłej wielkości, który zmusił śmiałków do zaniechania świętokradczej dewastacji... W ten sposób gmach ocalał, chociaż naturalnie podlegał licznym restauracjom, i historja wspomina o wspólnej pracy, podjętej na tem polu przez łacinników i Greków, pod auspicjami krzyżowców. Malatury i mozaiki, jakiemi wówczas ozdobiono Bazylikę, nie przetrwały do naszych dni, lecz pozostały teksty, które świadczyć mogą, że wówczas już umysły przodujące myślały o ponownem połączeniu kościołów, a było to w drugiej połowie XII-go wieku. Cel ten, jak wiadomo, nie został osiągnięty, a polityka Greków, poparta wpływami politycznemi Bizancjum i obfitością środków, łożonych na naprawę Bazyliki, zapewniła im stopniowo, podług tradycyjnej linji postępowania, przewagę nad innemi obrządkami chrześcijańskiemi i tutaj, u kolebki Chrystusa, równie jak i w pozosta-

łych miejscach świętych Palestyny. Ten stan rzeczy trwa w całej sile do dnia dzisiejszego, pomimo, że Anglicy zarządzili zburzenie ściany, dzielącej świątynię na dwie części: grecką i bezwartościową. I trwać będzie, dopóki mandatarjusz nie wykona zobowiązań, które przyjął, i dopóki słuszne żądania Rzymu nie zostaną spełnione w myśl obowiązujących traktatów.

Ostatnie dni pobytu w Jerozolimie upłynęły na wycieczkach, a więc właściwie już poza Świętem Miastem. Tylko pani Wanda pozostawała w hospicjum, skąd w godzinach rannych wybierała się na nabożeństwo u Grobu, gdzie, jak się przekonała, i katolicy nie są pozbawieni pewnych praw w kolejności dawno ustalonej. Zapewne przeżywała wrażenia, zbliżone do tych, jakie Słowacki opisywał w listach do matki. W tym czasie my z Pawłem zwiedziliśmy Jaffę z jej cudnemi gajami pomarańczowemi, nowożytny Tel-Aviw, wyglądający na anachronizm lub paradoks w krainie ruin i zabytków, i szereg kolonij syjonistycznych, świadectwo eksperymentu historycznego na wielką skalę. Przerzuciliśmy się potem w stronę morza Martwego, które dobrze na nazwę swą zasłużyło, aż po Jerycho i brzegi Jordanu, jeszcze cichsze, odkąd Rosjanie zaniechali swych masowych pielgrzymek i kąpieli w jego mętnych wodach. A potem zwinęliśmy ostatecznie obóz u gościnnych ojców jerozolimskich i opuściliśmy Judeę.

Droga nasza szła na północ przez Samarję ku Galilei. Stara to droga rzymska, a obok niej leżą miejsca sławne i wielkie pamiątki. Na tym szlaku przejeżdża się przez Napluzę, starożytne Sichem, gdzie Abraham rozbił swoje namioty i Jozue zebrał niegdyś wszystkie pokolenia Izraelowe. Tutaj pokazują studnię Jakóba, zwaną następnie studnią Samarytanki, od czasu rozmowy Chrystusa z grzeszną niewiastą, a w sąsiedztwie znajduje się grób św. Józefa i rosną dęby, «podle których» Abimelech był obrany na króla... I żyje w kraju tym ludność samarytańska, a raczej niedobitki tej rasy, potomnej kolonistów asyryjskich, sprowadzonych z Babilonu dla zaludnienia państwa Izraela po spustoszeniach Salmanazara. Przejęli oni wiarę swej nowej ojczyzny, zachowując i dawne praktyki bałwochwalcze. Pogaństwo, monoteizm, oczekiwanie Mesjasza i ofiary jagniąt paschalnych na górze Garizim przez arcykapłana z linji Aarona — wszystko to pogodziło się w ich wyznaniu wiary, gdzie «Pentateuch» odgrywa jednak rolę pierwszorzędną. Stwierdza to przechowywany w synagodze odpis ksiąg Mojżeszowych, liczący jakoby trzy tysiące lat wieku, z którego odczytuje teksty święte arcykapłan w białym turbanie i czerwonej szacie.

Wierni Samarytanie stosują te same barwy w ubiorach, lecz turbany ich są czerwone, a togi niezawsze śnieżnej białości. Są zaprawni w walkach, bo przechodzili oni przez częste opresje, których przyczyną było nieustalenie przekonań, zwłaszcza



BAALBEK: FRAGMENT RUIN ŚWIĄTYNI JOWISZA I BACHUSA

religijnych. Samarytanie wytworzyli sobie specjalność lawirowania pomiędzy judaizmem a pogaństwem i niezawsze potrafili tę trudną grę przeprowadzić. Sichem, które usłyszało Ewangelję z ust Chrystusa, przekształciło się za czasów Wespazjana na nową «Flavia Neapolis», chrześcijańską pomimo wszystko aż do czasów Omara i następnie, po zdobyciu Palestyny przez krzyżowców. Najścia Saladyna zmieniły sytuację, Napluza stała się miastem mahometańskiem i pozostała niem, a charakter ten wzmógł się w ostatniem stuleciu, odkąd Ibrahim-basza miasto splondrował i szeika miejscowego ściął w Damaszku. Muzułmańska Napluza rozwija się stale, dzięki bogactwu otaczającej ją gleby, prowadzi handel bawełną i esencjami wonnemi i stanowi przedmiot czułej opieki ze strony mandatarjusza.

Anglicy wogóle okazują ciągłą dbałość o dobrobyt materjalny kraju i duże zrozumienie interesów rolnictwa. W miastach protegują ruch budowlany, co rzuca się w oczy nietylko w Jerozolimie, ale i w miejscowościach podrzędnych, po wsiach operują kredytami rolnemi i ulepszają środki komunikacyjne. Przepiękna równina Esdrelonu, przecięta drogami w rozlicznych kierunkach, służy jako dowód tej pieczy, chociaż podobno i za czasów dawniejszych ten śpichrz Palestyny już znajdował się w stanie częściowego rozkwitu: nie zmogła go nawet niedołężna gospodarka turecka, chociaż dużo żyznej ziemi leżało odłogiem. Teraz stosunki szybko się zmieniają, bo nowy władca chce przez swą dbałość

zatrzeć pamięć o panowaniu półksiężyca. Zadanie wdzięczne i niezbyt trudne, przynajmniej w stosunku do Turków.

Do jakich absurdów dochodziła polityka turecka w stosunku do inowierców, ze szczególnem uwzględnieniem katolicyzmu, niech posłuży przykład z innej dziedziny, zaczerpnięty z prac asumpcjonistów. W Nazarecie znajduje się kościół, który w podziemiach swoich kryje grotę Zwiastowania, gdzie «Słowo stało się Ciałem». Na miejscu tem, już zapewne za czasów Konstantyna, wznosiła się bazylika, odrestaurowana i upiększona następnie sumptem krzyżowców. Bazylika została zniszczona przez Turków pod koniec XIII-go wieku, a dopiero na początku XVII-go udało się franciszkanom wrócić do Nazaret i zainstalować na tem miejscu małą kapliczkę. Wtedy rozpoczęto starania o zezwolenie na odbudowę kościoła, starania, uwieńczone powodzeniem w sto dziesięć lat później. Lecz o ile na to ustępstwo trzeba było długo czekać, o tyle z budową należało pośpieszyć: bo zgoda Turków została zaopatrzona warunkiem, że budowa kościoła nastąpi pod nieobecność pielgrzymów, udających się do Mekki, i będzie zakończona przed ich powrotem... Trzeba wystrzegać się fanatyków... Franciszkanie dzieła tego dokonali w roku Pańskim 1730-ym, lecz nie było czasu na zharmonizowanie nowej budowy z pozostałą ruiną, pracowano bez przerwy nad wzniesieniem murów i pokryciem świątyni. Naturalnie, pośpiech ten wycisnął swoje piętno na całym charak-

terze budowy, chociaż zapewne dokonano różnych wykończeń, a może i zmian już po powrocie fanatycznych pielgrzymów.

Nazaret, miejsce tak ściśle związane z życiem Chrystusa, posiada cały szereg pamiątek i relikwij, odwiedzanych masowo przez wiernych. Niektóre z nich dopiero teraz doczekały się własnych sanktuarjów, powstają nowe świątynie i kaplice, narazie świecące jeszcze białą wyprawą wapienną swoich niewykończonych wnętrz. Pod względem architektonicznym miasto jest ubogie w zabytki, a wyróżnia się swem pięknem położeniem, obfitością malowniczych widoków i złym charakterem ludności. Pod tym względem nic się podobno nie zmieniło od czasów ewangelicznych, kiedy określenie kogoś, jako Nazarejczyka, już przedstawiało pewnego rodzaju zniewagę.

«Casa Nova» nazaretańska pozyskała uznanie pani Wandy, a doświadczenie, nabyte poprzednio przez obcowanie z prowincjonalnymi przeorami, zapewne ułatwiło tutaj drogę do porozumienia i usunęło tematy drażliwe z rozmów, prowadzonych na tym terenie. Pani Motwidowa pozostawała więc w gościnie u franciszkanów przez czas naszych wycieczek «górskich». Zaczęliśmy od przesławnego Karmelu, z klasztorem karmelitów bosych i grotą proroka Eljasza, czczonego przez okoliczną ludność bez różnicy wyznania. Potężny prorok, zdaje się, dzisiaj jeszcze budzi postrach wśród Galilejczyków, a dziwnym zbiegiem okoliczności jest jednocześnie

uważany za szczególnego opiekuna i protektora dzieci, podlegających postrzyżynom w grocie sanktuarjum. Uroczystości takie są otoczone wielką pompą i połączone z tradycyjną kawalkadą... oraz kanonadą, co zapewnia młodemu obywatelowi maksimum szans powodzenia w życiu. I są podobno także bardzo malownicze, dzięki barwności tradycyjnych kostjumów, zachowanych przez ludność, głęboko przywiązaną i do swych obyczajów, i do dzielnych karmelitów, promieniujących dobroczynnie z tej samotnej fortecy górskiej na cały kraj i daleko poza jego granice.

Ale dopiero na Taborze doceniliśmy obadwaj z Pawłem, jak szczęśliwie się stało, że ozdoba naszej ekipy turystycznej nie przyjmowała udziału w tych eskapadach górskich. Bo u celu tej wycieczki pierwszą rzeczą, która się rzuca w oczy wędrowca, to wielki mur kamienny, oddzielający dominjum Greków od klasztoru franciszkańskiego. Nowy osad goryczy pozostałby w duszy pani Wandy, a tak skończyło się wszystko szczęśliwie, chociaż wszechobecność grecka i nam już trochę dokuczać zaczęła. Ale i wędrówka po Palestynie miała się już ku końcowi.

Góra Tabor, góra Przemienienia w myśl interpretacji tekstów, zawsze, nawet przez żydów, uważana była za górę świętą narówni z Górą Oliwną, z Garizim i Synajem. Sytuacja jedyna czyni z niej doskonały punkt obserwacyjny, skąd można objąć wzrokiem szerokie połaci kraju, całą niemal Gali-

leę, wybrzeże morskie i ciche okolice jeziora Genezaret. Nieopodal krzyżują się wielkie trakty odwieczne, i ten, który prowadzi z Egiptu do Damaszku. Położenie to, nieocenione czasów pokoju, było źródłem licznych niebezpieczeństw, gdy wybuchały wojny, bo walki często koncentrowały się u stóp świętego wzgórza. A było ich dużo od czasu, gdy ludzkość dzieje swoje pamięta: tu Debora hymnem sławiła swoje zwycięstwo, tu walczył Gedeon, tu Saul zemstę wywarł na Filistynach. Tutaj wreszcie — przechodząc do epoki nam bliższej — Kléber byłby głowę położył w nierównej walce z Turkami, gdyby nie genjalne okrążenie nieprzyjaciela przez nadciągającego od strony morza Napoleona. Ze spodziewanej klęski wyrosło zwycięstwo wiekopomne: «Mont Thabor».

Z Nazaretu wyruszamy w daleką drogę przez Kannę Galilejską (Grecy zainstalowali tutaj stągwie z godów weselnych), przez miejsca ewangeliczne, mniej lub więcej ściśle związane z życiem Chrystusa, posuwamy się ku terenom, gdzie rozegrała się największa i ostateczna walka pomiędzy triumfującą potęgą Saladyna i armją krzyżowców, prowadzonych przez nieudolnego Wita z Lusignan, ostatniego króla Jerozolimy. Bitwa pod Hattin, rok 1187-my, arcytwory męstwa i poświęcenia idą na marne, król głową przypłaca i własną śmiałość, i błędy, własne i cudze. Drzewo Krzyża uwieziono do Damaszku.

A dalej jezioro Tyberjadzkie, Genezaret w Piśmie,

o najpiękniejszych lazurach i kolorytach, o jakich myśl artysty może zamarzyć. Jezioro, związane w umyśle każdego z całą siecią wspomnień ewangelicznych, nauk i cudów, niegdyś otoczone szeregiem miast i osiedli — Magdala, Kafarnaum, Bethsaida z najbardziej znanych — dzisiaj nie odbija już w swych falach dawnego splendoru i bogactwa, co się było rozsiadło na jego brzegach. Z dumnej stolicy tetrachy pozostała nędzna mieścina w Tyberjadzie; Kafarnaum zniknęło z oblicza ziemi, i dotąd są prowadzone spory teoretyczne o miejsce, gdzie się niegdyś znajdowało; inne miasta uległy takiemuż lub podobnemu losowi, bo spełnić się musiały przepowiednie Chrystusowe, i oblicze Boga odwróciło się od tych stron, gdzie cuda się stały, lecz gdzie nie było pokuty... I «znośniej będzie ziemi Sodomitów w dzień sądny» (Mat. XI, 24).

A jezioro, piękne i lazurowe, niebezpieczne podobno w chwilach burz niespodziewanych, długo powraca przed oczy, wyłaniając się jeszcze nieraz z za skalistości przydrożnej lub u wylotu wąwozu, którym zadyszane motory mozolnie pną się wgórę. Jeszcze gdzieś zdaleka zabłyśnie jego tafla lustrzana, a potem droga wśród otoczeń kamiennych prowadzi na północ, ku strzeżonym granicom mandatów, i dalej ku bramom świetnego i niewidzialnego Damaszku.

I to są ostatnie wrażenia, wywiezione z Ziemi Świętej.

ROZDZIAŁ XII

DAMASZEK

Każdy, kto się zbliża do Damaszku, jest opanowany przez ciekawość zobaczenia tej «perły Wschodu», tem bardziej, że, o ile Bagdad nie wchodzi w plany podróży, jest to najbardziej wysunięta placówka dla przygodnego orjentalisty. I tylu mistrzów pióra wierszem i prozą sławiło jego piękności, i tylu ludzi inteligentnych opisywało rozczarowania, przeżyte nad strumieniami Barady, że w umyśle turysty powstają wątpliwości i niepewność, w jakim obozie on właśnie się znajdzie: tych zachwyconych, czy też malkontentów? Autorytet Mahometa przechyla może szalę na korzyść stolicy Omajadów, bo, jak wiadomo, prorok unikał Damaszku, ponieważ nie można dwukrotnie wnijść do raju... Jako mąż, pełen przewidywania, rezerwował sobie lepszą cząstkę w postaci raju pozagrobowego, a niektórzy mężowie polityczni ostatniej doby żałują zapewne, że nie poszli za jego przykładem. Zresztą nie jest wyłączone, że Mahomet się mylił.

Ale wrażenie, to pierwsze, to, które pozostaje, jest naprawdę bardzo silne. Skądkolwiekby się przyjeżdżało, czy to przez Antyliban, czy to od strony pustyni, ma się za sobą ponurą i dokuczliwą drogę, której kres zbliża się zawsze zbyt powolnie. Więc gdy wystąpią na horyzoncie kontury tego wielkiego bądź co bądź miasta, spowite w zieleń ogrodów, znaczne wyskokami minaretów i imponujące swoją rozciągłością; kiedy następnie potoki Barady, przecinającej tylokrotnie «perłę pustyni», orzeźwią wzrok, przyzwyczajony do skał i piasków, — jakaś fizyczna radość wstępuje w serca, nawet dzisiaj, przy ulepszonych środkach komunikacji i krótkich etapach podróży. Radość tę jeszcze silniej musiały odczuwać poprzednie pokolenia, przywiązane do konia i wielbłąda, a skłonne jednak do tych dalekich, męczących i jakże nudnych podróży!

Oprócz miast obojętnych są takie, w których ktoś czuje się źle lub dobrze, bez skali pośredniej i bez żadnego powodu. Damaszek należy do tej drugiej kategorji, i nasza trójka turystyczna, niezawsze jednomyślna, zgodnie to stwierdziła już w chwili przyjazdu. «Oko Lewantu» jest wesołe. Przez swój ruch uliczny, przez tempo życia, przez różnorodność strojów, przez donośne krzyki przekupniów, przez temperament widoczny, choć niezrozumiały, wciąga odrazu przybysza w swoje misterja egzystencji i wypuszcza go tylko chwilowo z tego kręgu zainteresowań, kiedy ma zwiedzić jakiś meczet okazały, jakieś przyczynki do sławy Oma-



BAALBEK: WIELKI DZIEDZINIEC

jadów, jakiś grobowiec srogiego wodza... Pozatem trzeba żyć życiem ulicy damasceńskiej, bo inaczej nie można. Przed hotelem — «Orient» się nazywa i jest wschodni w złym gatunku — trajkocze i poświstuje «jazz-band» miejscowego stempla: jakieś kobzy, piszczałki, oboje, okaryny, umiejętnie zażyte przez fajfrów różnego autoramentu, wydmuchują melodję rytmiczną, chociaż monotonną; ktoś tańczy w tym zgiełku, zdaje się Czerkiesi czy Cyganie, zaprawni do figur solowych i efektów choreograficznych. Nie można dojrzeć, bo gawiedzi zbiła się gęsta masa, a nikt zdobytego mozolnie miejsca nie ustąpi. Sprzedają jakieś łakocie wątpliwego gatunku i pochodzenia, które «Bóg żywiciel» — często to imię jest wspominane — niezawsze chyba przeznaczał do wzajemnego podtruwania się ludzi pomiędzy sobą. Ale zabawa wre w całej pełni, a potem gdy werwa osłabnie, czy też bakczysze dla muzykantów skąpiej płyną, przenosi się ta cała impreza z trajkotem i hałasem gdzieś dalej, ku bazarom lub w odwrotnym kierunku, i po chwili już z odległości dochodzą znowu odgłosy wznowionej uciechy. Wszystkie typy i ubiory, które kolejno przesuwały się na Wschodzie, tutaj widzi się w skupieniu, i tylko czasem wśród tej malowniczości miejscowych kostjumów mignie niebieski mundur i czerwona czapka sztabowca francuskiego, lub płaszcz spahisa, kryjący pod swą jaskrawą barwą zdobny uniform europejski. Nikt na to nie zwraca uwagi, bo zapomniano narazie, że jeszcze przed paru laty te same może dłonie kiero-

wały na miasto działa wielkiego kalibru, a znowu o dawniejszych rzeziach, kiedy Damaszek pławił się w potokach krwi chrześcijańskiej, wspomnienia zatarły się w pamięci «Franków», dzisiejszych opiekunów i panów Damaszku, Libanu oraz innych «państw», powstałych na gruzach dawnych paszałyków. Tymczasem jest idylla i spokój, a na jak długo, tego nikt nie wie. Allach jest wielki i trzyma w ręku nici przeznaczeń.

Zresztą, gdyby tu się znowu zakotłowało — raz więcej, raz mniej — to także nikt na to nie zwróci uwagi szczególnej, bo w tej «antykamerze rajskiej», w tem «oku» i w tej «perle» rzadkie bywały okresy ciszy, a burze szalały prawie bez przerwy. Prastary to gród, ten święty Damaszek, założył go pono wnuk Sema, a Abraham, podczas wędrówki z Mezopotamji do Palestyny, zatrzymał się już w jego murach. Damaszek przechodził przez panowanie żydowskie, asyryjskie, chaldejskie, rzymskie, bizantyjskie i przez najścia Persów, a więc przez te same mniej więcej koleje, co cała Syrja i sąsiadująca z nią Palestyna: «położył się, jak wielbłąd pod ręką islamu», cytuje któryś z kronikarzy, opisując zwycięstwa Omara, a następnie twardo przeciwstawił się wszelkim zakusom krzyżowców. Dopiero hordy tatarskie, prowadzone przez Tamerlana, skruszyły jego potęgę i wielkość, zrujnowały jego przemysł i zrabowały nawet tajemnice i sekrety, podług któ-

rych hartowano tutaj stal damasceńską, przedmiot podziwu — i trwogi — świata całego.

A pod rządami tureckiemi, które trwały długo i ciążyły bezmiernie, starano się obrabować duszę Syrji, zniszczyć jej cywilizację i zniszczyć naród w więzach nieuctwa i barbarzyństwa. Bo jeżeli dotąd Syryjczyk jest synonimem i uosobieniem wszystkich grzechów głównych i paru ponadto, to nie należy zapominać, że jest to niezaprzeczenie dziełem Turków, i że kraj ten przechodził był przez bujny okres cywilizacyjny pod wpływami Grecji, Imperjum Rzymskiego i pod mądremi rządami kalifów z dynastji Omajadów. Przepowiadać przyszłość jest rzeczą niewdzięczną, lecz Syrja może okazać się krajem niespodzianek wskutek budzącego się tam obecnie coraz silniejszego poczucia nacjonalizmu. Rywalizacja potęg europejskich, która wypełniła na tym terenie cały wiek ubiegły i nie uspokoiła się bynajmniej po załatwieniu sprawy mandatów po wielkiej wojnie, dolewa naturalnie oliwy do ognia, a wobec obfitości materjałów palnych wiadomo, czem to się może skończyć. A może nawet i niewiadomo.

— Pan nie czytał powieści Benoita na tematy libańskie? — dziwiła się pani Wanda. — Pan nie wie, że chodziła tutaj nowa «châtelaine'a», współczesna edycja lady Estery? I to jest przygotowanie literackie do podróży na Wschód? Renan, Lamartine, Chateaubriand — i na tem koniec? Może to

z winy Turków pan nie ma czasu na najbardziej ekscytujące lektury?

Wychodziliśmy z meczetu «wirujących derwiszów», starannie zamkniętego przez Francuzów, którym to bractwo niemało sprawiało kłopotów, zwłaszcza w sezonie ekskursyj do Mekki. Przysiedliśmy na ławie na pięknym podwórcu — Damaszek innych nie posiada — i przyglądaliśmy się niebieskim szlakom fajansów perskich, tak dostojnie zdobiącym co starsze meczety wschodnie. Jacyś Anglicy, którzy poprzednio już Pawła zaczepili w hotelu, snuli się za nami dotąd, a teraz zniknęli w bramie wchodowej. Pani Motwidowa cieszyła się, że ją «szpiegują», i recytowała wszystko, co wiedziała o wywiadach i kontrwywiadach, zabarwiając wiadomości finezją kobiecą.

— «La châtelaine du Liban» to jest trochę podkoloryzowana, a podobno trochę brana z natury, wnuka lady Stanhope, jeśli tak wolno powiedzieć. Kasztelanka ma takie same tęsknoty i trochę mniej skrupułów, ale nie o nią chodzi, ale o to, że nasi przyjaciele i nasi sojusznicy — pan rozumie, że mówię o Anglikach i Francuzach — płatają tu sobie wzajemnie najgorsze figle przez różne «intelligence service» i «drugie» oddziały, o czem my nic nie wiemy. Benoit powiada...

— No, jeśli pani teraz powieściopisarzom wierzy — przerwałem trochę dotknięty własną ignorancją.

— Można wierzyć lub nie — replikowała pani

Wanda — ale przedewszystkiem trzeba wiedzieć. A pan zapewnie nie wie także, że Suriya jest rodem z Damaszku?

I tego nie wiedziałem, a co gorsza nie zorjentowałem się, że chodzi o małżonkę Amanullaha. Słyszałem, że pomiędzy Afganistanem a Damaszkiem istniały zawsze związki przyjaźni i religji, gdyż ludność i tu i tam należy do sunnitów, ale miejsce urodzenia zdetronizowanej królowej nigdy nie wchodziło w krąg moich zaciekawień.

— Tak, panie — triumfalnie wywodziła pani Wanda. — Tu jest siedlisko postępu i feminizmu muzułmańskiego.

Teraz zaprotestowałem ze szczerem oburzeniem: w Damaszku, jako żywo, nie wolno myśleć o zmianach w Koranie — i w sytuacji kobiet.

— Stąd pochodzą pionierki ruchu kobiecego na Wschodzie — wyjaśniała pani Wanda — Naleh-Hanum, nieprzyjaciółka Dżemal-baszy i Suriya, która odsłoniła oblicze...

— Co jej wzięto za złe w ojczyźnie — wtrącił Paweł.

— I pokazała nogi — uzupełniłem hymn pochwalny. — To znowu nie podobało się w Europie.

Pani Wanda, zaskoczona atakiem męskiej solidarności, szukała odwetu.

— Ale to jej nie przeszkodziło mieć ośmioro dzieci — wywnioskowała logicznie — feminizm u mężczyzn dąży do rozwodów, a u kobiet — do zrzucenia «czarczafów». Przynajmniej tu na Wschodzie.

Ponieważ nie mieliśmy zamiaru kruszyć kopje o reputację Mustafy-Kemala, do którego tu wyraźnie pito, więc zostawiliśmy w spokoju «ghaziego» i jego eksmałżonkę, piękną Latifeh-Hanum. Zgodziliśmy się, że feminizm w krajach Mahometa nie jest jeszcze na dobrej drodze — i poszliśmy oglądać ciekawości Damaszku.

Rywalizacja franko-angielska na terenie Syrji datuje się właściwie od czasów Bonapartego, a końca jej jeszcze nie widać, o ile sprawom przyjrzeć się zbliska. Mandat obecny Francji — jakże zasłużony, chociażby przez dzieła misjonarzy francuskich — wprowadza ją oficjalnie na teren stałych zabiegów Albjonu, skierowanych poprzez kraje islamu ku dalekim Indjom. Żywioł tubylczy nie jest tylko przedmiotem gry, lecz często i jej podmiotem, co dzięki pewnemu wrodzonemu sprytowi i przebiegłości przywódców jest rzeczą zrozumiałą. Może wśród nich znajdzie się jeszcze kiedy człowiek, obdarzony takim talentem i siłą woli, jak Dżazzar-basza, ten, który właściwie pokrzyżował i zniweczył plany kampanji Napoleona.

Przecież wyprawa egipska została zdecydowana przez Dyrektorjat w czasie walki pomiędzy Francją a Anglją, która, jak mówią Francuzi [1]), starym zwyczajem odszukała kogoś gotowego do ofiar i poświęcenia swoich żołnierzy za jej sprawę. A więc w da-

---

[1]) Histoire de Syrie, R. Thoumin, Beyrouth, p. 293.

nym wypadku znaleziono Wysoką Portę. W Syrji z jej ramienia działał Dżazzar, posiłkowany z morza przez komandora Sydney Smitha i flotę angielską. Ludność miejscowa czeka na rezultat walki, a kiedy, pomimo zwycięstwa pod Taborem, wódz Franków napróżno szturmuje Akkę (St. Jean d'Acre), wpływy Dżazzara biorą górę. Bonaparte wraca do Egiptu, a wkrótce potem do Europy, po wawrzyny w bitwie pod Marengo. Kiedy pierwszy konsul i cesarz wybiega myślami na Wschód, bo zawsze go pociągają drogi Aleksandra, Syrja o nim już dawno zapomniała. A na miejscu pozostał komandor Sydney Smith.

Od tego czasu gra lewantyńska Anglji jest rozpoczęta. Droga morska do Indyj prowadziła wtedy przez przylądek Dobrej Nadziei, lecz kontynentalna, od morza Śródziemnego, opiera się zawsze o Aleppo i Damaszek, co Bonaparte zademonstrował przekonywająco przez swoją wyprawę. Odtąd więc Syrja wchodzi w orbitę działań angielskich, a jednocześnie na tymże terenie rozwijają się apetyty Rosji, nowej opiekunki prawosławia greckiego, i odwieczne wpływy Francji, obejmujące również Liban i Palestynę. Turcja się nie liczy, lecz z jej indolencji powstaje trzeci i najpoważniejszy konkurent Albjonu na terenach syryjskich: Egipt z bitnym Ibrahimem i doskonałą armją, ćwiczoną przez Francuzów. Anglja usadowiła się w Adenie, Francja — w Kairze, a Ibrahim — w Damaszku. Jego rządy są niepotrzebne, gdyż poprzednia anarchja

lepiej odpowiadała planom angielskim. Pomimo sojuszu z Francją należałoby raz z Ibrahimem skończyć, naturalnie przy pomocy Wysokiej Porty. Jak na złość Turcy, prowadzeni przez Moltkego, dali się pobić, i trzeba było zorganizować rewoltę Druzów, ażeby rezultaty kongresu londyńskiego znalazły swe uzasadnienie. Turcja wróciła do Syrji, a Ibrahim — do Egiptu.

Ale z Turkami wróciła i swoista anarchja. Teraz Druzów, sojuszników Anglji, poczęto wygrywać przeciwko katolickim maronitom, sympatykom Francji. Z tego powodu w górach ciągle się kotłowało, a temperatura górska oddziaływała na Damaszek, gdzie basza nie miał ani autorytetu, ani pieniędzy. Upadek ekonomiczny kraju był zupełny, zajmowano się tylko walkami religijnemi — i napadami Beduinów. «Synom pustyni» działo się w tym okresie nienajgorzej.

Od roku 1858-go zaczyna się trzebienie chrześcijan pod okiem opiekuńczem władzy. Basza z Damaszku, wraz z kolegami z innych wilajetów, uważa Druzów i chrześcijan za główne plagi syryjskie, które, ku zadowoleniu Wysokiej Porty, tępią się wzajemnie i wyniszczają. Taki punkt widzenia i odpowiednia polityka doprowadzają do rzezi 1860-go roku w okresie Ramadanu. Święci triumfy fanatyzm — i ksenofobja, liczba ofiar idzie w tysiące, pomimo akcji ratowniczej Abd-el-Kadera, emira marokańskiego, osiadłego w Damaszku. Interwencja Francji, mandatarjuszki Europy, daje

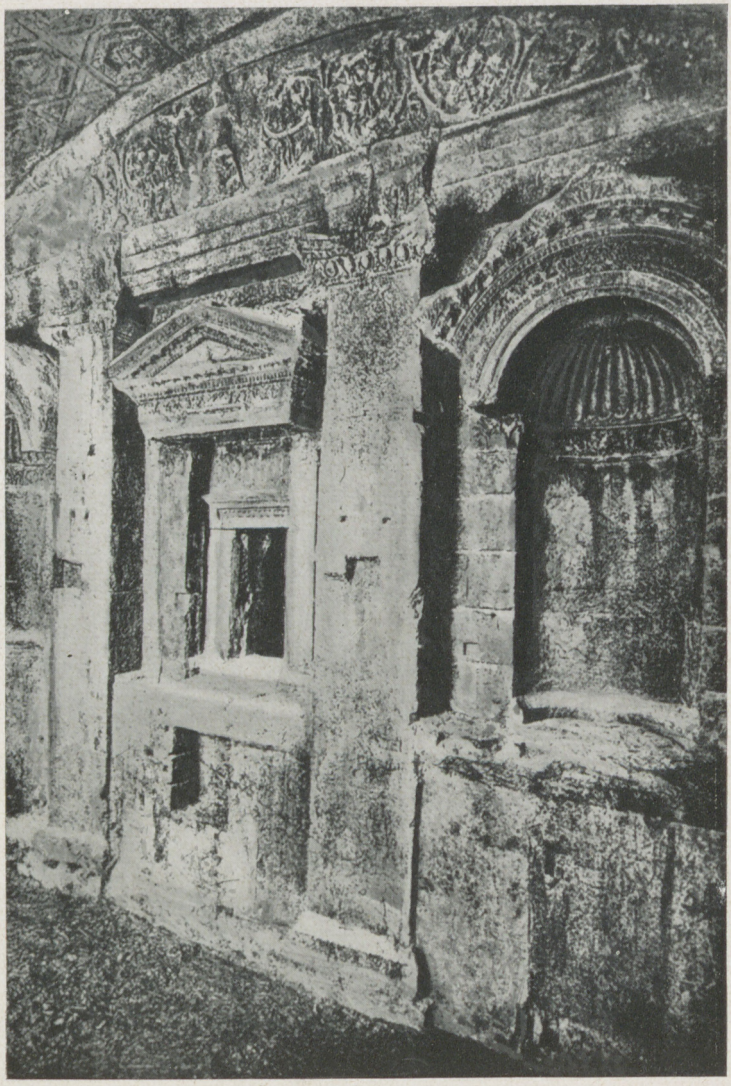

BAALBEK: DEKORACJA ŚCIENNA

tylko nikłe rezultaty, ponieważ w kulisie przeciwdziałają wpływy angielskie. Chrześcijanie emigrują z Damaszku i osiedlają się na wybrzeżu morskiem.

Reformy Abd-ul-Azzisa nie dosięgają Syrji. Kraj pozostaje bez oświaty, bez środków komunikacji, wydany na łupiestwo podatkowe bez zwrotów inwestycyjnych. Przemysł jest słaby, a rolnictwo, ostoja dobrobytu, w zupełnem zaniedbaniu. Rządy Abd-ul-Hamida, reakcyjne w swojej treści, przynoszą pewną poprawę ekonomiczną, dzięki inicjatywie francuskiej — i niemieckiej. W 1903 r. Wilhelm otrzymuje koncesję na budowę kolei bagdadzkiej, której losy ostatecznie ważyły się dopiero w czasie wojny. Pod względem politycznym w Syrji i za Abdul-Hamida panują stosunki opłakane: brak swobód obywatelskich; waśnie religijne i rasowe trwają w całej pełni, a sprawa żydowska powiększa liczbę drażliwych problematów.

Ruch młodo-turecki («Zjednoczenie i Postęp») nie znajduje na terenach Azji Mniejszej trwalszego echa, lecz, pomimo to, wywiera wpływ pierwszorzędny na sytuację kraju i ostateczne ugruntowanie wpływów Berlina. Niemcom chodzi o zbyt artykułów przemysłu, nie uwarunkowany ustępstwami, uciążliwemi dla ojczystego rolnictwa. Wilhelm II-gi mówi o sympatjach dla islamu, a «Reisender» niemiecki zdobywa tereny ekspansji — oto obraz sytuacji przed wielką wojną, obraz, na tle którego rysuje się sylwetka germanofila Envera-baszy i jego przyjaciół. Francja, zdegradowana opiekunka i wy-

chowawczyni Syrji, zajmuje się sprawami szkoły, oświaty i obrony języka arabskiego. Broni pierwiastków intelektualnych i ideowych, rozbudza je nawet w narodzie, obojętnym i biernym w stosunku do swych praw przyrodzonych, i po wojnie powraca na tereny dawnego apostolstwa, lecz już w nowym charakterze: mandatarjuszki Ligi Narodów, a więc tymczasowej guwernantki, której rządy powinnyby ustać z chwilą, gdy Syrja, teoretycznie niezależna, dojrzeje do błogosławieństw nieograniczonej wolności.

W tem najogólniejszem, a już przydługiem, zestawieniu faktów historycznych, dotyczących Syrji w ostatnich stu kilkudziesięciu latach, starałem się uwypuklić «niebezpieczeństwa terenu», miejscowe i grożące z zewnątrz. Przecież już wiemy — a Talleyrand mógłby to uzasadnić — że nieraz i «entente cordiale» i nawet sojusz anglo-francuski nie niweczyły konkurencji tych dwóch państw na wschodnich wybrzeżach morza Śródziemnego, i historja z przed stu lat mniej więcej się powtarza lub powtórzyć może, jak zaręczają na miejscu ludzie rzeczy świadomi. Proroctwa takie należy przyjmować ostrożnie, bo i kompetencja proroków jest trudna do ustalenia dla cudzoziemca. Ale że mandatarjusze po sąsiedzku przyglądają się zamiarom i kłopotom wzajemnym, a czasem, w stosownej chwili, przyczyniają się do wzmożenia tych kłopotów przez odpowiednie posunięcia, to zdaje się dość prawdopo-

dobne, bo zbyt często temat ten powraca w rozmowach z przedstawicielami przeróżnych środowisk, a oświetlenie pozostaje zawsze to samo. Niedawną rebelję Druzów wszyscy mają jeszcze w pamięci.

— Tu się zaczęła ta smutna historja — opowiadał znajomy mój Francuz, z którym razem zwiedzaliśmy pałac Azem, dawną rezydencję gubernatora za czasów generała Sarraila — powstańcy spalili jedno skrzydło pałacowe. Potem już poszła lawina przez całe miasto. Druzowie od początku byli niezadowoleni, że mandat nad Syrją, który podług nich powinien był przypaść Anglikom, otrzymała Francja. Już podczas okupacji zastrzelili nam admirała Morneta — miał za dużo galonów, więc wzięli go za Wysokiego Komisarza — a potem i myśmy popełnili niemało błędów. No, i ta nieszczęśliwa historja «de la femme druse»!

Jest to najbardziej zakonspirowana historja damasceńska, o której często tutaj mówią, a której nikt nie zna. I mój Francuz także niewiele wiedział. Podobno losy jakiejś uprowadzonej — powiedzmy «uwiedzionej» — niewiasty druzyjskiej ciężko zaważyły na szali w chwili wybuchu rewolty. Druzowie zażądali od Francuzów zwrotu niewiernej, na co ani ona, ani jej kochanek nie chcieli się zgodzić, a co gorsza i gubernator stanął po stronie praw miłości — «les droits sacrés de l'amour». A że chociaż dawno, lecz niezbyt daleko walczono już historycznie o też prawa pod Trają, więc tutaj jakoby

powtórzyła się historja. Padła iskra na suchy proch — i rozpoczęła się walka.

Pani Wandzie opowieść nie trafiła do przekonania. Ponieważ Francuz śpieszył się na jakieś śniadanie i zostaliśmy sami, rozpoczęła krytykę historyczną.

— To jest romans skomponowany w Paryżu, a przeniesiony na grunt tutejszy — twierdziła stanowczo. — Pański Francuz jest, tak samo jak my, po raz pierwszy w Damaszku i opowiada zasłyszaną tutaj historję, którą Angielki w hotelu karmią się przez cały obiad, bo i tak nic jeść nie można. Niech pan sobie zanotuje, jeśli pan dotąd tego nie zauważył, że na Wschodzie nie należy dotykać kobiet i Koranu, pozatem wszystko wolno. A dla Druzów, Alawitów i wszelakich Syryjczyków mam najgłębszą sympatję i współczucie.

Ale był to dzień fałszywych orjentacyj. Po południu sympatje syryjskie mojej kuzynki poczęły gasnąć, a wieczorem, gdyśmy wrócili z wycieczki po bazarach, rozwiały się nawet bez śladu. Wobec scen, które się rozgrywały w «Oriencie», zbladło wszystko, cośmy niegdyś przeżyli z «dobrymi kupcami» w Aleksandrji. A przy wyrównaniu zapłaty, uskutecznionej w frankach francuskich, otrzymała pani Wanda także i funty syryjskie, niechęć do których wywołała całą dyskusję polityczną i srogie zarzuty Syryjczyków pod adresem Pawła, awansowanego na «Franka»: Francuzi — opowiadano nabywcom — gnębią wolność polityczną Syrji i nie

uznają jej waluty; chociaż sprzedajemy we frankach i w nich zapłatę odbieramy, chyba przysługuje nam prawo wydawać resztę w naszych funtach, a co kto z nimi zrobi, to już jego rzecz. Mamy dosyć swoich kłopotów...

Ten uproszczony punkt widzenia nie zyskał jednak aprobaty ogólnej i po długiej dyskusji, podczas której dragomani walczyli o słuszną sprawę, kupcy syryjscy oddali przygotowane już poprzednio franki i poszli na dobrze zasłużony spoczynek. I w «Orient-cie» zapanowała cisza, ale pani Wanda cofnęła swoją sympatję przemyślnym Syryjczykom.

ROZDZIAŁ XIII

DAMASZEK — BAALBEK

Smutne doświadczenia handlowe odsunęły nas od bazarów i skierowały ku przeszłości historycznej. Obejrzeliśmy więc starannie miejscowości, w których nastąpiło nawrócenie św. Pawła, kilkakrotne, jeśliby wierzyć wskazówkom przewodników, poczem, dla wyczerpania wrażeń, pozostawał tylko meczet Omajadów. W ten sposób spłacaliśmy dług rozsądku, a nie zapału turystycznego, bo modlitewni muzułmańskich mieliśmy za sobą już sporo, i nikt nie spodziewał się rzeczy nowych i nieznanego piękna. Więc świątynia damasceńska była prawdziwą niespodzianką, i warto było obuwać «babosze», aby jej zbliska się przyjrzeć.

Piękne są przedewszystkiem pozostałości po starożytnej świątyni Jowisza wraz z łukiem triumfalnym i kolumnadą, naturalnie w stanie ruiny i zaniku, wymagającego od widza pewnego wysiłku odtwórczej fantazji, ale piękny także jest olbrzymi podwórzec meczetu, wyłożony flizami kamiennemi

i otoczony przez gmachy modlitewne, które nieraz dzielono pomiędzy chrześcijan i muzułmanów na użytek kultu. Pierwotnie na gruzach świątyni pogańskiej powstał wybudowany przez cesarza Arkadjusza (koniec IV-go wieku) kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, lecz uległ on ogólnej konfiskacie w czasie zwycięstw 635-go roku, zachowując jednak w swem posiadaniu część budynków kościelnych. Potem muzułmanie wymienili je na inne sanktuarja chrześcijańskie, a meczet powiększyli i ozdobili, aby mógł zaćmić przybytki innych wyznań i stać się jednym z przedmiotów podziwu i przyczyną wywyższenia Damaszku ponad inne miasta znakomite. Dotąd mówiono tylko o jego klimacie i owocach, o jego wodach i kąpielach, o meczetach, których setki są rozrzucone po mieście: teraz o tem się zapomni, i będzie tylko jedna świątynia w Damaszku, meczet Omajadów, jeden z cudów świata...

Tak planował świątobliwy kalif, Ualid I-szy, lecz pożary i najście Tamerlana nie były przezeń wzięte pod uwagę. Ostatni raz meczet odbudowano po katastrofie ogniowej w 1893-im roku, ale na szczęście i tym razem nie spłonął ani namiot, ani sztandar Mahometa, używany podczas uroczystej pielgrzymki dorocznej do Mekki. Kolumnady korynckie i wielkich wymiarów kopuła stanowią główną ozdobę świątyni, która posiada także specjalne sanktuarjum, gdzie złożona jest głowa św. Jana. Sam fakt jest więcej niż wątpliwy, lecz obecność tej zakratowanej kaplicy, przed którą zawsze pełno modlących

się wyznawców proroka, świadczy o ich specjalnym kulcie dla jednego z filarów kościoła chrześcijańskiego.

Z minaretów rozlegały się żałosne przyśpiewy «muezzinów», gdyśmy nie bez żalu opuszczali słoneczne «cortile» meczetu. Jakiemiś zaułkami prowadził nas przewodnik hotelowy do grobu Saladyna, znajdującego się w tej dzielnicy. Oprócz marmurowego sarkofagu i starych fajansów oglądać tam można i wieniec laurowy, którym cesarz Wilhelm uczcił dawnego władcę Egiptu i Syrji... Chcieliśmy wracać do meczetu, o wiele ciekawszego, niż to mauzoleum wraz z jego admiratorem germańskim, i byłoby się skończyło na paru niewinnych uwagach o stosunkach niemiecko-tureckich i o latającym Holendrze, kiedy w oczy nam wpadła niezwykła scena, rozgrywająca się tuż obok na ulicy, scena z życia rodzinnego.

Przed domem stała kobieta w czarnym czarczafie i prowadziła płaczliwą dyskusję z kimś niewidocznym w głębi sieni. Babina, jak można było dostrzec, przeżyła i pierwszą, i ostatnią młodość, była dobrze podstarzała, a zawodziła tak jękliwie i szczerze, że zbliżyliśmy się bez wahania w nadziei, że potrafimy może dopomóc tej rozżalonej niedoli. Obok stało jeszcze parę czarnych postaci, zapewne zwabionych tak, jak i my, całym tym zgiełkiem i lamentem, a wewnątrz domu na schodach u wejścia rysowała się sylwetka mężczyzny o dzikich oczach i wyniosłej postawie. Arab, sądząc z ubioru, rękami

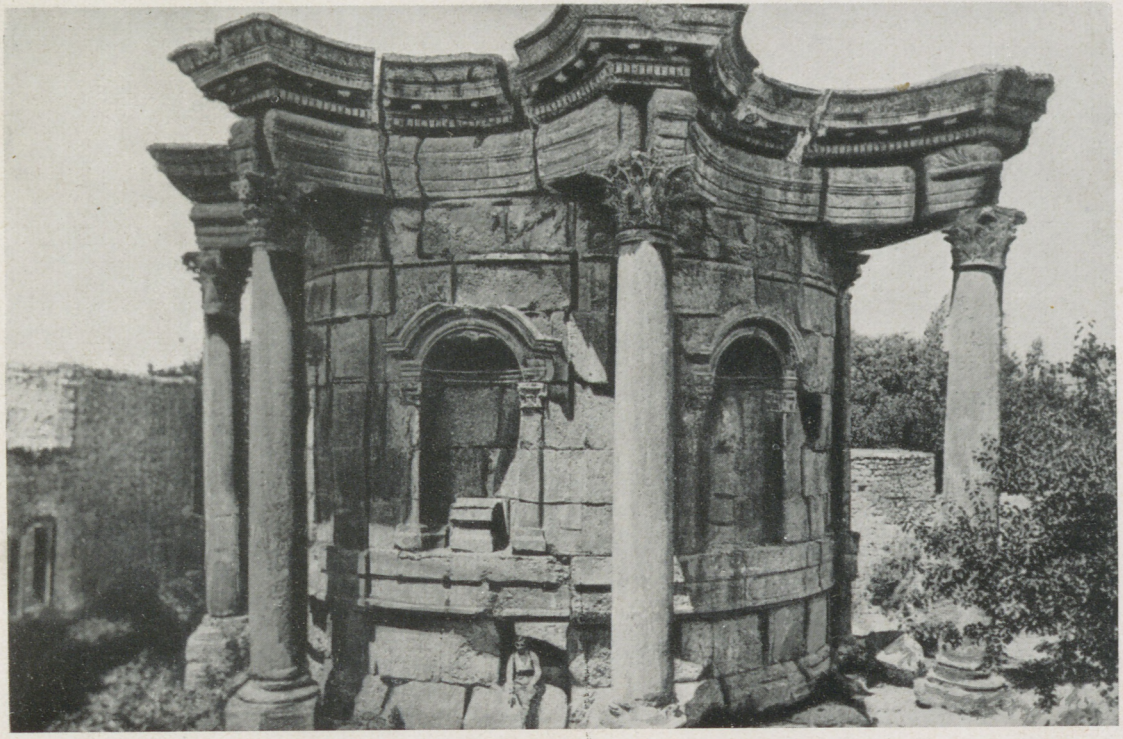

BAALBEK: ŚWIĄTYNIA VENUS-ASTARTE

oparł się o ściany i złym wzrokiem patrzał się na płaczącą kobietę i na zbiegowisko, jakie się koło niej tworzyło. Ani słowem do niej nie przemówił, a babina zawodziła i o coś prosiła.

— Wypędził ją z domu — zawyrokował nasz «guide» po zasiągnięciu języka. — To tutaj często się zdarza, szkoda fatygi państwa.

— Ale dlaczego, dlaczego? — niepokoiła się pani Wanda.

— Stara jest, wziął sobie młodszą — ze spokojem opowiadał przewodnik — stara kobieta jest gorsza, niż złamana noga. Mówią, że już czwartą wygania.

— A to tak wolno? A co z nią będzie?

— Pójdzie na żebraninę. Podobno ciągle się kłóci z młodszą żoną «sidiego» — ironizował nasz mentor — z zazdrości. A teraz się skarży!

Zbiegowisko robiło się coraz większe, babina przyjęła jakiś datek, który jej ofiarowała pani Wanda, i poszliśmy dalej. Jeszcze czas jakiś słychać było rzewne nuty i prośby błagalne. Potem wszystko przycichło, nawet pokutujące jeszcze resztki sympatji do Syryjczyków.

— Przecież to jeszcze barbarzyńcy — orzekła moja rezolutna krewniaczka.

Mniej więcej ten sam błysk myśli musiał przyświecać Francuzom, tylko z innych powodów, kiedy odroczyli «sine die» konstytuantę syryjską. O ile pani Wandzie chodziło o zapoznane prawa ko-

biety w chwili, gdy wydawała swoją bezwzględną opinję, o tyle Francuzom dokuczyły zapomnienia całkowite o przywilejach mandatarjusza. Pan de Jouvenel, następca gen. Sarraila, hołdował polityce zbliżenia; po nim pan Ponsot przeprowadził dość liberalnie wybory do zebrania konstytucyjnego i wobec agresywnej postawy większości nacjonalistycznej sesje izby odraczał, początkowo na krótko, następnie na nieokreślony termin. Ostatecznie trudno mu brać za złe, że otrzymany od Ligi Narodów mandat traktuje na serjo, chociaż parlament syryjski chciałby przejść nad tem uprawnieniem do porządku dziennego, a w państwach sąsiednich autorytet drugiego mandatarjusza uzyskał już aprobatę konstytucyjną. Prawa amnestji i nominacji, przekazane prezydentowi rzeczypospolitej syryjskiej przez zakwestjonowaną uchwałę parlamentu, stoją w sprzeczności z kompetencjami, zakreślonemi przez Ligę Narodów, i Francja w tych warunkach nie mogłaby przyjąć na siebie odpowiedzialności za przyjęte zobowiązania, dotyczące praw cudzoziemców, oraz bezpieczeństwa i obrony kraju... Podczas sprawozdania dorocznego w Genewie ten punkt widzenia został zaaprobowany przez matadorów odpowiedniej komisji, a więc, jeśli mnie pamięć nie myli, przez Van Reesa, margrabiego Theodoli i Beelaerts van Blocklanda. Ale teza genewska nie znajduje poparcia wśród nacjonalistów syryjskich, dążących bez żadnej obłudy i wybiegów dyplomatycznych do skasowania mandatu. Ponie-

waż droga decyzyj międzynarodowych jest zawsze pełna zasadzek — któżby o tem w Syrji nie wiedział — więc naród przemyślny stara się «via facti» o odzyskanie swobody ruchów. Stąd gniewy.

Ale czy te emancypacyjne zapędy Syryjczyków są wytworem ich własnej pracy rozwojowej, czy też pacierzem, powtarzanym «za panią matką»? O tem szeroko król Dawid pisał, wedle przenośni, używanej niegdyś w Polsce, a głos macierzyński Albjonu rozlegałby się zapewne nawet nieco donośniej, gdyby własne kłopoty brytyjskie nie wpływały poniekąd na osłabienie tempa zainteresowań i zaciekawień co do polityki sąsiada. Narazie kłopotów tych namnożyło się bez liku i we własnych mandatach, czy też półmandatach, więc dokształcanie Syryjczyków jest uważane jako «cura posterior».

Bo właściwie dobrze przygotowany i uzasadniony był wyłącznie mandat palestyński, nietyle oparty na układzie francusko-angielskim (Sykes-Picot), ile na akcji generała Allenby. Wskutek tego Francja musiała się zadowolić Syrją bez Palestyny, gdzie jednak plany Albjonu trzeba było nagiąć do wymagań rodzącego się nacjonalizmu arabskiego. Ale tutaj ruch ten nie ma dotąd charakteru rewolucyjnego [1]) i nie grozi narazie komplikacjami, czego powiedzieć nie można już teraz np. o Hedżasie, opanowanym przez Ibn Sauda i jego Wahabitów, którzy duchem rewolty zarazili Transjordanję, Irak i różne «me-

[1]) Wrażenia niniejsze były kreślone przed wybuchem zaburzeń w Palestynie.

dżylisy», wrogie kontroli administracyjnej Anglji. Te aspiracje młodych «pan-Arabów» do własnych rządów i faktycznej niepodległości były traktowane początkowo jak sny chorego człowieka, potem nieco poważniej, i jeżeli ta gorączka nie minie — a ma, zdaje się, wszelkie cechy trwałości — to Anglicy, trzeźwi politycy kolonjalni, będą musieli dostosować się do nowych warunków i na pewno znajdą jakiś «modus vivendi», który nacjonalizmy ugłaszcze, a drogę do Indyj także zabezpieczy. Miejsce i urząd Fejsala zajmie wtedy jaki rewolucjonista w rodzaju Ibn-Sauda, urobionego już na odpowiednią modłę, a w Dżebel-Druz znajdzie się nowy prowodyr, który zakwestjonuje mandat francuski. Zapewne już nie generał Gouraud, ani nawet młodszy od niego, Weygand, lecz ich spadkobiercy «po mieczu» będą atakowali wzgórza Horanu, przemianowanego na Dżebel-Druz, potem nastąpi medjacja, konferencja, a może nawet kongres, który rozstrzygnie, czy wszystkie pięć «państw» syryjskich — Wielki Liban, Aleppo, Damaszek, państwo Alawitów i państwo Druzów — mają pozostać w zależności mandatowej, czy też niektóre z nich już można uważać za dojrzałe? Największe szanse szybkiej «maturitatis» posiadają naturalnie Aleppo i Damaszek, potem Wielki Liban; Alawitów, jako najbiedniejszych, i Druzów, których wojowniczość jest zawsze do wyzyskania, konferencja uzna za niedojrzałych... Oczywiście, hazardując się na tereny wizyj przyszłości, nie można żywić uroszczeń

wygórowanych i ścisłych, lecz ma się wrażenie, że kiedyś, w odpowiedniej chwili na tematy syryjskie będą wznowione rozmówki anglo-francuskie.

Naturalnie w poszczególnych kwestjach są one prowadzone i teraz, a ostatnio sprawa rurociągów naftowych — tej sławnej «Imperial pipe-line» — roznamiętniała umysły mandatarjuszów i przedstawicieli «Turkish Petroleum Co». Chodzi o doprowadzenie nafty do któregokolwiek portu na morzu Śródziemnem. Anglicy mają predylekcję do linji Irak-Palestyna, a akcjonarjusze (Holendrzy, Francuzi, Amerykanie) — do kierunku Homs-Tripoli. Francja, w charakterze mandatarjusza, podziela naturalnie poglądy «kompanji» i broni interesów przemysłu w Iraku, któremu właściwie chodzi o najniższe koszta eksploatacji. Otóż linja Bagdad-Haiffa pochłonie o wiele większe kapitały, niż trasa Deir-Tripoli, nie mówiąc już o niespodziankach możliwych ze strony Wahabitów w razie wytknięcia «pipe-line'y» przez ich terytorja. Niemniej jednak, pomimo uciążliwej kalkulacji, pomimo pozornych niebezpieczeństw, Anglja trwa przy swoim projekcie, a jak twierdzą Francuzi, czyni to wyłącznie ze względów strategicznych. Otóż te «względy» muszą być przeciwko komuś skierowane, jest to rzecz oczywista, i Francja już teraz broni się przeciwko tej polityce przyszłości, co jej przychodzi tem łatwiej, że układ w San Remo daje jej pewne atuty: bo wszyscy sygnatarjusze tego traktatu mają głos we wszelkich sprawach naftowych zarówno na te-

renach Galilei, jak i całej Azji Mniejszej. «Pipe-line» w imię interesów Francji i oszczędności powinna przecinać terytorjum mandatu francuskiego, a Anglicy sprawą ekonomji zbytnio się nie interesują i chcą dostać naftę na «własnym» brzegu. Oto próbka kolizyj interesów, kolizyj, powracających często w innych, zgoła odmiennych postaciach, a przy każdym konflikcie tego rodzaju trzeba pieczołowicie dopilnować, aby nie uszczuplono czyichkolwiek praw. Nie można się dziwić, że Wysokie Komisarjaty są przepracowane.

Kto rezyduje w Syrji, ma jeszcze i drugiego sąsiada, coprawda już mniejszego ciężaru gatunkowego: Turcję. Stosunki Francji z młodą republiką w teorji są doskonałe, a w praktyce nie mogły dotąd rozwijać się normalnie, pomimo paru traktatów syryjsko-tureckich, regulujących współżycie sąsiedzkie. Podobno już usunięto drobne nieporozumienia graniczne, a całokształt polityki francusko-tureckiej będzie ujęty w traktat przyjaźni, nad którym pracuje Fethi-bej, ambasador Angory nad Sekwaną... Zapewne projekty te będą rychło urzeczywistnione, ponieważ kwestyj spornych narazie niema, a zapewne są wspólne i niewypowiadane podejrzenia w stosunku do osób trzecich. W każdym razie główne niebezpieczeństwo przyszłości dla «mandatów» europejskich leży na wschód od ich granic i rośnie wraz z rozwojem nacjonalizmów arabskich, jeszcze niedostatecznie skoordynowanych i zapewne pozbawionych odpowiedniego wodza.

Przy sprzyjających okolicznościach ruch wszecharabski może się zmierzyć na ostre z posiadaczami mandatów, cały spryt których w chwili niebezpieczeństwa będzie zapewne użyty do skierowania tego zapędu przedewszystkiem na terytorjum sąsiada. Anglja ma dużo wprawy w tego rodzaju rozgrywkach, a Francja posiada zato w świecie muzułmańskim o wiele więcej sympatyj, trochę nadwerężonych coprawda w ostatnich latach przez jej finansowe niedomagania. Ale może to się jeszcze wszystko wyrównać, zanim dojdzie do ostatecznej rozgrywki o mandaty, a tymczasem tylko nie trzeba zapominać, że do rozgrywki takiej kiedyś dojść musi i że dla sojuszników naszych może ona być walką na dwa fronty.

Ale kogut galijski i takie walki prowadził zwycięsko — i czasem zapiał ostatni. Może i tym razem przypomni sobie o tej tradycji, i «tricolore'a» jeszcze żywszemi barwami zabłyśnie na tych dalekich lądach, które Francuzi zdobyli pracą, poświęceniem i przewidywaniem przyszłości. Są to właściwie jedyne rzeczy, które się liczą i które ostatecznie triumfować powinny. Więc wpływy Francji nie będą łatwe do usunięcia.

ROZDZIAŁ XIV

BAALBEK — BEJRUT. POWRÓT

Zasiedzieliśmy się w Damaszku ponad miarę naszych przewidywań. I «Teofil», który nas oczekiwał w Bejrucie, dawno już pruł fale w drodze powrotnej do «słodkiej Francji», i inne kolejne statki, na jakie liczyliśmy, opuściły port, zanim zapadła decyzja wyjazdu ze świętego miasta. Ale wszystko ma swój koniec, więc któregoś dnia automobil zawarczał od rana, i wynoszono walizy z sieni hotelowej, co zwiastowało ostatnie etapy podróży: Baalbek-Bejrut, a potem znane już postoje — Konstantynopol, Ateny — kiedy niewiadomo właściwie, czy jest się już w Europie, czy też może jeszcze na Wschodzie? Niestety, niema tutaj tak, jak w Rzymie, owej pięknej «Aqua Trevi», gdzie można drobną ofiarą na rzecz bóstw wodnych zapewnić sobie powrót, rychły i szczęśliwy, do miejscowości zwiedzanych. Wyjazd z «Orientu» miał wszelkie cechy rozłąk ostatecznych, i pewien przypływ smutku odczuwał się w naszej psychice.

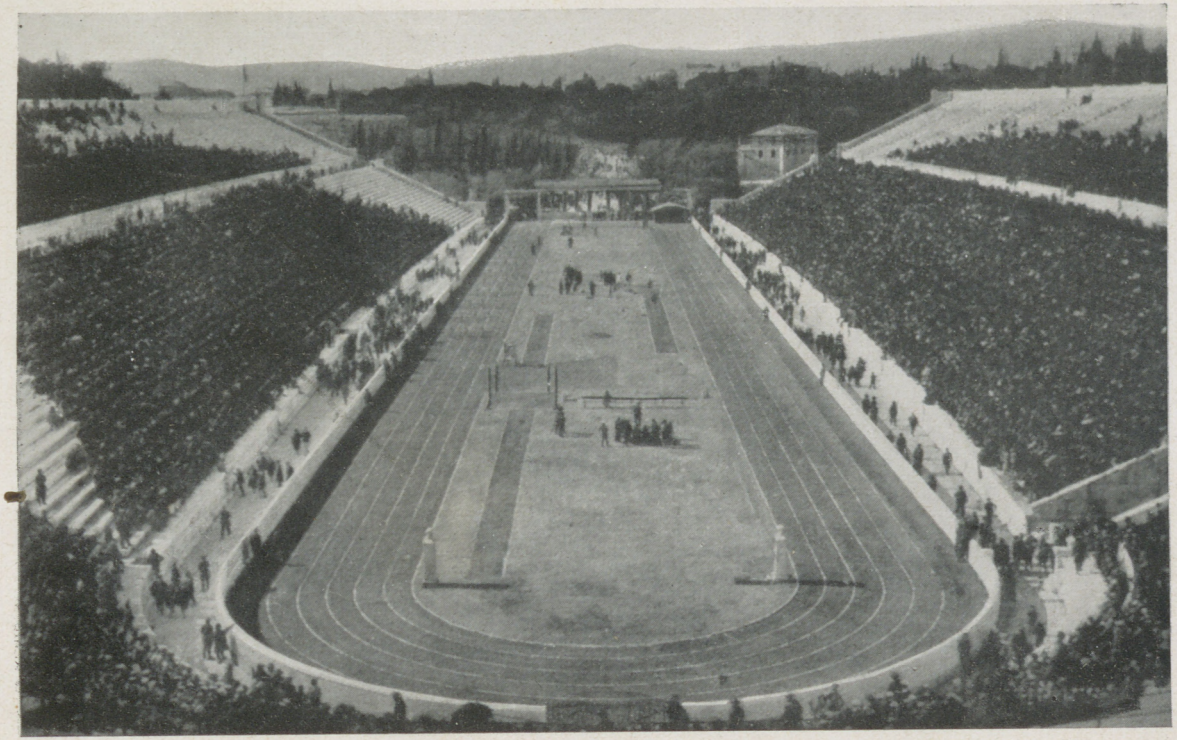

ATENY: STADJON

Ale trwało to krótko. Szofer, tym razem autentyczny Hassan, czasu nie tracił i z całą odwagą ludzi, wierzących w przeznaczenie i jego nieubłagane wyroki, rozwinął z miejsca anormalną szybkość, z czem musieli się liczyć i przechodnie, i żandarmi na posterunkach. Próby legitymowania szofera przy wyjeździe z Damaszku spełzły na niczem — myśleliśmy, że Hassan nie miał licencji na terytorjum francuskie — bo Cadillac sadził z energją, przewyższającą najśmielsze poświęcone mu reklamy, wyrywał jeszcze nad brzegami Nahr-Barady i nie chciał zwolnić tempa nawet na wirażach Antylibanu, kiedy i nam chyżość biegu poczęła się dawać we znaki.

Rozpocząłem pertraktacje, wspomniałem o ostatnich wypadkach automobilowych — tych «wykolejonych» samochodów sporo widzi się po drodze — o wstręcie «milady» do zbyt szybkiej jazdy i o niebezpieczeństwach, na jakie «bakczysz» mógł być narażony w razie niestosowania się do moich wymagań.

Wtedy Hassan mi przerwał:

— Jeżeli pani ma obawy, to będziemy jechali wolniej.

I niby to było «po naszemu». Dragoman jął demonstrować brudnym palcem szczyty Hermonu, jakąś świątynię grecką i grób Noego, a Hassan mitygował swoje zapały do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Lecz gdy tylko usłyszał poza sobą sygnały samochodu, chcącego nas wyminąć, temperament ponosił go ponownie: maszyna skakała po

dołkach, których i tutaj nie brak, a my obijaliśmy się o siebie i o ściany Cadillaca na każdym zakręcie drogi. W niezgodzie z Hassanem dojechaliśmy do Baalbek.

Lecz warto było narazić się nawet na wybryki automobilizmu syryjskiego, ażeby zobaczyć sławne ruiny miasta Baala, bożka słońca, miasta, znanego w starożytności jako Heljopolis, odkąd nazwę tę mu nadali Grecy po zwycięstwach Aleksandra Wielkiego. Heljopol syryjski, drugi już obok egipskiego, poświęcił się kultowi Jowisza, Merkurego i Wenery, następców czy też zastępców bóstw fenickich, i im tu wzniesiono za czasów rzymskich świątynię, zaczętą przez Antonjusza Piusa, a ukończoną przez Karakalę. Miała ona zaćmić reputację dawnego splendoru fenickiego, i przez lat kilkadziesiąt włożono tyle umiejętnego wysiłku i pieniędzy w to dzieło, że współcześni, starym obyczajem, zaliczyli je do cudów świata, a i my dzisiaj z podziwem przyglądamy się dokonanej pracy, chociaż pozostały tylko jej szczątki.

Ogrom tego akropolu — świątynia zczasem zamieniona została na warownię — przyćmiewa wspomnienia Partenonu ateńskiego, a nawet dla laika, niewżytego w zagadnienia historyczne, przedstawia studjum niezwykle ciekawe przez nawarstwienie następujących po sobie kultur i ich pomników. Bo jeżeli ślady Fenicjan zostały starannie zgładzone (takie są rezultaty ostatnich ekspertyz nie-

mieckich), to jednak i «templum» rzymskie, i bazylika chrześcijańska (dzieło Teodozjusza), i przyczynki arabskie do zmilitaryzowania miejsc kultu (cytadela) — wszystko to ostało się, pomimo trzęsień ziemi i spustoszeń tureckich, w zarysach, dających świadectwo wielkiej przeszłości, o której przez czas długi zapomniano. Dopiero w XVIII w. Baalbek został ponownie odkryty, i znakomity Volney czyni go przedmiotem swoich studjów. Od tej chwili popularność akropolu rośnie i zyskuje on sławę «najpiękniejszej może ruiny, jaka egzystuje na świecie», a świadectwo to ma wartość niebyle jaką, ponieważ wyszło ono z ust samego Elizeusza Reclus, sławnego podróżnika, geografa i znawcy przeszłości.

Zdumiewa przedewszystkiem wielkość całego planu. Monumentalne schody, prowadzące do świątyni, które dzisiaj możemy tylko odtworzyć w wyobraźni z drobnego fragmentu rekonstrukcji; przepiękne propyleje (Lamartine tutaj otrzymał wiadomość o swym mandacie poselskim) z kolumnadą o strzaskanych, lecz jakże potężnych blokach granitowych; dziedzińce, wspaniale jeden za drugim rozłożone, przez które podąża się do świątyni chrześcijańskiej i do położonego na tejże osi «templum» rzymskiego — oto części składowe olbrzymiego akropolu, który wchłonął w swoją orbitę i pawilon Bachusa i wieżę arabską o specyficznem przeznaczeniu. Lecz nas to nie razi, bo i Jowisz miejscowy dzierży w dłoni, razem z kłosami, bicz i piorun,

a więc narzędzia kary i zniszczenia, i całość akropolu robi wrażenie, że wznosiły go dłonie ludzi, skłonnych do narzucania swej woli i instaurowania swych rządów «per fas et nefas», ze zgodą rządzonych lub też przeciwko ich woli.

Jeżeli miniemy monumentalny, lecz tylko częściowo odkopany stary ołtarz ofiarny i przepiękny portyk przybytku Bachusa, to przez wielkie nawy dwóch świątyń, bazyliki Teodozjusza i pogańskiego «templum», wydostaniemy się na krańce świętego niegdyś terytorjum, które murem warownym odgrodziło się od otaczającego go świata. Ścieżka o fantastycznych zakrętach biegnie stąd do najbardziej znanego punktu akropolu, do sławnego «Trilithon», gdzie trzy bloki kamienne niezwykłej kubatury stanowią świadectwo i zagadkę niezwykłej przedsiębiorczości rąk ludzkich. Wymiary tych monolitów odpowiadają w wyobraźni naszej pojęciom, które łączymy zwykle z określeniem «gigantyczne» lub «dzieło cyklopów», lecz badania ustaliły, że te olbrzymie głazy, przez jakąś umiejętność czarodziejską wywindowane z doliny na wzgórze Baalbeku, pochodzą z czasów rzymskich. Późniejsze próby Arabów dorównania sztuce poprzedników nie zostały uwieńczone powodzeniem, bo do dnia dzisiejszego w jednym z kamieniołomów oglądać można blok kamienny, jeszcze większy, niż te, które formują Trilithon, lecz tego giganta nie potrafiono już przesunąć na wzgórze akropolu. Zapewne pozostanie on na zawsze, jako przedmiot

ekstaz turystycznych i dodatkowe źródło dochodu dla przewodników po mieście Baala.

I pomimo śmiałych projektów nie dotarliśmy nigdy do cedrów Libanu. Już przy wyjeździe z Baalbek Hassan przemyślnie zasięgnął języka i dowiedział się, że w górach panuje zima bezprzykładna — tego roku na wiosnę zima często zaglądała do ciepłych krajów — że jeśli ktoś chce jeszcze dojechać do morza, to powinien się śpieszyć, bo drogi mogą być zasypane i na dłuższy czas niedostępne... Zaszła szybka modyfikacja marszruty, i najbliższemi przełęczami skierowaliśmy się do Bejrutu. Informacje Hassana okazały się, niestety, aż zbyt dokładne tym razem. Po paru godzinach jazdy temperatura zaczęła się obniżać, wspinaliśmy się coraz wyżej już w chłodzie i zmroku zbliżającej się śnieżycy. Zawirowały niesione przez wiatr cienkie płatki śniegu, potem uderzyła fala biała i miękka, lecz coraz bardziej silna i nieustępliwa. Od najbliższych osiedli dzieliło nas jeszcze kilkanaście kilometrów, o dłuższym postoju nie mogło być mowy, a posuwanie się po zasypanej i zupełnie niezabezpieczonej drodze, obok której raptownemi spadami słały się skłony górskie ku spokojnym lecz zdradzieckim wąwozom, nie różniło się niczem od jazdy na złamanie karku. Hassan klął, kopcił papierosy, przypominał swoje przepowiednie złowróżbne, kiedy «czapa barania» w Damaszku żądała legitymacyj i nieuzyskanych pozwoleń — obejście prawa, o ile stwierdzone, przynosi nieszczęście, jak wiadomo—i starał się, już

wewnątrz limuzyny, przeczyścić karburator, zamarły wskutek dopływu wody. Motor buntował się przeciwko zbyt silnym doświadczeniom, zawarczał czasem uporem dawnych przyzwyczajeń i bezzwłocznie wpadał w apatję bezwładu i bezczynności. Postój na wzgórzach Libanu zapowiadał się długi i niemiły, kiedy z za ołowianej chmury błysnął pierwszy płomień zwycięskiego słońca.

Zmieniły się nastroje i możności. Z nawalnej zadymki snuły się zaledwie oddzielne płatki śnieżyste, lśniące barwami tęczy. Pod białym całunem wystąpiły wyraźnie kontury drogi, a motor przypomniał sobie o zaufaniu, jakiem go lekkomyślnie ludzie darzyli. Hassan zakręcił starter i, już przy kierowniku, ogłosił nam, jakby pod dyskrecją:

— Ja właściwie licencję miałem, tylko nie chciałem jej pokazywać temu drabowi w Damaszku. I tak to wszystko jest teraz rozzuchwalone...

Cadillac począł znaczyć swoje przewagi. Przez miękki kobierzec śniegu wznosił się na szczyty z ledwie uchwytną skargą przemęczonego mechanizmu, a potem jakgdyby spływał ku dolinie w coraz potężniejszej fali światła, ciepła i piękna, manifestując na wirażach swą niechęć do przymusowych osłabień tempa. Następował odwet szybkości za narzuconą zwłokę. Zaabsorbowani trudnościami drogi, ocknęliśmy się niewiadomo kiedy wśród rozkwieconych ogrodów i wąwozów, wymoszczonych zielenią drzew, wśród których bielały jasne ściany domostw, do skał przyczepionych, i przykuwały wzrok czer-

wienią dachy siedzib maronickich. Czas był gorący, słońce prażyło wysiłkiem wiosennym, lecz szczerym. Z zimy, przypominającej nam daleką ojczyznę, pozostało tylko wrażenie, coraz mniej uchwytne i mgłą nieprawdopodobieństw przesłonięte.

Daleko przed nami błękitniało morze. Bejrut — porównywany pono przez Arabów do sułtanki, wspartej o zieloną poduszkę — przeglądał się w jego toniach. W przepięknej zatoce, niczem zabawki dziecinne, puszczone na basen fontanny, rysowały się kontury statków, zwiększały się, szlachetniały i zbliżały do rzeczywistości w miarę, jak zmniejszała się przestrzeń, która nas od nich dzieliła. Na jakimś zakręcie drogi zakołysał się wielbłąd — jeden, drugi — potem cały sznur rozwinął się na wstążce szosy w jasnych barwach rynsztunków i czerwieni czapraków. Jechał oddział spahisów ku tym śnieżnym wierzchołkom, skąd nas niedawno losy dobrotliwie wywiodły, na czele proporczyk jeneralski szeleścił w podmuchach wiatru. Krok wielbłądów niezgrabnie kolebał postaci w kolorowych płaszczach, umieszczone na wysokich kulbakach. Jakaś feerja wschodnia przygodnie rozwijała się przed nami, aż Hassanowi oczy wyszły nawierzch, i przyhamował swego Cadillaca.

I kiedy ta orgja kolorów i potworności zasunęła się za zakręt drogi, stoczyliśmy się całym pędem przez «pinettę» rozgłośną do nadmorskiego Bejrutu, tak niepodobnego do wizyj poetyckich, któremi nas

oddawna karmiono. Bo Bejrut wieszczów nic nie ma wspólnego z rzeczywistością.

W mieście, wyzutem z jakiegokolwiek charakteru i pozbawionem śladów dawnej wielkości z czasów Fenicjan, oczekiwaliśmy na okręt, któryby nas dowiózł do Europy. Bejrut, rezydencja Wysokiego Komisarza francuskiego, jest nietylko stolicą administracyjną całego kraju, ale i jego centralą ekonomiczną, skąd eksport syryjski rozchodzi się po świecie. Zboże, oliwa, drzewo, jedwab, owoce, gąbki — i czy ja wiem, co jeszcze, zalega składy i debarkadery portu, który stanowi główną ozdobę i żywotną arterję sąsiedniego miasta. «Sedimus et flevimus» na podobieństwo Izraela, a jedyną pociechą były wycieczki, które nas prowadziły po wybrzeżu morskiem lub ku górom, niezbyt dalekim i łatwo dostępnym.

W ten sposób skracaliśmy czas, który nas dzielił od wyjazdu. Zabrnęliśmy aż do pomarańczowych gajów, co w okolicach Tripoli rozrzuciły się masą zieleni i kwiecia na znacznych przestrzeniach, zwiedziliśmy niemało zakątków, które pamięć, a nieraz i chciwość ludzka, zakarbowała nazwiskami wielkich romantyków i historyków, poetów, szukających natchnienia, lub uczonych, w pogoni za prawdą przeszłości. Wielkie imiona — wśród których nie brak i autora Anhellego — unoszą się w tych stronach w zwartej plejadzie, zdolnej zapewnić chwałę jakiejkolwiek literatury. Więc i rozmowy schodziły na tematy literackie, toczyły się spory o istotę romantyzmu, o stosunek do niego ludzi dzisiejszych,

mniej ekspansywnych w formie, a może równie głęboko czujących w skrytości serc i umysłów. Już powoli oddalaliśmy się od brzegów Lewantu i wracaliśmy do kultury Zachodu, pochodnej, nie najstarszej w dziejach ludzkości, lecz jedynej i niezastąpionej przez najpiękniejsze zjawy przeszłości. Przychodziła tęsknota za Europą.

I zbliżał się kres tej nostalgji. Na statku, który odwoził jakąś «croisièrę» angielską brzegami morza Śródziemnego do Neapolu uzyskaliśmy miejsca i zapewnienie marszruty śmielszej od naszych życzeń, lecz zbliżającej nas do celu. Komu bo już w Bejrucie kończy się Wschód, ten obojętnem okiem patrzy na Aleksandrettę i Smyrnę, na zrównaną z ziemią Antiochję i bezliczne wyspy Dodekanezu i Archipelagu, o które okręt ocierał się odniechcenia. Po niewygodach i zmęczeniach podróży cieszyliśmy się dobrobytem fizycznym, segregowaliśmy wrażenia i fotografje, wychodziliśmy z komunizmu turystycznego. Dni płynęły równym i spokojnym szlakiem, myśl biegła na spotkanie znanych lądów. I tak któregoś wieczoru minąwszy Mitylenę (Lesbos) i tereny Troi, płynęliśmy ku cieśninom Dardanelskim, a w parę dni później — do wybrzeża Pireusu, aby przenocować pod Salaminą wobec zatarasowania portu... Jeszcze parę pięknych zachodów, kiedy rozżarzona kula słońca topi się w spokojnem wnętrzu wody; jeszcze parę nocy, przerywanych monotonnym obrotem śruby okrętowej — i w mgle wschodzącego dnia zamajaczył Neapol.

Wysoko nad zatoką wzbity słup dymu znaczył wzmożoną działalność Wezuwjusza.

Wieczorem jechaliśmy na północ, i «diretissima» napędem elektrycznym pchała swe wozy ku Wiecznemu Miastu. Były to już godziny, poprzedzające rozstanie, bo Motwidowie mieli pozostać na parę dni w Rzymie, a ja wracałem prosto do kraju. Rozmowa snuła się leniwie, jak zwykle między ludźmi, którym osiągnięte porozumienie nie narzuca potrzeby zbędnych słów. Pani Motwidowa opowiadała, że Konstantynopol powojenny sprawił jej rozczarowanie, że Ghazi dawną stolicę sponiewierał, a cudzoziemcy zyskali tylko możność zwiedzania miejsc i narzędzi tortur, stosowanych przez różnych Abdulów — i wizytę w Seraju, dawniej trudno dostępnym.

— Pański lord, wyspecjalizowany w mumjach, nie mógł się tam dostać, a teraz obejrzał pan sobie i «Dywan» i fajanse, umieszczone na ścianach ku rozrywce eunuchów, i kolekcję porcelany...

— A piękne «Korce» wybrał Stanisław August dla Padyszacha — westchnął z żalem Paweł.

— ...i skarbiec nieco podskubany, ale naprawdę sułtański. Długo nie mogłam zapomnieć o tych szmaragdach jak z bajki, dopiero w Stadjonie w Atenach jedna wizja przesłoniła drugą.

Spojrzeliśmy się na panią Wandę nieco zdziwieni tą asocjacją wrażeń.

— Tak się to złożyło — wyjaśniała — że jedno przyszło po drugiem. Ale Stadjon — to także skarbiec, gdzie się przechowuje i rośnie zdrowie narodu.

I wie pan co — zwróciła się do mnie — na jakiś czas mam dosyć ruin. Wolę jakąkolwiek całość, skończoną, harmonijną, chociażby nowożytną, niż arcydzieła, które mam sobie rekonstruować w wyobraźni... bo były kiedyś.

Pani Wanda zamyśliła się, a po chwili kończyła swe wyznania.

— I wolę zatokę Neapolitańską, niż wszystkie uroki Wschodu z mumjami, mandatami i wyznawcami proroka. A nad nią przenoszę cichą wieś północną, gdzie teraz już klekoczą bociany i kumkają żaby, a życie bije jakiemś drogiem i znajomem tętnem...

Do przedziału weszło paru Włochów w czarnych ubraniach i z obfitemi dekoracjami. Ten ingres powstrzymał moment liryczny, co zbliżał się, jak katastrofa, przewidywana i nieunikniona. Włosi rozmawiali o postępach Italji i o wodzu, o sławie w ogólności i o tej, jaką sobie zdobył «il duce». Pani Motwidowa zasłuchała się w jakieś klangory dalekie, dochodzące z Podlasia, a ja wzdychałem za chwilą, kiedy będzie można przesiąść się do innego, bardziej rozsądnego pociągu, co to nietylko o przewagach komunikacyjnych Italji, lecz i o kruchości doczesnej podróżnych przypomnieć sobie potrafi. Już byłem na tropie paraleli pomiędzy Hassanem a «diretissimą», kiedy Paweł, zwykle najmniej z nas ekspansywny, dał folgę myślom, co mu zapewne dokuczyły.

— Niebezpieczne to kołysanki — zaczął swoją przypuszczalną lamentację.

— I ja to zauważyłem — przyznałem się skwapliwie — chwała Bogu, że już niedaleko do Rzymu.

— Ja myślę o sławie — ustalał temat kołysanek Paweł — a nie o Pulmanie. Tyle się o niej mówi, tworzy się ją od ręki, z rana na wieczór, a potem to wszystko tak prędko mija, że śladów wielkości ludzkiej pozostaje niewiele. Nawet tam, skąd wracamy. Były mumje martwe i żywe, dzisiaj są mandaty jawne lub ukryte, jutro przyjdzie niepodległość... W Europie na inną modłę, ale także sława i wielkość ludzi przemija w sposób nieubłagany, pozostaje wielkość narodów...

— Napoleon — zaczynałem brać udział krytyczny w monologu.

— I Trzecia Republika — dokończył Paweł. — Garibaldi, Cavour i dzisiejszy Konsul, to wszystko strawa — niezaprzeczenie wysokiego gatunku — którą naród przerabia na swoje dobro i którą żyje w zupełnem zapoznaniu sławnych lub wielkich pierwiastków.

— «La gloria mi somiglia» — zacytowałem naprzekór słowa poety.

— Sława kołysze do snu tych, którzy ją zdobyli — z uporem myśl swoją przeprowadzał Paweł — ale państwom i narodom jest potrzebna jako rzecz, o której się zapomina, po wyciągnięciu z niej soków żywotnych...

— Sława cezarów i imperjum... — robiłem «ducha sprzeciwu».

— ...jest do pewnego stopnia zaraźliwa — dokończył Paweł. — Ale któryś z Niemców twierdził nie bez słuszności, że suma niepowodzeń, skupionych około jakiegoś nazwiska, może także stanowić o sławie.

— Trzeba ratować Pawła, bo wpada w negację — zaśmiała się pani Wanda. — Świadczę się Balzakiem, że sława to słońce umarłych. Słońce — a więc nie gaśnie.

Paweł miał swoją spóźnioną godzinę, na którą czekaliśmy parę miesięcy.

— Są i słońca gasnące, i kadzidła dla nieboszczyków, a wszystko razem mija prędzej, niż dobrze spreparowana mumja, o której niewiadomo, jakiem ją mianem obdarzyć. A była to być może mumja człowieka sławnego...

— A może był sławny tylko w pojęciu własnem, tak jak to sobie ułożył Villiers de l'Isle Adam: ja i moi przyjaciele.

Ta uwaga moja wywołała wesołość ogólną. Zbyt żywo przypomniała nam słowa nieocenionego dragomana, jaki zdobił ostatnie nasze ekskursje syryjskie. Pół-Francuz, pół-Turek, oprowadzał kiedyś Wilhelma po wielkich ruinach w Baalbek i twierdził uporczywie, że Syrja jest dotąd zamieszkana przez lud, znany w historji pod nazwą «autochtonów». W pojęciu własnem sława akropolu wciągnęła jego i jego przyjaciół w swoją orbitę, razem z tym ludem

historycznym, i chodził sobie w tej domniemanej chwale, dumny jak paw i jak Lewantyńczyk spragniony bakczyszów. Nazywał się Mohamet, lecz jeśli kto nazwał go po imieniu, następowała natychmiastowa korektura:

— Moi przyjaciele nazywają mnie «Monsieur Mohamet, s'il vous-plait!»

Wszyscyśmy wybuchnęli śmiechem, co wywołało podejrzliwe spojrzenia współpodróżnych, i Paweł już nie mógł nawiązać swej oryginalnej medytacji o sławie. Teraz mówiliśmy o ciekawości, która ma nieustający mandat nad ludźmi, i pcha ich w różne strony świata. Bo taki już los współczesnych, że jeżdżą po obczyźnie, a tęsknią za domem. Trochę z systemu ptaków wędrownych, trochę z instynktów nomady, uszlachetnionych przez żądzę wiedzy i porównań, wszystkiego potrosze znaleźć można w poczynaniach ludzkich.

— «Roma, stazione Termini» — zahuczało w korytarzu.

I tak kończyła się nasza wędrówka okólna po wybrzeżach «morza Wewnętrznego», jak niegdyś morze Śródziemne nazywano. Na pożegnanie pani Motwidowa wychyliła się jeszcze z automobilu hotelowego:

— «Mandaty i mumje» — ma pan tytuł książki z podróży. Dotąd go pan nie mógł znaleźć, jak Paweł swojej elokwencji. Ten będzie dobry.

Chwilę się zawahałem, potem odrzekłem:

— Skoro podróż pani zawdzięczam, to i ostatnie dyrektywy z rąk pani przyjmę. Tylko zmienimy kolejność: trzeba zacząć od mumij, a skończyć na mandatach.

Marzec-lipiec 1929.

SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
I. Decyzje i przygotowania do podróży	7
II. Burza na morzu	18
III. Z Aleksandrji do Kairu przez Deltę	33
IV. Kair: meczety i piramidy	50
V. Lord Carnarvon	64
VI. Grób Tut-ankh-Amena	75
VII. Egiptologja. Kanał Sueski	90
VIII. Palestyna. Rywalizacja Kościołów	103
IX. Jerozolima: Bazylika Grobu Chrystusowego	118
X. Jerozolima: Meczet Omara, Ściana Płaczu	136
XI. Betleem — Nazaret — Tyberjada	153
XII. Damaszek	167
XIII. Damaszek — Baalbek	182
XIV. Baalbek — Bejrut. Powrót	192





36.000,—

13. MAR 1968

7 Lipiec 1970

19. PAŹDZ 197

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie

010-030941